ślizg

LIPIEC 07/127



SKAZANI NA SUKCEZZ
BEZ TEMATÓW TABU



FUNK YOU!
FUNK PO POLSKU



JAMIE FOXX
PIOSENKARZ? AKTOR?

SONDA
MŚ W PIŁCE NOŻNEJ

DESKI W WODZIE
CAŁY ROK NA FALI

BLEJZA LEWANDOWSKI
ZNOWU NA DESCE

ZAWODY DESKOROLKOWE
BYŁO ICH WIELE...

numer 07/127
ISSN 1425-1760
INDEX 332682
CENA 6,90 PLN
(w tym 7 % VAT)

ISSN 1425-1760





9 771425 176601 07

Rick McCrank

康達徑花園
HONG TAT PATH GARDEN





surprise yourself in the anti-social

W numerze 07/127



projekt okładki Tomek Szklela (kapitankot.com)

W(Y)STĘPNIAK

Jak pewnie zauważyliście, okładka tego numeru „Ślizgu" różni się nieco od poprzednich. Nie tylko wyglądem, ale przede wszystkim zawartością. Wszak trzeba pokazać co jakiś czas, że zajmujemy się nie tylko muzyką, nieprawdaż? Idzie lato (właściwie, to już przyszło), a my mamy dla was raport, w którym przedstawiamy wodne zajawki, dla których ta pora roku jest najodpowiedniejsza.

Niech jednak nikt nie myśli sobie, że zawartość „Ślizgu" jeśli chodzi o tematykę nagle się zmieniła. Zwolennicy tematów muzycznych w naszym magazynie nie powinni być rozczarowani, podobnie jak fani deskorolki chociażby. Zresztą, sprawdźcie sami.

Tak w ogóle, to kończę, bo mamy przecież MŚ w piłce nożnej i nikt nie ma ochoty wczytywać się w jakieś wstępniaki, kiedy w telewizorze tak ważną imprezę pokazują.

GRB

Wydawca: Towarzystwo Wydawnicze i Literackie Sp. z o.o.
00-258 Warszawa, ul. Brzozowa 35
konto: Bank Zachodni WBK S.A. 35 o/W-wa 14-1090-2851-0000-0001-0357-7914

p.o. redaktor naczelny: Krzysztof Grabowski (grabiszczy@o2.pl)
Fotoedytor: Wojtek Antonów (wzrr@slizg.com.pl)
Redakcja: Kuba Kaczmarczyk (toysoldier@slizg.com.pl), Cessya (cess@slizg.com.pl), Flintstone (ef@slizg.com.pl),
Korekta: Krzysztof Grabowski
Grafika i dtp: Sławomir Adam Barański (adam.sklad@gazeta.pl)
Okładka: Tomek Szklela (www.kapitankot.com)
Zespół: Rafał Skarżycki, Tomek Leśniak, Marek Oleksicki, CNE, Sebastian Rerak, Paweł Gadaczek, Mateusz Orłowski, Tymek Kubik, Keb, Hadero, Med, Dill-o
Marketing i reklama: Kasia Spaleny (kaspal@slizg.com.pl)
Sekretariat i promocja: Monika Jurczak (monika@slizg.com.pl)
Druk i przygotowanie: ELANDERS

Adres redakcji:
Ślizg
ul. Brzozowa 35
00-258 Warszawa
tel. 022 635 84 10 wew. 131
tel. 022 635 98 74 wew. 131
tel. 022 635 58 41 wew. 131
fax 022 635 62 85
e-mail: slizg@slizg.com.pl



FLINTESENCJA
PERFEKCJONIZM

Oglądając dodatki do „Trylogii Pierścienia" Jacksona czy „Gnijącej panny młodej" Burtona widzimy ogrom pracy, fascynację, perfekcjonizm. Postarzanie i stopniowe niszczenie posągów chemikaliami, żeby wyglądały na tyle lat, ile trzeba. Wieloletnie modelowanie ogrodów, żeby uzyskać Hobbiton jak żywy. W wypadku Burtona zaś dbałość o to, by przy animacji poklatkowej panny młodej suknia powiewała naturalnie. Albo żeby mimika twarzy podczas sceny, gdy lalka gra na pianinie, oddawała odpowiednią gamę emocji. Można zadać sobie pytanie – ale po co? Przecież nie widać tego na filmach, dopóki człowiek nie będzie usilnie chciał tego zobaczyć. Niemniej takie rzeczy mocno wpływają na odbiór tego, co widziałeś. Tworzą magię przedsięwzięcia. Dzięki temu czujesz, że coś jest dobre, precyzja wpływa na odbiór i ocenę dzieła. Czasem trudno znaleźć słowa, żeby to wyjaśnić, ale tak po prostu jest. Coś w środku podpowiada ci, że obcujesz z czymś wielkim. Twoje zmysły wyłapują gdzieś te wrażenia i czasem tylko zajęty zwykle dziesiątkami spraw naraz mózg tego nie koordynuje. Albo nie chce koordynować – to że jesteś zachwycony dziewczyną, nie znaczy, że chcesz badać DNA jej ojca.

Osoby z gustem i inteligencją (oraz bez tendencji do świadomego czynienia sobie przykrości, które to zboczenie należy leczyć) są przyzwyczajone do dobrego. Wyłapuje się raczej szmirę, żeby się popastwić. Papierowy Rzym w żenującej rodzimej superprodukcji „Quo Vadis". Nieudolne wpychanie reklam produktów dla jakiegoś straszliwego żartu, jakim są polskie komedie romantyczne. I tak dalej...

Problem w tym, że w hip-hopie mechanizm jest analogiczny. Trzeba zadać sobie pytanie, czy to dobrze, kiedy słuchasz jakiegoś rapera, a w pamięci pozostają tylko poczwórnie złożone rymy. Wygrał, bo tak umiał, czy może raczej przegrał z racji na to, że jego kawałek nie zaskoczył jako całość, nie pochłonął w stopniu wystarczającym, żeby nie koncentrować się na duperelach. Gdzieś tam to ma się spajać. Halo, producenci zagłuszający raperów przy miksie swoimi podkładami dla większej chwały. To nie ma sensu (a jest notorycznym zjawiskiem i wyjątkowo prymitywną próbą sił). Beatmakerzy przekładający wokale na kolejne beaty z powodu własnych wyśrubowanych ambicji – nie mylcie tego z perfekcjonizmem, bo chcecie maksymalnie dopieścić swoją część, nie patrząc, że wokal już tak nie niesie i ostateczny efekt siada. Perfekcjonizm nie ma nic wspólnego z poszczególnymi składnikami, dotyczy kwestii globalnych. Dlatego właśnie winyl „Antidotum" Metro jest płytą dobrą, ale nie tak dobrą jak wskazywałaby na to lista gości i wielki potencjał producenta. Dopiero po fakcie dowiedziałem się, że większość kawałków to remiksy.

Z kolei u raperów trafia się na kompleks „gorącego materiału". Jeden z nawijaczy tłumaczył mi, że będzie celował w nielegal, bo nie ma cierpliwości, żeby patrzeć jak jego materiał leży i stygnie. Z tym że nie mamy roku 2002, materiał jest gorący i stygnie głównie w głowie jego twórcy. Eldoka tłumaczył, że część materiału z jego płyty wyleciała, bo nie pasowała. Wyrzucił dobre, skończone kawałki dla dobra kompozycji płyty (o ile rzeczywiście to zrobił, ale powiedzmy, że chwilowo zrezygnuję z nieufności, chociaż do „CKCUA" miał być dołączony potężny zbiór przypisów, a sami „Opakowani w folię" mieli iść w remiksie...). Miał czas, żeby ochłonąć i spojrzeć na nie z dystansu. Co próby czasu nie przetrwało, wylatywało. Ciekawe, bo zwykle słyszę raczej: „Jezu, już nie mogę tego słuchać", kiedy płyta jeszcze nie wyszła. A potem jest płacz, zgrzytanie zębów i zostaje tyle egzemplarzy, że można by nimi wyłożyć wnętrze Danuty Rinn. Eldoka spróbował żywych instrumentów i chciał ich mieć na albumie więcej. Marudził, kombinował, przekładał terminy – irytowało to was, słuchacze, ale nie rozmawialiście z człowiekiem, który „CKCUA" masterował. To było prawdziwe oblicze irytacji. Koniec końców Eldoka nagrał klasyk. Wygrał rozdanie...

Oczywiście, nie jest prosto. Sam wiem, jak reaguję, kiedy muszę wyrzucić coś z artykułu z powodu miejsca czy dobrej rady wygłoszonej tonem nieznoszącym sprzeciwu. Gdzieś jest granica między wiarą we własne możliwości a bufonadą. To boli, kiedy ktoś ci ją uświadamia. Niemniej boli jeszcze bardziej, gdy dochodzisz do niej sam, widząc, ile czasu byłeś ślepy.

Więc, drogie ziomki, nagrywający wokale po pięciu browarach (z litości brak ksywek), to słychać. Drodzy producenci niemogący się pogodzić z byciem w cieniu mc's – to słychać. Koleżanki z klasy w refrenach, chujowe gościnne zwrotki wrzucone z powodu braku asertywności i niechęci do urażenia kogokolwiek, płyty bez selekcji i pomysłu, pierdółki zaniechane z lenistwa, okładki na zasadzie „ale po co płacić artyście, sam to zrobię" – to widać, słychać i czuć. Nie wszystko wytkną wam recenzenci i dzieciaki w sieci, bo jak pisałem, słów brak, ale lipę wyczują w oka mgnieniu. Sami ją wyczujecie. Po co budować Rzym z papieru, kiedy wszyscy noszą zapałki. Co więcej – sami je nosimy. Lepiej zawalczyć o pierścień.

Flint







ubrania error

Letnią kolekcję ciuchów przygotowała dla was firma Error. I tak, możecie dzięki tymże wdziankom chronić swoje głowy (w większości przypadków głowy zawierają mózg, który nie lubi się przegrzewać od słońca), okrywać torsy (które słońce z kolei lubią, ale nie zawsze mogą się na nie wystawiać...) oraz nogi (ale nie do końca, tylko do kolan, wszak to lato i przewiew musi być). Do tego wszystko w dobrym, errorowym stylu!



ciuchy mass

Najnowsza kolekcja ubrań marki MASS oferuje Wam aż 29 nowych modeli T-shirt'ów! Przekrój styli, kolorów i logotypów jest na tyle duży, że każdy powinien znaleźć coś dla siebie! Całość kolekcji jest jak zawsze dostępna w oficjalnym sklepie internetowym SHOP.MASSDNM.COM



buty skate

Powyżej przedstawiamy dwa nowe modele profesjonalnych butów skate'owych. Pierwsze z nich to model Sheckler firmy Etnies (sygnowany oczywiście przez prosa Ryana Shecklera), drugie zaś to model Accel firmy Es (dla odmiany bynajmniej nie sygnowany przez żadnego prosa, który miałby mieć na nazwisko Accel). Marka obydwu firm mówi sama za siebie, więc wszystko wiadomo. I pamiętajcie, że znane przysłowie mówi: "Jakie sobie obuwie nałożysz, tak się wyśpisz".

VIENIO
UPADEK KRÓLESTWA



Jest 2006 rok. Świat jawi się nam jako zepsuty do szpiku kości. Wszechobecne mega zezwierzęcenie, upadek moralności i wszelkich zasad, a cytując Sokoła z WWO „z telewizorów emanuje zło kunsztowne". Prawda to. Dzisiejsze telewizje naszpikowane są przemocą, seksem i krzyczącymi zdemoralizowanymi pseudo-bohaterami, wykreowanymi sztucznie na potrzeby wielkich telewizji czy koncernów.

Kiedyś radia i telewizje stały na straży ogólnie pojętej moralności i choć w pewnym sensie było to ograniczenie, to dawało to pewien etyczny standard. Dzisiaj każda stacja wytwarza swój profil i dba o swoich odbiorców, ale odnoszę wrażenie, że nie zawsze z dobrymi intencjami. Nie dalej jak dwa tygodnie temu oglądałem w polskim MTV reality show o amerykańskich gostkach, którzy szpikują się sterydami. W programie występowało dwóch pacjentów: bokser, który przygotowywał się do walk w klatce, i homoseksualista, który chciał zostać tancerzem w jakimś gejowskim barze.

Ogólnie była to dokumentacja ich przygody ze sterydami. W trakcie akcji widz dostaje hiper dokładną instrukcję, jak zamawiać i aplikować sterydy. Widzimy zaangażowanie wysiłki bohaterów materiału na siłowni oraz dostrzegamy, jak sterydy działają na ich psychikę. Dodam, że program ten emitowany był o normalnej porze i każdy dzieciak w Polsce mógł to potencjalnie obejrzeć.

Mało tego. Autorzy nie zadbali nawet o etykietę informującą o skutkach czy np. zawierającą tekst „nie próbuj tego sam w domu". Wstyd, bo nawet czerstwe żarty Steve-O i innych chłopaków z „Jackass" opatrzone są widocznym ostrzeżeniem, a zobaczyć je można dopiero po północy. Telewizje komercyjne już dawno przestały myśleć o swojej odpowiedzialności za treści programów. Niestety, w tej grze nadal prowadzą pieniądze. Seks i przemoc – to się teraz sprzedaje. Pieprzę to ścierwo!!!

Vienio

RZEŹ NIEWINIĄTEK



Kiedy byle laik chce się dowiedzieć, kto stoi za tajemniczym projektem Gnarls Barkley, to wystarczy a) zajrzeć do Internetu, b) zapytać kogoś bardziej ogarniętego, c) otworzyć ostatni numer „Ślizgu", i tak dalej. Można jednak też być recenzentem cgm.pl Marcinem Cichońskim, któremu najwyraźniej dużo brakuje nawet do poziomu rzeczonego byle laika, bo w recenzji płyty „St. Elsewhere" daje nam dowody na swoje przekonanie, że Gnarls Barkley to... jeden wokalista. Zresztą zobaczcie: „Sporo tu popu, inspiracji jazzowych i nowych brzmień. Barkley ma też na tyle ciekawy styl śpiewania, że i miłośnicy popisów wokalnych znajdą tu coś dla Ciebie." Albo: „Bez wątpienia stał się sporą sensacją. Posiada niezwykła barwę głosu oraz umiejętność wykorzystywania tegoż. Nagrał też hit, który zawojował Wielką Brytanię." Słabo? Danger Mouse i Cee-Lo mieliby niezłą polewkę czytając tę reckę Cichońskiego. Brawo, stary!



Wyszła nam edycja recenzencka „Rzezi", bo drugim specjalistą, nad którym się popastwimy, będzie autor recenzji płyty „The Craft" duetu Blackalicious w majowym numerze „DosDedos". Nie piszemy kto to, bo bezpośrednio pod recenzją nie jest podpisany. Pod całym działem widnieją podpisy Marcina Niewęgłowskiego i Maria, zatem podejrzewamy, że to właśnie któryś z tych dwóch panów zabłysnął. A czym? A tym, że napisał: „Rymy MC Xcel i Gift'a najczęściej opowiadają o życiu przeciętnych osób (...)". Rapujący Chief Xcel? To nowość. Jak się nie zna recenzowanego przez siebie zespołu, to wypadałoby chociaż zapoznać się z jego historią, mamy rację?

ROZWIĄZANIE KONKURSU HIP-HOP KEMP 2006



W poprzednim numerze ogłosiliśmy konkurs, w tym go rozwiązujemy. Śpieszymy zatem poinformować, że bilety na Hip-Hop Kemp 2006 w czeskim Hradec Kralove otrzymają od nas Jadzia Nowak z Rzeszowa i Łukasz Kruk z Głubczyc. Gratulujemy Wam serdecznie. Oczywiście wszelkie szczegóły otrzymacie za pośrednictwem poczty emailowej. Miłej zabawy!

KONKURSY!!!

Ostatnimi czasy staramy się organizować dla Was sporo konkursów, wszak nic nie cieszy tak jak darmowy gadżet od ulubionej redakcji. Rozwiązania najważniejszych konkursów z ubiegłego miesiąca możecie znaleźć gdzieś w okolicy tego tekstu (w sensie – tam, gdzie zmieściły się grafikowi), a tymczasem przejdźmy do ogłoszenia kolejnych.



Zacznijmy od płyt. Mamy dla was płyty Eldo / Bitnix **„Człowiek, Który Chciał Ukraść Alfabet"**, które wydane zostały przez Frontline Records. Mogą na nie liczyć osoby, które odpowiedzą poprawnie na pytanie premiujące naszych stałych czytelników: „Kto przeprowadził wywiad z Eldo w majowym numerze naszego miesięcznika i ile padło w tym wywiadzie pytań?" No co, konkursy z głupimi pytaniami też muszą się pojawiać, nie?



Druga płyta, którą Wam oferujemy, to **„Fturując"**, czyli składanka z gościnnymi występami Peji u innych artystów wydana przez Fonografikę. Aby mieć szansę na jej otrzymanie, musicie przesłać nam odpowiedź na pytanie: „Jak nazywała się pierwsza płyta zespołu Slums Attack?"



To oczywiście nie koniec. Kolejną pozycją płytową, którą możecie wygrać w „Ślizgu" jest składanka **„Reebok Hip-Hop Tour 2006"**. Dwa krążki w ramach jednego wydawnictwa (muzyczny i filmowy) to nie lada gratka, która sprawiło nam Embargo Nagrania. Aby otrzymać jeden z albumów, wystarczy odpowiedzieć na pytanie: „Kto wchodzi w skład reaktywowanego ostatnio składu Ewenement/Molesta, którego nowy kawałek znajduje się na tej płycie?"

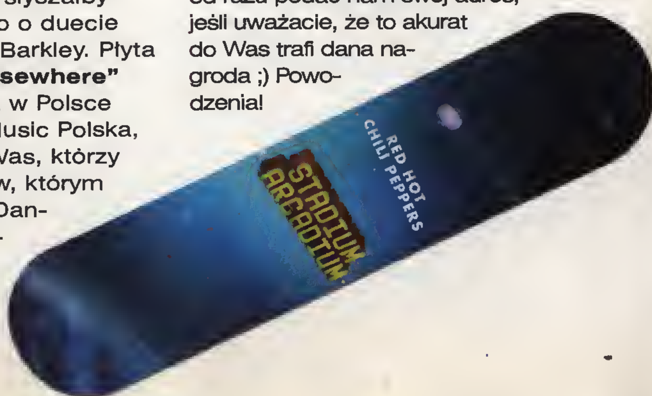


Jedziemy dalej. Nie ma chyba nikogo, kto nie słyszałby ostatnio o duecie Gnarls Barkley. Płyta **„St. Elsewhere"** została w Polsce wydana przez Warner Music Polska, a wygrać ją mogą ci z Was, którzy wymienią trzech raperów, którym stanowiący połowę GB Danger Mouse robił bity. Łatwe, nie?



No i na koniec konkurs, w którym do wygrania mamy dla Was... deskorolkę. Deska z logówką Red Hot Chili Peppers to niezły bajer (patrz zdjęcie poniżej). Otrzymaliśmy ją od Warner Music Polska, a do tego mamy – dla tych z Was, którzy nie wygrają deskorolki – nagrody pocieszenia w postaci płyt RHCP **„Stadium Arcadium"**! Słabo? Aby stać się szczęśliwym i dumnym posiadaczem gadżetu, należy przesłać nam odpowiedź na pytanie: „W jakim składzie grają obecnie Red Hot Chili Peppers?"

A teraz szczegóły techniczne. Na maile z Waszymi odpowiedziami czekamy w przypadku wszystkich konkursów w dniach 25 czerwca-7 lipca oczywiście pod adresem slizg@slizg.com.pl W tematach wpisujcie odpowiednio: ELDO, PEJA, RBK, GNARLS lub RHCP. Możecie od razu podać nam swój adres, jeśli uważacie, że to akurat do Was trafi dana nagroda ;) Powodzenia!



@listy

Droga redakcjo. Jestem stałym czytelnikiem „Ślizgu". Mam 14 lat i od jakiegoś czasu piszę teksty i robię bity. Chętnie bym to nagrał, tylko jest jeden problem. Zupełnie nie wiem, gdzie w Łodzi są jakieś studia nagraniowe. Dlatego piszę do Was z prośbą, czy pomoglibyście mi takie studio odnaleźć. Czy moglibyście jeszcze napisać, czy w moim mieście są jakieś „składy", które robią rap i poszukują jakiegoś rapera lub by mi pomogli się trochę dokształcić w hip-hopie. Byłbym Wam bardzo wdzięczny za pomoc.

Piotrek, Łódź

Spoko, zadzwoń do O.S.T.R.'a, jego numer to... Ta, jasne. Stary, od takich rzeczy, jak łapanie kontaktów i szukanie informacji, masz choćby Internet czy koncerty lub inne spędy, na których zawsze jest ktoś z jakiegoś „składu", z kim będziesz mógł zagadać. Co do studia nagraniowego, to chyba jeszcze za wcześnie i lepiej póki co zaopatrzyć się w mikrofon, by najpierw się posłuchać, a dopiero potem rzucać na głębszą wodę. Te rady mądrych redaktorów „Ślizgu" kierujemy oczywiście również do innych zainteresowanych tematem czytelników.

KONKURS NA NOWE LOGO MAGAZYNU „ŚLIZG"

Nagłówek mówi wszystko. Ogłaszamy konkurs na nowe logo naszego miesięcznika. Pomyśleliśmy, że warto byłoby coś zmienić, stąd pomysł, żeby i nasi czytelnicy (lub znajomi czytelników, lub znajomi znajomych czytelników) spróbowali nam w tym pomóc. Projekty nowego logo „Ślizgu" prosimy przesyłać na adres slizg@slizg.com.pl

Oczywiście wymogiem jest, by były to projekty wektorowe, czyli w formatach programów takich jak Corel Draw (.cdr) czy Adobe Illustrator (.ai)

Oprócz używania nowego logotypu we wszelkich publikacjach i wymieniania autora w stopce, ufundowaliśmy nagrodę-niespodziankę dla zwycięzcy oraz nagrody pocieszenia dla autorów wyróżniających się projektów. Naprawdę warto spróbować. Czekamy na Wasze propozycje!

DOT-it™

Dziękujemy wszystkim za odpowiedzi w konkursie Dot-It. Nagrodzeni zostali o tym poinformowani e-mailowo, a my ze swej strony chcielibyśmy przekazać wyrazy szczególnego uznania dla najbardziej kreatywnych czytelników, którymi okazali się Przemek Łyskawa z Włocławka (m.in. „Dot-It przymocować można w lodówce, gdyż nigdy nie wiadomo, kiedy zgaśnie światło, a sałata lubi światło") i Grzegorz Focht z Wrocławia (m. in. „Można 'skręcić' ze sobą dwie lampki, przywiązać sznurek i mamy wypasione, świecące i niemodne yoyo"). Gratulacje!

imprezowe info

1 lipca Szczecin po raz kolejny gościć będzie eliminacje dla krajów Europy północno-wschodniej do breakdance'owej Battle Of The Year (**Battle Of The Year North East Europe**) Pojawią się zespoły z Polski, Estonii, Litwy, Łotwy, Słowacji i Czech. W Szczecinie nie zabraknie ponadto najlepszych zespołów sceny hip-hopowej – koncerty zagrają WWO, Płomień 81 i O.S.T.R., który także poprowadzi imprezę. Na scenie pojawią się między innymi również DJ Twister i Blady Kris.

Przypominamy ponadto o lipcowym koncercie **Eryki Badu**. Wokalistka wystąpi w Amfiteatrze w Parku Sowińskiego w Warszawie już 11 lipca. Towarzyszyć jej będzie 11-osobowy zespół.

15 lipca na Torach Wyścigów Konnych na Służewcu w Warszawie odbędzie się festiwal muzyki, mobilności i sztuki multimedialnej **Nokia Trends**. Koncert zagrają TIGA oraz Mylo DJ Set i Fischerspooner. Zagra też wielu polskich artystów reprezentujących różne gatunki muzyki. Nokia Trends cykl imprez odbywających się w kilku europejskich miastach.

15 lipca w Starym Oleśnie w województwie opolskim odbędzie się coroczna impreza **Nie Zabijaj, czyli V Festiwal Pozytywnej Akceptacji**. Wystąpi ponad 30 zespołów (w tym Voo Voo, Hurt, Jacek Kleyff & ONZ oraz Habakuk). Festiwal odbędzie się jednocześnie na 3 scenach. Organizatorzy obiecują też warsztaty bębniarskie.

Kolejna impreza, którą na pewno warto polecić, to **Mazury Hip-hop Festiwal 2006**, który odbędzie się 4-5 sierpnia w Giżycku. Bass Medium Trinity, Bez Cenzury, Ewenement/Molesta, Abra Dab, Juras i Wigor, Tede i WWO – wszyscy oni wystąpią na mazurskim festiwalu. Do tego bitwy: freestyle'owa i beatboxowa. Będzie gorąco.

Heineken Open'er Festival to impreza już ciesząca się dobrą marką w całej Europie. Pisaliśmy o tym, ale na pewno warto przypomnieć, że w tym roku (6-8 lipca) zagrają m.in. Pharrell Williams, Kanye West i The Streets. Zapraszamy do Gdyni.

Jakby tego było mało, 9 września w Krakowie w ramach **Coke Live Music Festival** pojawią się Jay-Z (!), Shaggy i Sugababes. Teoretycznie jednodniowa impreza ma zakończyć się następnego dnia nad ranem.

9-10 września to z kolei data warszawskiego festiwalu **Summer Of Music**, który odbędzie się na terenie Wyścigów Konnych na Służewcu. Konkurencja dla nadmorskiej imprezy organizowanej przez Heinekena zbierze kilkudziesięciu artystów zagranicznych oraz czołówkę z Polski. Nas interesuje najbardziej występ Stereo MC's, a warto także wspomnieć jeszcze co najmniej o The Crystal Method, Peaches czy Pet Shop Boys. A to podobno jeszcze nie wszyscy!

SKAZANI NA SUKCEZZ
bez tematów tabu

Być może nazwa Skazani Na Sukcezz nie wszystkim coś mówi. Na pewno jednak mówią – i to dużo – ksywki członków tego duetu: Pih i Pyskaty Skurwiel. Białostocko-warszawska para opowiada dla was o swojej nadchodzącej płycie, ale oczywiście nie jest to jedyny temat, który udało nam się poruszyć



rozmawiał Krzysiek Grabowski (Grabiszczy)
foto A. Prusińska

Czy uważacie, że ktoś w obecnych realiach – nie tylko Polski w ogóle, ale też naszej sceny w szczególności – może się uważać za „skazanego na sukces"?

Pyskaty: My na bank (śmiech). Choć z drugiej strony nie traktowałbym tej nazwy aż tak dosłownie, a bardziej jako wyraz naszej bezczelności (śmiech). Dla mnie sukcesem będzie to, jeśli ktoś uzna naszą płytę za kozacką, za coś przełomowego, coś, czego jeszcze nie było.

Pih: Umówmy się – nie czytajmy tego dosłownie. Ta nazwa ma przede wszystkim prowokować, między innymi właśnie takie pytania (śmiech). Niedługo mamy premierę Skazanych i już ludzie dzwonią z zaproszeniami, chcą organizować koncerty promujące płytę. To jest dla mnie sukcesem. Wiesz, kiedy nie grasz na festiwalach, tylko grasz swoje własne koncerty, a do klubu przychodzi po 250 czy 400 osób i znają twoje teksty, kiedy czujesz, że ci ludzie przyszli tylko i wyłącznie dla ciebie. To jest sukces.

Mimo wszystko, projekt jest oczekiwany już teraz: kot z podziemia, na którego pojawienie się w większym wymiarze na legalu czeka dużo osób, do tego zawsze kontrowersyjny, wyrazisty znany już od długiego czasu raper. Ale jeśli tego „sukcesu", o którym mówimy, nie będzie teraz, to nie będzie tragedii?

Pyskaty: Myślę, że tu chodzi o poczucie własnej wartości. Ja mam poczucie, że ten sukces już odniosłem. A wierz mi, że nie musiałem go odnosić, nie miałem takiego ciśnienia. Nie mam syndromu „parcia na sławę". Nagrywałem sobie w podziemiu i nie było żadnego problemu. Teraz nagrywamy razem i jesteśmy zajebiście zadowoleni z takiego obrotu sprawy, dobrze się rozumiemy i dla mnie to jest właśnie sukces. W tym momencie jestem jego esencją (śmiech).

Pih: Myślę, że sprowadzenie mojej twórczości tylko do tego, że jestem kontrowersyjny, jest nie do końca w porządku. Popatrz, nagrałem płytę z Chadą, gdzie w ogóle nie było kontrowersyjnych utworów, a która akurat odniosła duży sukces, jeżeli chodzi o odzew ze strony środowiska. Wracając do pytania... Nie czuję potrzeby odniesienia jakiegoś spektakularnego sukcesu materialnego. Od razu zaznaczam, że jeżeli uda nam się rozbić bank, nie obrażę się na hajsy i chętnie je przytulę (śmiech). Sukces? Kobiety, melanże? Człowieku, miałem tego tyle, że mógłbym wspomnieniami obdarować dziesięciu newcomerów i nie uważam tego za jakiś wybitny sukces. Sukcesem jest sprawdzenie się w tym, co robisz i poczucie własnej wartości. To mam. Osiągnąłem to ciężką pracą i nikt nie jest w stanie mi tego odebrać.

Wspominałem na początku o sytuacji w Polsce. Śledzicie to, co się dzieje na scenie, czy macie dość tego wszystkiego? Sytuacja zmierza w dobrym kierunku, czy nie bardzo?

Pyskaty: Mniej więcej wiemy, co się dzieje. Trudno nie znać dzieciaków, które bawią się w twojej piaskownicy. Podoba mi się większa niż kiedyś różnorodność, a śmieszą mnie tylko dwie sprawy. Po pierwsze, ten cały wysyp raperów-hologramów, bo to jest jakiś pieprzony atak klonów. Po drugie, dziwna zmiana frontu raperów, którzy do tej pory w najlepsze egzystowali jako „hip-hopolowcy", a którzy w tym momencie nagle jakimś cudem zaczynają być hardkorowi, zapowiadają powrót do korzeni, odcinają się od tego, co robili wcześniej, przez co sami przyznają się do winy. Brak im konsekwencji. Jeżeli już siedzisz na ławie oskarżonych i masz jaja, by się przyznać, to przynajmniej trzymaj fason, jak cię będą skazywać na karę śmierci. Ale jedna ręka nie zapomni, co robiła druga.

Przejdźmy z podwórka rapowego na nieco szersze wody. Pihu, Ty na przykład masz dość wyraźne poglądy polityczne, można je chyba nazwać konserwatywnymi.

Pih: Nie można powiedzieć, że jestem zdecydowanie konserwatystą. Ale jeśli chodzi ci, powiedzmy, o homoseksualistów, to w tym przypadku jestem konserwatywny. Wiesz, jak jest z tą mniejszością. Dziś dasz im prawo zawierania homoseksulanych związków małżeńskich, jutro będą chcieli prawo do adopcji. Tego nie zatrzymasz. Podając im rękę, niestety musisz liczyć palce…

Pyskaty: Ja jestem raczej zwolennikiem zasady złotego środka. Nie akceptuję żadnej skrajności w okazywaniu poglądów i mowa tu właśnie o tych wszystkich „manifach" i paradach. Chociaż z drugiej strony Młodzież Wszechpolska to też całkowicie nie moja bajka.

Pih: Popatrz, lubię, nawet bardzo, filmy Almodovara, „Brokeback Mountain" mi się podobało, chociaż tu uważam – i mówię to całkiem serio – że gdyby główne role zagrali Ignac i Bartas z Verby, film byłby jeszcze większym przebojem kasowym. Sądzę też, że z wielką szkodą dla życia kulturowego Warszawy zamknięto Le Madame… Nie potrafię jednak zrozumieć ludzi manifestujących w paradach swoją homoseksualność. Może jestem nietolerancyjny, mam jednak nadzieję, że przynajmniej oni, ludzie tolerancyjni, są w stanie mnie zrozumieć i potrafią żyć z ludźmi mojego pokroju.

Teraz temat, którego nie da się uniknąć, czyli konfliktu z Duże Pe. Pihu, nie irytuje Cię to, że wielu postrzega Cię teraz przez pryzmat beefu? Z jednej strony mamy ludzi, którzy Ci bluzgają, z drugiej takich, którzy prezentują wręcz wiernopoddańczy stosunek do Twojej osoby. Nie żenuje Cię to?

Pih: Takiego postrzegania nie da się uniknąć. Ludzie się z tym identyfikowali, są emocje. Zanim to wygaśnie, Pe musi się liczyć z tym, że jak gdzieś idzie, to ktoś może mu powiedzieć, że jest lamą. Tyle… To, że i jego, i mnie ludzie postrzegają przez ten beef, jest normalną sprawą.

Pyskaty, Ty raczej trzymasz się z boku.

Pyskaty: Ja stoję z boku z własnego wyboru. Było tak, że ja byłem skłonny coś nagrać od siebie, zresztą z tego typu numerami nigdy nie miałem problemu. Ten beef od początku był sygnowany jako konflikt na linii Pih-Pe. Nie bardzo się w tym widziałem. Zawsze jednak stałem i będę stał za swoim ziomkiem, tyle że byłem przekonany od początku, że on sobie doskonale poradzi i się nie zawiodłem.

Na takiej sytuacji jak ten beef można więcej zyskać czy stracić?

Pih: Nie widzę żadnych strat. Kiedy wychodzę na koncert w Hali Ludowej, gdzie jest siedem tysięcy osób, zaczyna grać bit do „Prosto w Twarz" i wszyscy krzyczą „Pe, ty kurwo", taka atmosfera tylko dodaje mi skrzydeł i wiary w to, co robię. A że kilku filozofów na forum napisze jakieś swoje bzdury – ja dla nich nigdy nie nagrywałem. Kiedy wchodzę do studia nagrywać utwór, nigdy nie myślę o odbiorcy. To jest moja ekspresja: podoba ci się to czy nie, mówię to, co leży mi na sercu.

Poświęciliście część siebie, część swoich stylów, żeby lepiej sprawdzić się w duecie jako Skazani Na Sukcezz, czy też każdy z Was jest tam po prostu sobą?

Pyskaty: Znaleźliśmy taki punkt wspólny, a linie naszych zajawek przecięły się na konkretnym klimacie. Nie ukrywamy, że na początku miało to mieć trochę inny styl, bardziej luźny, że tak powiem. Ale myślę, że nie było jakiegoś mocnego kompromisu.

Pih: Szczerze przyznam, że czasem trochę mnie to kosztowało. Nie to, że się poświęcałem, ale wcześniej raczej rzadko pisałem teksty prześmiewcze, tutaj musiałem nad tym trochę popracować. Tematy zobowiązywały do tego, żeby tak to potraktować. Generalnie jednak nie było jakiegoś bólu, wszystko było dla nas oczywiste, wychodziło naturalnie, bardzo dobrze rozumieliśmy się.

A czego się spodziewać po płycie „Na linii ognia"?

Pyskaty: Spodziewaj się niespodziewanego. Są życiówki, kilka poważnych tematów, osiedlowe hymny, duża porcja bragga, imprezowe bangery, ale też kawałki pełne ostrych punchów i bezkompromisowych nawijek. W numerze „Morderstwo" z Erosem jest na przykład totalna przeginka. Horrorcore rap mamy w tym kawałku (śmiech). Jeśli nie mam oporów, by nawijać o morderstwie, to czemu miałbym się wzbraniać przed pisaniem o uczuciach? Ja nie uznaję tabu, jeśli chodzi o tematykę.

Pihu, znany jesteś też z tego, że co roku wypuszczasz podsumowanie danego roku w kawałku. Pojawiła się gdzieś opinia, że po prostu sklejasz nagłówki z gazet i tak powstają te teksty.

Pih: Żartujesz chyba… (śmiech) To nie opiera się na tym, że wymieniam same rzeczy z nazw i na tym się to kończy. Zwłaszcza w „2005", gdzie pokusiłem się o wiele komentarzy. Zauważyłem, że niektórych ludzi to męczy i szukają dziury w całym. W sumie w pytaniu zawarłeś przecież słowa Flinta (śmiech). Ale to nie jest mój problem. Wiesz, tu nie chodzi o żadne nagłówki, tylko o to, że mówię o niewygodnych dla niektórych sprawach, tak to widzę. Może i moje poglądy są kontrowersyjne – nie dla wszystkich, bo wiele osób się z tym utożsamia – ale jeśli niektórych boli, bo oni sądzą inaczej, to trudno. Nie może być tak, że wszyscy idą jednym torem.

A wiesz już, co zawrzesz z pierwszego półrocza 2006 roku w następnym kawałku?

Pih: Możliwe, że nic nie będzie, bo mam ochotę zamknąć ten temat. „2003" to miał być jeden strzał. Już w 2005 trochę się męczyłem z tematem. A czułem lekką niechęć do kontynuacji pisząc „2004". To musi być zajawka, a jak coś robisz, bo ma być, a tobie się niekoniecznie chce, to nie ma sensu.

No i na koniec jeszcze jedno pytanie. Czego odmiennego od Skazanych powinniśmy się spodziewać po Waszych solówkach, które nastąpią potem?

Pyskaty: Na swojej solówce chciałbym sprawić, by ludzie przestali myśleć, że Pyskaty jest tylko od punchów i bragga. Są pewne rzeczy z mojego życiorysu, o których chciałbym powiedzieć głośno, a dla których nie było miejsca na płycie Skazanych. Nie oznacza to oczywiście, że teraz Pyskaty będzie melodramatyczny i rzewny (śmiech), ale chciałbym pokazać więcej siebie niż do tej pory. Myślę, że nadszedł odpowiedni czas.

Pih: Moja płyta będzie najbardziej osobista i zdecydowanie mroczna. Osoby, które znają mój rap od początku, będą zaskoczone tym, co nagram. Cały czas walczę z koncepcją, możliwe, że będzie to album dwupłytowy.

Kool Keith

Z KARTOTEKI PACJENTA THORTHONA

Imię: Keith. Nazwisko: Thorton. Data urodzenia: około 1965r. Miejsce urodzenia: Bronx. Pseudonimy: Kool Keith, Dr. Octagon, Dr. Dooom, Mr. Nogatco, Robbie Analog, Fly Ricky The Wine Taster, Mr. Gerbick, Keith Turbo, Willie Biggs, Clean Man, Rhythm X, Black Elvis... A oto historia choroby

tekst dr hadero

Pacjent Keith Thorton trafił do naszej kliniki psychiatrycznej około roku 1996, kiedy to zaczął podawać się za doktora Octagona. Otworzył wówczas gabinet ginekologiczny, w którym zamiast badać kobiety, zwyczajnie je wykorzystywał, dając upust swoim wyuzdanym fantazjom seksualnym. Zaburzenia psychiki były u niego ewidentne, chory przejawiał typowe objawy rozdwojenia jaźni, zatracał kontakt z rzeczywistością, twierdził, że widzi dookoła niebieskie kwiaty, był przekonany, że żyje w roku 3000, a na nasze pytanie o miejsce urodzenia odpowiadał bez śladu zawahania: „Jowisz".

Mało tego. Po tym jak skończyliśmy wstępne badania, Keith, wstając z fotela, nagle zmienił ton głosu, założył na plecy plastikową płetwę rekina, na głowę zaś włożył maskę aligatora i przedstawił się jako Mr. Gerbick, liczący 208 lat wujek niejakiego Doctora Octagona. Pamiętam, jak krzyczał wtedy na całe piętro: „Pół rekin, pół aligator, pół człowiek!". Nie mieliśmy wątpliwości – do leczenia!

Po trzech latach codziennych sesji terapeutycznych Thorton oświadczył: „Tak naprawdę, to ja jestem Czarnym Elvisem!". Na dowód tego wręczył nam okrągły plastikowy krążek w przedziwnej, rażąco zielonej okładce. Pod napisem „Kool Keith" ujrzeliśmy postać naszego pacjenta w ciemnych okularach i peruce a la król rock and rolla, a jeszcze niżej tytuł płyty „Lost In Space". Co się okazało? Keith Thorton to legendarny Kool Keith, który w drugiej połowie lat 80. ubiegłego wieku wraz z rymującym producentem Cedem Gee, TR Love i DJ'em Moe Love tworzył skład Ultramagnetic MC's, sławny głównie za sprawą nowatorskiego stylu zademonstrowanego na płycie „Critical Beatdown".

Bez zawahania nabyliśmy ten album, licząc po cichu na to, iż pomoże nam choć trochę w zrozumieniu zagadki Keitha Thortona. Niestety, zamiast odpowiedzi na dręczące nas pytania otrzymaliśmy dowód na to, iż Kool Keith był kiedyś niemal całkiem zdrowy. Owszem, miewał chwilowe ego-tripy, zdarzało mu się lunatykować, ale nikt z naszej kadry lekarskiej nie dopatrzył się żadnych niepokojących symptomów. Ultramagnetic MC's wydali wspólnie jeszcze trzy pełne albumy – jakkolwiek dobre, to niedorównujące jednak znakomitemu debiutowi – by w znamiennym dla naś roku 1996 zawiesić działalność. A lider grupy był naszym pacjentem...

Z biegiem czasu coraz bardziej fascynował nas kunszt naszego podopiecznego. Oryginalny styl rymowania, kompleksowo złożone, rzucone poza bit jakby od niechcenia zwrotki, pełne nieprzewidywalnych rymów wymierzonych w kiepskich mc – to nie mogło nie intrygować. Z drugiej strony Keith najwyraźniej cierpiał na jakiś rodzaj paranoi. Bez przerwy powtarzał, że wszyscy inni raperzy są do niczego...

Pewnego dnia pacjent przyniósł do mojego gabinetu płytę zatytułowaną „First Come, First Served" podpisaną jako Dr. Dooom. Jeszcze tego samego dnia zwołaliśmy zebranie, szybko tego żałując. Na otwarcie albumu postrzelony zostaje bowiem Dr. Octagon. Przy dźwiękach „Apartament 223" przeszyły nas zimne dreszcze, usłyszeliśmy bowiem o „kawałkach ludzkich ciał pod łóżkiem" i „ludziach jedzonych widelcem". W dodatku gadał ze szczurami. Przeszukaliśmy salę 223 tak dokładnie, jak się tylko dało, nie znajdując żadnego potwierdzenia naszych obaw. Na szczęście to tylko jego fantazja. W dodatku kilka miesięcy później uspokoił nas „zwyczajnym" i bardzo dobrym krążkiem „Matthew".

Na początku roku 2001 nasze pielęgniarki zachowywały się inaczej niż zwykle. Keith Thorton na płycie „Spankmaster" wrócił do erotycznych perwersji, wykorzystując nasze siostrzyczki, co gorsza – ku ich uciesze. Trudno się jednak dziwić, w końcu tyle czasu spędzał sam w swoim pokoju. Ale nie zawsze tworzył w samotności. Często odwiedzali go przedziwni goście. Tuż przed wydaniem wspomnianego Dr. Doooma niemal regularnym wizytatorem był niejaki Kut Masta Kurt. Przynosił zwykle ze sobą jakieś stare płyty oraz ogromne teczki, w których, jak kiedyś podejrzeliśmy, miał dwa gramofony.

Z czasem nasza wiedza o rapie rosła, a Kurtowi zaczął towarzyszyć w wizytach niejaki Motion Man. Rezultaty to porywająca płyta „Masters of Illusion". Tego samego roku na listę odwiedzających nieraz wpisywał się sam Ice-T (znany nam dobrze z taniego kina akcji, tak popularnego na nocnych dyżurach), czego efektem był album „Analog Brothers". Stan naszego pacjenta wydawał się dość stabilny – bez poprawy, bez większych wstrząsów. Do czasu...

Konkretnie do chwili, gdy na początku bieżącego roku oświadczył nam ze śmiertelną powagą, że był na wyprawie badawczej w Phoenix w Arizonie, gdzie pobrał jakieś próbki organiczne i skalne. „Następnie zabrałem je do hotelu w Oklahomie, gdzie je dokładnie przebadałem. Później wróciłem na Florydę, przemyślałem wszystko i doszedłem do wniosku, że na Ziemi wylądowali obcy, którzy wciąż istnieją". „Aha", odpowiedziałem za kolegów lekarzy, szybko dodając z ciekawości: „A jak się nazywasz?". „Mówcie mi Mr. Nogatco!"

I gdy już straciliśmy nadzieję na poprawę stanu zdrowia Thortona, bodajże na początku maja, gdzieś w okolicach premiery „Nogatco Rd.", doszły do nas słuchy, iż Keith wraz z pozostałymi członkami legendarnego składu zamierza reaktywować Ultramagnetic MC's. Premiera nowego albumu grupy, wstępnie zatytułowanego „It's The Best Kept Secret", zapowiadana jest na lato. Póki co, mogliśmy usłyszeć jedynie promujący go singiel „It's Them / Super Spell Bound". Brzmienie dość klasyczne, co prawda nie tak dynamiczne jak za dawnych lat, ale daje podstawy do optymizmu. Czekamy więc cierpliwie. A z kliniki i tak go nie wypuścimy, choćby wyzdrowiał. Za dobre płyty u nas nagrywa.

jamie Foxx
LITERKOWANIE

Nie ma takiej możliwości, żebyście nie znali bohatera tego artykułu. Od kilku lat jest jednym z najbardziej popularnych i lubianych czarnoskórych aktorów. W dodatku bardzo cenionym za swe umiejętności, co przecież nie zawsze idzie w parze. Z jego popisami wokalno-muzycznymi bywało różnie...

tekst Andrzej Cała / „Machina"

Debiutancki album z 1994 r. „Peep This" nie tylko przeszedł bez żadnego echa pod względem komercyjnym, został również mocno skrytykowany przez fachowców. Do tego stopnia, że na kolejną propozycję kontraktu i możliwość nagrania płyty Foxx czekał aż jedenaście długich lat. I naprawdę niewiele zmienia w tym przypadku fakt, że nagrywał ją raczej z pozycji brzdąkającej gwiazdy kina niż utalentowanego wokalisty.

Nie będę się teraz rozpisywał krok po kroku nad przebiegiem kariery Jamiego Foxxa. Nie wymienię tytułów wszystkich filmów, w jakich zagrał. Wybrałem natomiast zbiór – mam nadzieję interesujących – faktów i wiadomości, które pozwolą wam bliżej poznać tę postać. Nader ciekawą i pełną kolorytu.

Alliant International University
Tak nazywa się obecnie uniwersytet w San Diego, w którym w 1986 r. rozpoczął kolejny etap edukacji, dostając z miejsca stypendium muzyczne.

Bójki
Zdarzały mu się i to często. W 2003 r. został aresztowany w kasynie w Nowym Orleanie za szarpaninę z policjantem. Wyrok to pół roku w zawieszeniu i dwuletni nadzór kuratorski.

Corinne
Imię córeczki Foxxa, która przyszła na świat w 1995 r.

Dupy
No, to temat rzeka. Ostatnio widywano Foxxa u boku gorącej latynoski Evy Longorii, oboje jednak zaprzeczyli plotkom na temat romansu, mówiąc, że są tylko przyjaciółmi. A mi tu jedzie czołg...

Eric Morlon Bishop
Prawdziwe imię i nazwisko śpiewającego aktora.

Futbol amerykański
Foxx był quarterbackiem, grał zresztą na tyle dobrze, by być w reprezentacji liceum. Raz napisała o nim nawet lokalna gazeta.

Globy (Złote)
Jedna z najbardziej prestiżowych nagród filmowych. W 2004 r. Foxx był nominowany do niej aż za dwie role („Ray" i „Zakładnik").

Honor
Cecha charakteru, którą aktor najbardziej szanuje u innych ludzi.

In Living Color
Program rozrywkowy, który był wstępem Jamiego do wielkiej kariery. To tam dopracowywał swoje umiejętności jako komik – u boku m.in. Jima Carreya.

Juilliard School
Prestiżowa szkoła artystyczna w Nowym Jorku, uznawana za jedną z najważniejszych w Stanach Zjednoczonych. Przez krótki czas Foxx szlifował tam swój talent muzyczny.

Kanye West
To on tak naprawdę przywrócił Foxxa światu czarnej muzyki, najpierw poznając go z Twistą przy okazji pracy nad albumem „Kamikaze", a później nagrywając z nim jeden z największych hitów 2005 r., „Gold Digger".

Ludacris
Bliski przyjaciel aktora, ogromny fan jego twórczości i raper, który sprawił, że singiel „Unpredictable" jest jednym z najfajniejszych mainstreamowych hitów r&b ostatnich miesięcy.

MTV Films i Paramount Pictures
Na przełomie 2005 i 2006 roku firmy te podpisały z trio produkcyjnym Jamie Foxx / Jamie Rucker King / Marcus King dwuletnią umowę na kilka filmów dokumentalnych i reality shows o życiu gwiazd.

Nienawiść rasowa
Albo rasizm, jak kto woli. W jednym z wywiadów aktor przyznał, że wciąż nie może się otrząsnąć ze wszystkiego, co spotkało go za najmłodszych lat. Jego zdaniem społeczność w Teksasie ani trochę nie zmieniła się pod względem podejścia do czarnoskórych mieszkańców od dziesiątek lat.

Oliver Stone
To w jego filmie „Any Given Sunday" (1999 r.) Foxx zagrał przełomową rolę kinową, wcielając się w postać Williego Beamana.

Pianino
Instrument, na którym aktor uczył się grać od trzeciego roku życia.

Ray Charles
Legendarny muzyk i postać, w jaką wcielił się Jamie Foxx w filmie „Ray". Rola niewidomego pianisty przyniosła mu mnóstwo spektakularnych nagród, w tym Oscara (luty 2005 r.).

Serena Williams
Jedna z dwóch sióstr Williams, czyli największych gwiazd tenisa XXI wieku. W lipcu 2003 r. podczas nagród ESPN Foxx zaśpiewał w jej kierunku nagranie, którego motyw przewodni brzmiał „Czy mogę być Twoją piłką tenisową?"

Terrell
Niewielka miejscowość w stanie Teksas, w której 13 grudnia 1967 gwiazda przyszła na świat. Sprawdziłem kalendarz i był to poniedziałek, więc o pechowej trzynastce nie może być mowy.

Unpredictable
Singiel tytułowy z nowego albumu Foxxa, którego recenzję przeczytacie gdzieś tu obok, chyba że Grabiszczy przerzuci ją do działu recenzji (i przerzuciłem – przyp. GRB).

Wesele
Tom Cruise i Katie Holmes wpisali Foxxa jako jednego z pierwszych gości na swoją ceremonię ślubną. Chcieli też, by był on ojcem chrzestnym ich dziecka – tak przynajmniej pisano w prasie, bo Foxx wszystkiemu stanowczo zaprzeczył.

Zakończenie kariery
Foxx niedawno wypalił, że planuje zakończyć karierę dopiero, gdy dostanie trzeciego Oscara. To skazuje nas na oglądanie filmów z jego udziałem, słuchanie jego płyt i rozkminianie dowcipów do końca świata, a nawet jeden dzień dłużej.

funk jest we wszystkim

Łąki Łan, Freeks i Mama Selita to trzy zespoły pokazujące, że mimo tego, iż jesteśmy mało czarni i niewiele u nas słońca, to na tym gruncie może wyrosnąć coś naprawdę funky

tekst Marcin Flint
foto Archiwum, Cess (Mama Selita)

Piotrek z warszawskiego Łąki Łan mówiąc o przyszłości funku narzeka: „To się nie sprzeda, ludzie w Polsce są głusi na taką muzykę". Łódzkie Freeks ma w sobie więcej optymizmu: „Jeżeli my po 40 latach od powstania tej muzyki chcemy ją grać, to dlaczego za następne 40 ma jej nie być?" Stołeczna Mama Selita zauważa: „Wiązanie przyszłości z graniem muzy w IV RP to niezłe szaleństwo. Na razie jednak każdy z nas nie wyobraża sobie swojej przyszłości inaczej".

Ewolucja

Druh Sławek, didżej radiowy i dziennikarz propagujący czarną muzykę od połowy lat 90., przypomniał ostatnio wykres pochodzący z książki Rickey Vincenta. Wynika z niego, iż w latach 60. wykrystalizowały się trzy nowe gatunki – z muzyki gospel i R&B powstał soul, z R&B i rocka black rock, zaś z rocka i jazzu – jazz fusion. Tej trójce zawdzięczamy podstawowe trendy lat 70., czyli funk i disco (które Sławek chętnie określa jako efekt „bastardyzacji funku" czy nawet „funkiem dla białasów"). Łatwiej doszukać się dat wcześniejszych i bardziej konkretnych – według źródeł, nagrane w 1965 r. „Papa's Got A Brand New Bag" Jamesa Browna jest już numerem ewidentnie funkowym. Brown, Sly Stone i George Clinton uchodzą za funkową świętą trójcę, rzecz jasna z naciskiem na tego pierwszego.

Ale nie wszystko jest ich zasługą. Członkowie Mama Selity zwrócą uwagę na niekonwencjonalne zabiegi rytmiczne nowoorleańskiego The Meters, funk nie był bowiem tylko „nisko osadzoną" muzyką opartą na głębokim basie, niósł też za sobą pewną rewolucję rytmiczną. Wspólnie z łodzianami z Freeks zachwycają się Tower of Power z racji na ich rozbudowanie instrumentalne. Piotrek z Łąki Łan dopisze do listy choćby Rose Royce, Jimmy'ego Hendrixa, Prince'a i Bootsy Collinsa. Funk nigdy nie zaginął, ewoluował w inne formy. Tak jak kiedyś funk pożyczyli sobie Herbie Hancock i Miles Davis krzyżując go z jazzem, tak do młodszego pokolenia przemycili go choćby Red Hot Chilli Peppers, Rage Against The Machine i Jamiroquai.

Wbrew pozorom przemycano go i do Polski. Michał Urbaniak czy Urszula Dudziak to oczywista sprawa, ale moi rozmówcy zgodnie wymieniają Breakout, Bemibek, „Ogród Luizy" Haliny Frąckowiak i SBB. Trochę działo się poza światłem reflektorów – w latach 86-88 działało Green Revolution Wojtka Konikiewicza, gdzie jazzowy odlot miesza się z partiami midi, funkowym groove, a nawet rapem! Ich płyta nie została wydana, środowisko jazzowe ich „osrało", ukazał się jednak winyl z soundtrackiem do filmu „Na całość".

Lata 90. to głównie Blenders (mówi się o ich powrocie w najmocniejszym składzie!) i projekty Glennskiiego: Flaphouse Vag czy Groovekojad. Choć jeden z rozmówców słusznie narzeka, iż „niektóre hip-hopowe 'squady' dają ludziom błędny obraz, czym tak naprawdę jest muzyka funkowa", to miały one swój wpływ. Numer Raz nazywa się na stronie swojej wytwórni „legendą polskiego funku", funk pojawiał się w tytule płyty wrocławskiego FFOD i stołecznej Siły Dźwięq, przez przypadki odmieniał go Jot z całym dolnośląskim Drutz. Sfond Squnksa i Poema Faktu to gwardia clintonowskiego p-funku. Mes wraz ze swoim 2cztery7 żyje kalifornijskim, zadziornym g-funkiem. A jak funk czuje się w Polsce teraz?

łąkiFunk

Dwa powody, żeby zacząć raport od Łąki Łan: płyta w sklepach i koncerty, o których mówi każdy, kto widział grupę na żywo. Według bajki ze strony internetowej, w skład wchodzą: Poń Kolny – znany z celnej riposty, Niesforny Bonk – wybitny znawca smaków i zapachów, Poważka – malkontent elokwent, szybki i wściekły MegaMotyl oraz mały skrzat imieniem Księżul Sporysz. A teraz wyobraźcie sobie, że ksywy wiążą się z konkretnymi przebraniami! „Ameryki nie odkryliśmy", mówi Piotrek, perkusista zespołu, gdyż taki image kojarzy się z szalonym, barwnym wizerunkiem George'a Clintona i jego ludzi. „Mam nadzieję, że w naszym wypadku muzyka broni się sama, a kostiumy nie przeszkadzają. Jeżeli chodzi o granie funka i zabawę, to się musi wiązać z jajem. Wszystko co robimy, to jedno wielkie jajo. Nie ma w tym nic poważnego".

Serio panowie podchodzą natomiast do jakości brzmienia. „Nieskromnie powiem, że funka rąbiemy jak z kapelusza. Zawsze firmujemy się tym, że go gramy, chociaż gdzieś wyczytałem, że nazywa się to 'disco funk rock' czy nawet 'techno funk rock'. Jednak – jak powiedział to kiedyś król James – wszystko co 'na raz', to funk, nie ma się co oszukiwać. Każdy numer techno, house i hip-hopowy ma w sobie trochę funka. Trzeba to miksować i mieszać ze sobą". Na pierwszej płycie zespołu, którą Piotrek uznaje obecnie za zupełnie niereprezentatywną, funk mieszał się z disco, country, punkiem, a nawet żartem muzycznym w rodzaju Kur Tymańskiego. Póki co, na nowym materiale „wszystko jest osadzone 'na cztery', w beacie funkowym. Jest parę numerów stricte punkowych, ale to ze względu na sentyment i czad na koncertach".

Podstawową zmianą jest brak dotychczasowego wokalisty. Trzymając się klimatu cytowanej bajki – poszedł na wyprawę. Poza tym, że panowie musieli szybko opracować nowy repertuar i w trzy tygodnie napisali pięć kawałków, nie okazało się to problemem. „Na ostatnim koncercie wkradła się nowa jakość. Nagle okazało się, że wszyscy lubią i umieją śpiewać. Nawet gitarzysta Misiek dysponuje pięknym falsetem. Nie będzie to już zespół z jednym wokalistą. Zmieniliśmy nawet ustawienie – stoimy w rzędzie. Bębny, bas, gitara, klawisze. I wszyscy są frontmanami". Zmienić może się więcej niż myślicie. Piotrek: „Nie mówię, że będziemy dalej owadami. Może być to coś zupełnie innego, recepty nie mam, ale jesteśmy bardzo kreatywni."

łódzki groove

Michał Karkusiński i Marek Maciejewski z grupy Freeks przypominają rozwój funku na przestrzeni lat: „W latach 60. niesamowite narodziny stylistyki funkowej, błyskawiczny rozwój w Stanach. Później odejście od czysto rasowego funka, bardziej w stronę fusion (funk-disco-soul-acid jazz)". Istniejący już blisko 6 lat Freeks sami stanowią fuzję zarówno elementów – to przecież wokal, klawisze, gitara elektryczna, bas, perkusja, saksofon, trąbka i puzon – jak i gatunków. „Gramy taką muzykę, która w nas siedzi, a łączymy w tym funk-rock-disco-i-inne. Skoro na nasz koncert przychodzą ludzie, dzwonią

jest we wszystkim

i piszą maile, żeby zak[...]ić nasze nagrania lub pytają nas, kiedy zagramy koncert w ich mieście, to jest dla nas wyznacznik, że obraliśmy słuszny kierunek, a cała reszta mało nas obchodzi. Co z tego, że do końca nie jesteśmy funkowi czy rockowi, czy jeszcze inni. Nam podoba się to, jacy jesteśmy. Wchodzimy na scenę, dajemy z siebie 300% normy, żeby nawet zatwardziały metalowiec pokiwał palcem w bucie i wyczuł, że mamy groove", tłumaczą panowie. Zarzekają, że nikt nie będzie płakał, jeśli nie znajdzie się wydawca ich materiału. Młodzi hip-hopowcy mogliby się wiele nauczyć odnośnie profesjonalnego działania w podziemiu. Freeks traktują się poważnie, mają menedżera, kierowcę i technicznych, żeby nie odrywać się od muzyki. Zdobywają nagrody na festiwalach krajowych i międzynarodowych (Festiwal Muzyki Studenckiej we francuskim Belfort). To wyedukowani, doświadczeni muzycy, których nie można przegapić.

Najgroźniejsi

W dwóch powyższych częściach była mowa o wyjadaczach i zawodowcach. Na co musi być gotowy zespół, który wkracza na rynek, jak warszawska Mama Selita? Polskiej sceny funkowej właściwie nie ma. Nie ma festiwali, labela, który by wyspecjalizował się w takiej muzyce. Szukać trzeba zespołów, z którymi można zagrać. Co do tego większość jest zgodna. Są jednak kolejne przeszkody do pokonania.

Pierwsza z nich to stworzenie odpowiedniego zespołu, bo istotą funku jest żywa wibracja, bez sampli i automatów perkusyjnych, a to wymaga zgrania kilku osobowości. „Gregor, gitarzysta, ciągnie bardziej w stronę szybkiego tempa i nowoczesnej muzyki, która silnie czerpie z funku. Igor, wokalista, wywodzi się z tradycji hip-hopowej. Piotrek, na pozycji prawoskrzydłowej gitary, woli oldschoolowe klimaty w stylu Jamesa Browna i p-funk". Druga przeszkoda to mentalność. „Trudno jest przebić się z muzyką nawiązującą do funkowej stylistyki, ponieważ w naszym kraju w małym stopniu istnieje zjawisko zabawy przy żywej muzie, nie licząc kapel weselnych. Funk jest muzyką klubową, taneczną, ludzie przy niej tańczą. Wydaje mi się, że publiczność nie do końca wie, jak się zachować", tłumaczy Igor, ale panowie nie tracą ducha. „Staramy się grać jak najwięcej, przez to zdarza się, że trafiamy na imprezy, gdzie występujemy pomiędzy kapelami trash metalowymi a doom death metalcore, ale lubimy grać koncerty dla każdej publiczności".

Zresztą, co tam bać się „szatanów", skoro Mama Selita zarzeka się, że „oficjalnie gra najgroźniejszą funkową muzę na ziemi". Zespół ma na koncie żywiołowe, przebojowe i zróżnicowane tekstowo demo. „Średnioterminowym" celem jest wydanie płyty. Długoterminowym jest „podbicie Ziemi i okolicznych planet". To możliwe, bo funku nie da się nie lubić. Dobrze szukajcie koncertów i festiwali, powoli jednak zaczynają się pojawiać.

Kontakt: www.lakilan.pl, www.freeks.pl, www.mamaselita.art.pl







FREEKS

funk



Kali ODSZCZEPIENIEC

Ilu znacie raperów, którzy jednego dnia robią rap, drugiego dancehall, trzeciego crunk, czwartego można zaś oczekiwać po nich kawałka z Norbim? Oto krótki raport z przesiąkniętej dymem, melanżem, ale i depresją krainy Kalego

tekst Flint
foto Cess

Imielin to część Ursynowa, ale z własnymi tradycjami. Tu działali chłopaki z Morwy, ale i Imielin Familia, ludzie od Emade, Fisza i Inespe. Trzymaliście się kiedyś razem, wymienialiście doświadczeniami?

Może na początku, jeszcze przed Szybkim Szmalem. Obok jest szkoła, przesiadywaliśmy na niej wszyscy, oni rzecz jasna dużo dłużej. Byliśmy dzieciakami, które się jarały, a oni dostarczali nam materiału do jarania się. Zarazili nas zajawką. Ktoś np. puszczał coś z samochodu, ktoś inny z boomboxa. To były czasy tworzenia „Opowieści z podwórkowej ławki", niedługo po „RHX Generacji" i „Fisz Solo". Miałem jakieś 15 lat i wtedy byli dla nas kimś w rodzaju osiedlowych legend.

W jednym z utworów mówiłeś, że chciałbyś być „tam, gdzie rodzą się legendy". Póki co, z oficjalnych wydawnictw masz na koncie płytę z Szybkim Szmalem w MIL'u i solo w Rap-In. Jak oceniasz swoją drogę?

Patrzę na to optymistycznie. Kiedy zaczynaliśmy 9 lat temu, polski hip-hop się już rozpędzał i miejsca fejmowców obsadzone były dawno. Z czasem coraz trudniej się przebić, ale da się jeszcze to zrobić. Trudno zaprzeczyć, że „Szybki Szmal Mixtape 2005" został usłyszany, mimo że jest to tylko nielegal. Poza tym, „tam, gdzie rodzą się legendy" nie ma oznaczać miejsca w hierarchii czy pozycji na rynku, a raczej twórczy stan umysłu. Legendy rodzą się z artystycznej szczerości. Jestem sobą, dążę do tego stanu. Ewoluowałem od czasu nagrywek z 2002 poprzez Szybki Szmal. Od tego czasu rozwinąłem się znacząco. Wczesny etap twórczości to droga przez mękę, podczas której klarowało się, co będę robił później.

Nie masz już na ścianie pokoju Don Kichota, który „przypominał Ci, kim byłeś"...

Nie mam. Cytowany przez ciebie kawałek jest opisem odczuć człowieka, który w danym momencie umiera, patrzy na to, co było wcześniej i myśli, z czego może być zadowolony, a z czego nie. Donkiszotyzm polega na nieuleganiu wrażeniu, że rzeczywistość jest powierzchowna i prosta, pozbawiona podtekstów. Trzeba dostrzec coś głębiej, nawet jeśli inni tego nie widzą. O ile nie trafisz przez to do psychiatryka.

Trzeba dostrzec coś głębiej, nawet jeśli inni tego nie widzą. O ile nie trafisz przez to do psychiatryka.

Rzeczywiście „studiujesz psychologię, bo sam jesteś psycho"? Często na kierunku tym kończą ci, którzy chcą za wszelką cenę zrozumieć siebie i innych.

To był mój główny argument na rozmowie kwalifikacyjnej. Szkoła dała mi do myślenia i nauczyła, żeby zbyt dużo od ludzi nie wymagać. Czasem trudno wymagać czegoś od samego siebie. W kontaktach międzyludzkich zdarzają się zgrzyty, momenty, kiedy ktoś nas, powiedzmy, irytuje. Warto wtedy pomyśleć, że my sami moglibyśmy na kogoś działać w identyczny sposób.

Twoje kontakty z ludźmi potrafią być groteskowe. Na „2002-2004" jest gościnnie KNT, przez którego niesłowność i niezdolność działania materiał sporo poleżał. Są też dwa beaty od Cameya, którego nazywasz na Szybkim Szmalu „jebanym frajerem".

Wydawcy mówią, że chcieliby dobrze dla ciebie. Zależy im na czymś zupełnie innym. Pomińmy Kozaka, co do którego nie wiadomo, na czym mu zależy, ale i tak nie ma warunków, żeby cokolwiek zrobić. Camey w trakcie rozmów jest sympatyczny, tylko potem okazuje się, że piosenka nie może mieć przekleństw, ma być taka, żeby posłuchała jej i babcia, i wnuczka, tak żeby babcia kupiła jej potem tę płytę. Ma nie być sampli i żeby łatwo się dało zrobić do tego dzwonek polifoniczny, bo da się zarobić na tym 3000 miesięcznie. Powiem szczerze, że niewiele mi brakowało, żeby temu ulec. Cameyowi bardzo podobało się „Hej! Tańcz" - chciał tylko, żeby było czyściej i bardziej dance'owo. Kawałek pasował mu do konwencji. „Pójdziesz bardziej w tę stronę, to cię wydamy, będziesz sławny i kariera stanie przed tobą otworem". Ale na szczęście tak się nie stało. Choćby przez patrzenie na Lerka, który w efekcie zabrnął w ślepą uliczkę „cameyostwa". Camey narzuca mu swoją wizję image'u, klip, promocję, nie mówiąc o muzyce i konwencji lirycznej.

Masz sporo hitów na lato, ale trudno mi wyobrazić sobie Ciebie w kurorcie. Nie wiem, czy zwycięża Kali-imprezowicz, czy przyglądający się z boku Kali-zgryźliwy komentator.

Jestem trochę taki, trochę taki. Mogę iść na melanż, dobrze się bawić, ale w pewnym momencie nachodzą mnie myśli, że jest to bezsensowne i powierzchowne. Zmuszasz się do tego, żeby jechać nad morze, jeść kebaby i na siłę dobrze się bawić, bo tak się utarło. Trzeba słuchać samego siebie.

Co do słuchania, boję się Twoich rekomendacji. Zauważyłem u Ciebie tendencję, by nagrywać z, hmmm, osobliwościami sceny... Nagrałeś kawałek z WSP, dogadałeś się na utwór z Gorzkim, wiem, że miałeś w planach kawałek z Żuromem i Mei.

To dlatego, że sam uważam się za odszczepieńca. Z Gorzkim nagrałem kawałek przez Internet, ale Kozak w efekcie nie wysłał mu wokali. Z WSP na moim albumie pojawił się tylko Radar, który poszedł inną drogą niż reszta składu. Dawno go nie widziałem, ale wtedy studiował dziennikarstwo w katolickiej szkole i przejawiał przy tym spore zainteresowanie. Z Żuromem rozmawiałem jakoś niedługo po tym, jak został strasznie zjechany na forum. Miał dograć się do „Forumowców", ale nie udało mu się. Mei to była znajoma znajomej znajomego, wpadła kiedyś do Kajuty na imprezę. Ponagrywaliśmy trochę i tak dalej.

Masz już upatrzone kolejne cele? Może Funky Filon...

Norbi! Jeszcze Norbi wchodzi w grę.

Myślałeś o tym, że koledzy z Szybkiego Szmalu zrezygnują ze współpracy z racji na takie towarzystwo?

Ostatnio nad tym myślałem. Dopóki mam studio, raczej nie (śmiech).



RADEK MISZCZAK

SEN TO LUKSUS

Są ludzie tak pracowici i rzetelni, że nie muszą nic mówić. I chociaż za Radka mówi bardzo dobry leksykon, strona MTV, a przede wszystkim klimat Hip Hop Kempu, chcieliśmy, żeby dodał coś od siebie

pytał Marcin Flint

Twoja praca to przede wszystkim MTV. Kiedyś ikona dla młodych ludzi, ostatnio w dużej mierze kanał z kretyńskimi reality shows. Już widać pobudkę z letargu, ale i tak nie uwierzę, że z przyjemnością oglądasz telewizję, która Cię zatrudnia.

Zdaję sobie sprawę, że wspomniane przez Ciebie programy nie są skierowane do mnie i raczej ich nie oglądam. W swojej pracy dbam o poziom i nie mam do siebie pretensji. Teraz prowadzę internetowe wydania Rap Pakamery i MTV N-Style – programów, których formuła mi się podoba. Gdyby menadżerowie tej stacji myśleli o wewnętrznym spełnieniu się, to mielibyśmy drugą TVP Kulturę. W życiu trzeba rozróżniać kwestie stricte ideowe – niestety hip-hop dla wielu dziennikarzy musi być właśnie taką kwestią – i inne. MTV to wielkie medium popkulturalne, największa marka na świecie, towar. Akceptuję to i cieszę się, że mogę to współtworzyć.

Mówisz, że dziennikarstwo hip-hopowe jest dla idealistów, jestem więc ciekaw profitów z leksykonu, który w dużej mierze tworzyliście we dwójkę razem z Andrzejem Całą.

Materialnych korzyści nie odczułem jakkolwiek i nie spodziewam się, żebym je odczuł. Mam nadzieję, że przynajmniej pokryją się koszty związane z pisaniem tej książki („Beaty, rymy, życie. Leksykon muzyki hip-hop" – przyp. red.) przez dwa lata. Traktuję to jako misję. Fani hip-hopu mogą tanio kupić porządnie wydany leksykon i cieszę się, że to docenili. Oni i osoby spoza środowiska.

Kłóciliście się z Andrzejem odnośnie tego, kto ma napisać jaką definicję? Czy może raczej nie napisać... Już to sobie wyobrażam – „Nie, nie napiszę Mastera P! Ty napiszesz!!!"

Tak, tak! Andrzej jest konserwatywnym fanem hip-hopu i twierdzi, że Cash Money czy No Limits to dla niego nie jest hip-hop i nie zamierza o tym pisać. Całe to ścierwo przypadło mi, ale jako redaktor prowadzący wiedziałem, że musimy to zawrzeć, skoro mamy być obiektywni.

Tworzenie leksykonu było w dużej mierze przyjemnością. A organizacja Hip Hop Kempu? Satysfakcja czy żmudna praca, w której przydaje Ci się głównie ekonomiczne wykształcenie?

Satysfakcja przede wszystkim. Praca nad Hip Hop Kempem trwa sześć miesięcy – pięć miesięcy przed wydarzeniem i jeden miesiąc po. Finanse to jedno, natomiast kiedy widzę na festiwalu parę tysięcy Polaków i wiem, że większość przyjechała dzięki mojej pracy, po czym patrzę, jak wspaniale się bawią i wspominają go jako największe wydarzenie swojego imprezowego życia, to jest to wielka satysfakcja.

Zwykło się w Polsce traktować Czechów, organizatorów festiwalu, w sposób protekcjonalny. Straszy wizja puculowatego, niezbyt lotnego Szwejka ślęczącego nad piwem. Nie było problemów wynikających z różnic w mentalności i stereotypów?

Nasze pokolenie przekroczyło bariery dotyczące jeszcze naszych dziadków, współpraca układa się doskonale, co bardzo mnie cieszy. Mniej tu zawiści i niezdrowych zachowań. Wszystko jest jasne i harmonijnie



rozwija się piąty rok, a różnice pozwalają kreować nowe pomysły i poszerzać horyzont widzenia.

Polski hip-hop jest Czechom bliski, a entuzjazm wobec undergroundu nawet i większy...

Kiedy pytałem Czechów, czy wciąż są tak ślepo zapatrzeni w underground, to powiedzieli, że ten czas po części minął. Trwa u nich boom, który mieliśmy w Polsce 3-4 lata temu. Jednak o rozwinięciu sceny najlepiej świadczy to, że taka impreza jak Hip Hop Kemp (www.hiphopkemp.pl), a więc pozbawiona „headlinerów" w festiwalowych kategoriach, z wykonawcami, z których żaden nie miał złotej płyty, przyciąga 16 tysięcy osób. To fenomen. Czesi mają atmosferę, która temu po prostu sprzyja. Nawet ludzie niesłuchający na co dzień, przyjeżdżają i wspaniale się bawią.

No właśnie, docierają do mnie narzekania, że początkowo HHK był dla ludzi hip-hopem żyjących i znających się na nim. Potem zaś, mimo braku „headlinerów", towarzystwo stało się bardziej przypadkowe...

Być może jest w tym trochę prawdy, ale przyjeżdżają osoby, które bawią się na poziomie i nie przeszkadzają innym, a wręcz sprawiają, że jest luźniej i weselej. Na festiwal stricte hip-hopowy wyrasta Urban Rapublic (www.urbanrapublic.pl), który dzieje się w Táborze dwa miesiące przed Kempem, 23-24 czerwca. Będą tam Dilated Peoples, El Da Sensei i O.C., jednak spodziewamy się maksymalnie 3 tysięcy osób, zupełnych zajarańców. Polecam go ortodoksom, tam będą w raju.

Za które z koncertów na tegorocznym HHK ręczysz?

Polecam artystów z górnej półki – Guru z Gangstarra, Non Phixion, Little Brother i DJ'a A-Traka, fenomenalnego kanadyjskiego DJ'a skreczującego obecnie na koncertach Kanye Westa. Przed tą publiką zrobią genialny show. Poza Guru i ostatnio A-Trakiem rzadko grają przed takimi tłumami. Warto też wyjrzeć poza kanon amerykańskich gwiazd i spojrzeć na reprezentantów sceny brytyjskiej albo niemieckiej, czy też nawet mniej znanych jak holenderska, cypryjska, grecka. To bywają niesamowite niespodzianki na miarę tych, jaką rok temu okazało się Foreign Beggars, a jeszcze wcześniej Task Force. Miejcie szeroko otwarte oczy i uszy. Selekcjonerzy na Kempie wykonują swoją robotę niezwykle starannie.

Współpracujesz z gazetami, masz stałą pracę w MTV, uczysz się w SGH'u, organizujesz festiwale. Ile godzin śpisz na dobę?

To temat tabu (śmiech). Dodaj do tego jeszcze życie prywatne, towarzyskie, rodzinne, kulturalne i inne, to już w ogóle śmiesznie się robi. Sen jest luksusem, na który nie zawsze mogę sobie pozwolić. Chciałbym dużo zrobić, przeżyć, osiągnąć, a w tym celu najpierw trzeba sporo dać, poświęcić. Tyle się dzieje na całym świecie, a ja mam drzemać?! Uwielbiam sen, ale jego brak to koszt, który świadomie ponoszę.





CAM'RON
RÓŻOWY PAN TERAZ

Członek odnoszącego coraz większe sukcesy komercyjne kolektywu The Diplomats. Raper mający na swoim koncie już pięć solowych albumów. Oficjalnie twardy gracz, będący jednocześnie propagatorem różowych dresów wśród czarnoskórych mieszkańców Ameryki Północnej...

tekst Krzysztof Grabowski (Grabiszczy)

22 października ubiegłego roku. Jest pierwsza dwadzieścia w nocy w stolicy USA, Waszyngtonie. Na czerwonych światłach przed skrzyżowaniem zatrzymuje się warte fortunę niebieskie Lamborghini Gallardo, za którym w pewnej odległości staje różowy Range Rover. Nagle, przy sportowym wozie z piskiem hamuje terenowy Ford Expedition, z którego wyskakuje uzbrojony człowiek. Oddaje on kilka strzałów w kierunku kierowcy Lamborghini, po czym jeszcze dwa w stronę Rovera. Luksusowe sportowe auto mimo tego rusza, zaś napastnik wsiada z powrotem do swego wozu i czym prędzej oddala się z miejsca zajścia.

Za kierownicą Gallardo znajdował się Cam'ron, w Roverze – jego ludzie. Kto strzelał? Nie wiadomo. Cam musiał widzieć strzelającego, całe zajście widziało jeszcze co najmniej kilka osób, ale do tej pory sprawa pozostaje nierozwiązana. Raper nie miał zamiaru współpracować z policją. Wyobrażacie sobie gangsta rapera wskazującego na komisariacie napastnika spośród grupy kilku mężczyzn? Jasne, jego uliczna reputacja wcale by nie ucierpiała... Zresztą, reputacja jak reputacja, ale sprzedaż płyt mogłaby spaść dość wymiernie, a tego Cam'ron już by pewnie nie przeżył. „Nic nie dostali. Wciąż mam swój wóz i biżuterię. Nie oddałem samochodu, bo zapłaciłem za niego 250 tysięcy dolarów. Nie oddam niczego tak po prostu komuś, kto macha przede mną bronią."



Cameron Giles zapowiadał się w szkole średniej na niezłego koszykarza. Był o krok od uzyskania stypendium sportowego na którymś z uniwersytetów. Jedynym problemem była jego niska średnia ocen, która nie kwalifikowała go do studiowania. Młody chłopak zamiast się uczyć, wolał pisać teksty rapowych kawałków. Tym razem przysłowie o nauce jako kluczu do potęgi jakoś nie znalazło zastosowania...

Już wówczas Cam'ron znał i miał szacunek kilku poważnych graczy na nowojorskiej hip-hopowej scenie. Bo jak inaczej można nazwać Mase'a czy Big L'a? Ten pierwszy przedstawił młodego rapera samemu „królowi" Nowego Jorku, Notoriousowi B.I.G. No i jak to w bajkach bywa, Duży Tatuś polecił Cam'rona swemu menedżerowi Lance'owi „Un" Riverze, właścicielowi m.in. labela Untertainment, ten zaś zdecydował się wydać płytę utalentowanego nowicjusza. W ten sposób na rynek trafił krążek „Confessions Of Fire". Był 1998 rok. Do obecnego statusu (i image'u) dużo jeszcze Cam'ronowi brakowało. Niemniej jednak album nabyła wystarczająca liczba słuchaczy, by album pokrył się złotem, a wskaźnik reputacji rapera zdecydowanie się podniósł dzięki takim kawałkom jak „357" czy „Horse And Carriage" z Mase'em.



Jak już wiecie po pierwszej przedstawionej scence, w hip-hopie trzeba być „gangsta". Co jeszcze to oznacza? Otóż na pewno „gangsta" jest podpisanie kontraktu z wytwórnią (w przypadku Cam'rona – Sony Records), a następnie poprzez groźby i napaści na jej pracowników wymuszenie zerwania umowy. Ponoć przyczyną takiego zachowania rapera była zawalona przez label promocja jego drugiego, wydanego w 2000 roku albumu „S.D.E." (skrót od słów „sport, narkotyki i rozrywka"), który mimo rosnącej sławy Cama sprzedał

się dużo słabiej niż jego debiut. I znowu okazało się, że bycie grzecznym i układnym nie popłaca, bo w efekcie „odejście" rapera z Sony zaowocowało najlepszym posunięciem w całej jego karierze – podpisaniem kontraktu z Damonem Dashem i jego Roc-A-Fella Records prowadzonym jeszcze wówczas razem z Jayem-Z. W tym momencie można by napisać – i tak to się naprawdę zaczęło...

Wydany w 2002 roku krążek „Come Home With Me" zawojował listy przebojów (dotarł aż do drugiego miejsca na liście „Billboardu") dzięki dwóm hitom: „Oh Boy" i „Hey Ma". Rok później Cam'ron poszedł za ciosem i wydał wraz z przyjaciółmi z The Diplomats (więcej o nich w ramce obok tekstu) album „Diplomatic Immunity", który również święcił triumfy, głównie za sprawą „Dipset Anthem". Choć fakt, że tematyka tekstów Cam'rona i spółki pozostawiała i pozostawia wciąż wiele do życzenia (ileż bowiem można rymować np. o zabijaniu „spedalonych czarnuchów"?!), to stylu nawijki nie można mu odmówić. Cam posunął się do nadania sobie tytułu „Króla Harlemu". Kwestia raczej sporna i kontrowersyjna, ale nie da się zaprzeczyć, że stał się mistrzem łączenia na płytach ulicznych hymnów z wpadającymi w ucho, przeznaczonymi do radiowej czy telewizyjnej promocji singlami.



No, dobra. Było ciągle o „gangsta". Co jednak trudno przyjąć za „gangsta"? Według wszystkich zdrowo myślących mężczyzn, zdecydowanie „anty-gangsta" (w ogóle anty-wszystko...) byłoby mianowicie noszenie ciuchów koloru różowego. Nie dla Cam'rona. To właśnie on rozpropagował wśród czarnoskórych wdzianka tego koloru przy okazji promowania „Come Home..." Bo jeśli nosi je taki przeziom jak Cam, to dlaczego nie mają tego robić wszyscy inni twardzi mieszkańcy niebezpiecznych dzielnic? To nie wszystko – pamiętacie kolor Range Rovera z pierwszego akapitu? No właśnie... Żyłka biznesowa Cam'rona objawiła się jeszcze przy okazji wypuszczenia na rynek perfum „Oh Boy" i napoju alkoholowego „Sizzurp". Imperium rosło w siłę.

Inni członkowie Dipset też nie zasypiali gruszek w popiele. Wydawali w ramach należącego do Cama labela Diplomat Records solowe krążki oraz niezliczone mixtape'y (wspólnie i solo, ale zawsze z wzajemnym udziałem na płytach), które znajdowały nabywców nie tylko w Harlemie, nie tylko w całych Stanach, ale często też na całym świecie. Tak jak Cam'ron wybił się dzięki kontaktom z weteranami, tak teraz on sam umożliwił karierę przede wszystkim Juelzowi Santanie, ale tylko patrzeć, jak ksywki J.R. Writera, Hell Rella czy 40 Cala staną się równie znane.



Nie wszystko jednak wyglądało, nomen omen, tak różowo. Jeszcze w 2002 roku Cam został aresztowany za posiadanie narkotyków i broni, ale przyznał się do winy i dostał wyrok w zawieszeniu. Gorzej było z psującą się sytuacją w Roc-A-Fella, kiedy to Cam'ron wszedł w otwarty konflikt z Jayem-Z, który nie pozwolił Damonowi Dashowi na wypromowanie Killa Cama (jedna z ksywek rapera) do jednego z czołowych stanowisk w wytwórni. Z pewnością właśnie sytuacja w labelu była powodem, dla którego premiera czwartego albumu Cam'rona był wciąż przesuwana, sam krążek „Purple Haze" w kilku różnych wersjach przeciekł do Internetu, a ostatecznie po wydaniu płyty (pod koniec 2004 roku) była ona bardzo słabo promowana. Doszło nawet do tego, że Cam sam sfinansował klip do produkowanego przez Kanye Westa numeru „Down And Out".

Nie ma się co dziwić, że w związku tym najnowszy album rapera, „Killa Season", wyszedł już w należącym do Warnera labelu Asylum Records. Cam'ron ma tak mocną pozycję, że już nawet nie ukrywa swej niechęci do Jaya-Z. Na początku tego roku nagrał na niego dissy „Gotta Love It" i „Swagger Jacker", ponadto wypowiadał się o nim nieprzychylnie w wywiadach. Jay nie odpowiedział i chyba na szczęście dla Cama, bo jeszcze naraziłby na szwank jego „gangsta"...

THE DIPLOMATS

A oto krótkie przedstawienie najważniejszych partnerów Cam'rona ze składu The Diplomats.



JIM JONES

Prawa ręka Cam'rona, którego poznał jeszcze za czasów szkoły średniej. Jest odpowiedzialny za repertuar w Warner Music Group i wypuścił z Cam'ronem na rynek napój alkoholowy Sizzurp. Z początku w Dipset ogarniał tylko sprawy organizacyjne (m. in. współzakładał z Camem Diplomat Records), ale teraz oczywiście również nagrywa – ma już dwa solowe krążki.



FREEKEY ZEEKEY

W składzie Dipset jest od samego początku i to jako prezydent Diplomat Records. Obecnie jest w więzieniu. W 2003 roku został postrzelony. Mówiło się o nim jako o najbardziej zwariowanym hypemanie od czasów Flavor Flava z Public Enemy.



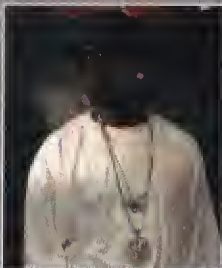
JUELZ SANTANA

Najbardziej znany (i najbardziej utalentowany) raper z gwardii przybocznej Cam'rona. Można wręcz stwierdzić, że – jako jego uczeń – przerósł swojego mistrza. Oficjalnie debiutował w wieku 18 lat na trzeciej solówce Cama. Obecnie ma już na koncie dwa solowe albumy. Recenzję wydanego pod koniec 2005 roku krążka „What The Game's Been Missing" możecie znaleźć w poprzednim numerze „Ślizgu".



J.R. WRITER

Do Dipset dołączył dość późno (pojawił się w 2003 roku na debiutanckim krążku Juelza), ale szybko potwierdził opinię drapieżnego, „głodnego", ulicznego emce. Lada dzień w Diplomat Records powinien ukazać się jego debiutancki album „History In The Making".



HELL RELL

Podobnie do Writera, pierwszego solowego albumu tego członka The Diplomats możemy spodziewać się jeszcze w tym roku. Ma nosić tytuł „4 Da Hell Of It". Hell Rell dołączył do Dipset dzięki Jonesowi. Wcześniej miał przyjemność ponad dwuletniej odsiadki za handel narkotykami.



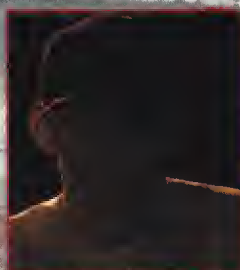
mistrzowska sonda



Co prawda, kiedy trzymacie ten numer w dłoniach, Mistrzostwa Świata w piłce nożnej w Niemczech trwają w najlepsze, znamy już sporo rozstrzygnięć, ale wiele wydarzeń jeszcze przed nami. Kibicami są obecnie wszyscy, raperzy nie stanowią wyjątku. Poniżej znajdziecie odpowiedzi, jakich udzielili nam oni na kilka pytań – zadanych rzecz jasna przed rozpoczęciem Mistrzostw – w naszej piłkarskiej sondzie

01. Kogo uważasz za faworytów Mistrzostw Świata?
02. Jak, Twoim zdaniem, poradzi sobie prowadzona przez Janasa reprezentacja Polski?
03. Jak zamierzasz spędzać czas w trakcie Mistrzostw?

raperów męczyli pytaniami Flintstone i Grabiszczy



PONO:

01 Moim faworytem jest Brazylia, natomiast Hiszpania też ma mocna pakę i jak dojdzie do konfrontacji tych dwóch drużyn, to będę kibicował Hiszpanii.

02 Będę dopingował naszą drużynę i wierzę, że zaznaczymy się na tych mistrzostwach, lecz nie wierzę za bardzo w jakiś większy sukces.

03 Poza tym, że mam dużo pracy, która zabiera mi mnóstwo czasu, to same rozgrywki oglądał będę pewnie kameralnie ze znajomymi, gdzieś w domu lub ewentualnie w knajpie.

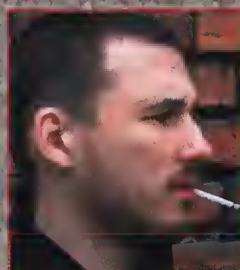


MEZO:

01 Patrząc racjonalnie, myślę, że wygra Brazylia. Miło rozczarować może nas Anglia albo Hiszpania – zespoły którym ostatnio nie szło na dużych imprezach.

02 Powinniśmy wyjść z grupy i zakończyć udział na 1/8 finału, to realne. Ale może ten jeden z dziesięciu meczy, które wygrywamy z Anglią czy Szwecją, trafi się akurat teraz, a potem poniesie nas ułańska szarża?

03 Żałuję, ale nie dostałem biletów. Nie lubię oglądać meczy w zamieszaniu, w pubach, będzie więc domowe zacisze, domowy grill, browar i analiza wespół z Jackiem Gmochem.



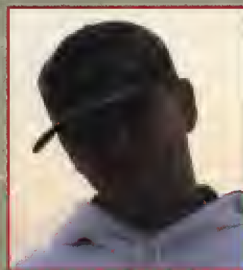
AFRO JAX:

01 Wszyscy stawiają na Brazylię, ja bardzo oryginalnie – na Niemców. Jeśli nie zdobędą mistrzostwa, prasa niemiecka się po nich potwornie przejedzie za eksperymenty.

02 Czarno to widzę. Nie wzięliśmy Frankowskiego, nie mamy możliwości strzelania bramek drużynom o skonsolidowanej obronie.

03 To też czarno widzę. Będę starał się wychodzić wcześnie z pracy, ale pewno skończy się na oglądaniu meczy na portierni w robocie.

SKAZANI NA SUKCEZZ

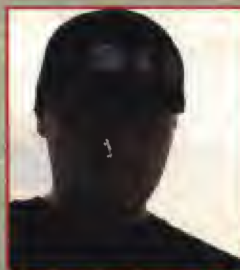


PYSKATY:

01 Serce podpowiada, że Polska, rozum podpowiada, że Brazylia.

02 Oby dobrze, choć hajsu raczej nie postawię.

03 Jeśli tylko będę miał możliwość, to wiadomo, że będę oglądać mecze.

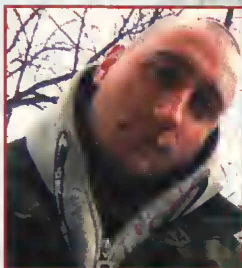


PIH:

01 Jestem za Brazylią.

02 Nie pokładam nadziei w Polakach, mam dość łudzenia się. To, co zrobił Janas, jest w ogóle niewybaczalne. Myślę, że sobie nie poradzą. Nie wyjdą z grupy, nie ma na co liczyć.

03 Myślę, że Mistrzostwa w miarę możliwości będę oglądał.



SZAD:

01 Generalnie Brazylię, nie ma na nią mocnych. Grają ładną, techniczną, efektywną piłkę.

02 Mam nadzieję, że wyjdzie z grupy, bo na więcej nie ma co liczyć. To by było szczęście, a nie odzwierciedlenie umiejętności.

03 Będę siedział i oglądał, może zainstaluję telewizor w skateshopie? Cały Trzeci Wymiar interesuje się piłką, nie przepuścimy ciekawiących nas meczy.



PELSON:

01 Myślę, że na tych Mistrzostwach Świata bezdyskusyjnym faworytem jest Brazylia, ale nie lekceważyłbym Anglii, Holandii i oczywiście gospodarzy.

02 Myślę że Polska wyjdzie z grupy na drugim miejscu i trafimy na Szwedów, którzy odeślą nas do domu.

03 W czasie MŚ gram cały czas koncerty, ale jeśli tylko będę miał czas, to siedzę przed telewizorem.



PEJA:

01 Faworyt mistrzostw to Brazylia.

02 Polska wyjdzie co najwyżej z grupy i to z drugiego miejsca.

03 Mundial obejrzę w domu, również u kumpli na osiedlu oraz na terenie Niemiec, w Berlinie.

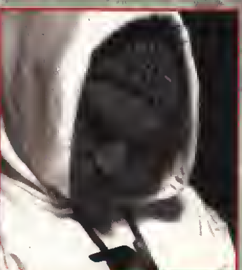


ELDO:

01 Brazylię, Holandię, Francję i wystarczy.

02 Polska wyjdzie z grupy i nic więcej.

03 Mistrzostwa s, ędzę przed telewizorem.



LIBER:

01 Ja, kiedy gram, lubię dryblować, najbardziej lubię taki futbol, więc Brazylia. Chcę, żeby wygrała, grała ładnie i skutecznie, i pokazała najlepsze sztuczki.

02 Wyjdziemy z grupy, o ile Janas zrobi to, czego nie zrobił Engel. Jeżeli w pierwszym meczu coś się nie uda, powinien wyrzucić połowę składu i dać grać tym, którzy chcą coś udowodnić.

03 Jadę z zespołem na decydujący mecz Polska-Kostaryka, resztę powinienem oglądać w telewizji.

CISZA I SPOKÓJ



DUŻE PE & DJ SPOX:

01 Brazylię. Bez dwóch zdań... Choć jest kilka ciekawych ekip jeszcze.

02 „Mecz można wygrać, przegrać albo zremisować...". Serce mówi „możemy wszystko", rozumu staramy się nie dopuszczać w tej akurat kwestii do głosu. A realnie, cóż – wyjście z grupy jest możliwe, a co dalej, to zobaczymy.

03 Oglądać Mistrzostwa w przerwach od muzyki (najlepiej w licznym gronie przyjaciół) i robić muzykę w przerwach spotkań. A w międzyczasie domykać kwestie wydawnicze związane z płytą i grać umówione wcześniej koncerty. Ewentualnie zamontować TV w busie koncertowym.

ślizg

A teraz typy „ślizgowe". Redakcyjny kolektyw postanowił co następuje (był o tyle mądrzejszy, że zdążył się załapać na cztery pierwsze dni mistrzostw):

01 Jednak Brazylia. Obok nich Niemcy (w końcu gospodarz), Czechy (po sąsiedzku) lub Anglia (jeśli się ogarną wreszcie). A Włochów nie lubimy.

02 Nasi? Ha, po meczu z Ekwadorem nietrudno prorokować ostateczny wynik mistrzostw dla Polaków. Ale nie kraczmy. Póki co zamykamy numer i pełni trwogi szykujemy się na mecz z Niemcami...

03 No, proste. Co prawda deadline trochę nam pokrzyżował plany, ale nic to – najważniejsze mecze ciągle przed nami. Wiąże się to z dużym prawdopodobieństwem, że następny numer SLG z powodów futbolowych nie ujrzy światła dziennego.





Bakflip

JEŚLI NIE MY, TO KTO?!

W łódzkim Bakflipie znani z Afrontu raperzy Jasiek i Kasina pokazują gniewną część swojej natury. Ułatwia im to czad generowany przez instrumenty Marka Dulewicza. W wywiadzie również pada trochę ostrych słów

rozmawiał Flint

Afront nagrał poprzednią płytę głównie na beatach O.S.T.R.'a. Następna ma być na beatach Metro. Jakby więc nie patrzeć, widać trzymanie się rdzennego, „ortodoksyjnego" hip-hopu. Skąd więc te gitary, panowie?

Jasiek: Do rapu dotarłem właśnie przez takie rap-metalowe granie, nazywane niegdyś crossover. Jarałem się maksymalnie Biohazardem, Bodycount i RATM. Potem nastał dla mnie hip-hop, ale nigdy nie straciłem zajawki na rocka. Słucham naprawdę różnej muzyki, staram się nie zamykać na żaden gatunek. Na pomysł nagrania rockowej płyty wpadł Marek. Rozmawialiśmy o ulubionych grupach i spytał, czy nie chcielibyśmy sprawdzić się w tych klimatach. Nie zastanawiałem się ani przez moment.

Marek Dulewicz: Bakflip to nie tylko Afront. Ja jestem gitarzystą i stąd gitary. Gdybym umiał grać na pile albo dudach, to może zrobilibyśmy hip-hop etniczny.

Owszem, już wcześniej prawo było dla Was kulawe, a sprawiedliwość ślepa, jednak nacisk był na to, żeby głowami słuchaczy bujać. Teraz raczej chodzi o potrząsanie nimi tak, by „siano wyleciało z dekli".

Jasiek: Raz bujać, raz potrząsać, na przemian. Bardzo podoba mi się zmiana konwencji, dzięki temu mogę teraz na świeżo zająć się nową płytą Afrontów. Przede wszystkim, staramy się robić ambitną muzę. Może następny nasz projekt będzie jazzowy? A może w innym stylu? Wiem, że Marek jest w stanie zrobić wszystko. I mam nadzieję, że my podołamy pod to nawinąć.

Album wydaje mi się nieco inny od gitarowo-rapowych kooperacji. MC's nie drą ryja, a po prostu rymują, gitara gra, a nie rzęzi, mało jest brudu, ciężaru, sporo melodii. Bliżej tej muzyce do nieco ostrzejszych kawałków Perfectu niż np. Rage Against The Machine.

Jasiek: Hmmm... Perfectu nie przypomina mi to w ogóle. Warstwa muzyczna jest w całości dziełem Marka, mieliśmy do niego kompletne zaufanie. Nawinęliśmy pod wszystko, co od niego wyszło, odrzuciliśmy w sumie niewiele. Materiał miał być mocny, ale brzmieć nowocześnie. Stąd elektroniczne smaczki i bogate aranże. I nie jest istotne, jak się to sklasyfikuje. To jest po prostu Bakflip.

Marek: To, że fuzja rapu i gitarowego grania kojarzy się w naszym biednym kraju z dwoma, trzema wykonawcami, to trudno. Staramy się zrobić trochę muzy, ot tak, dla przyjemności. Nie chcielibyśmy chyba dogłębnie analizować, czy to, przy czym się dobrze bawimy, jest czyste stylistycznie, czy nie. To, jakie to jest, zależy tylko od odbiorcy – jak on to czuje. Spotkaliśmy się już z opiniami, że za brudno, za głośno i nieelegancko. A poza tym brzydkie słowa (śmiech).

Marek współpracował z Ostrym, Familią HP, Redem i Spinachem, a nawet Metro. Teraz wespół z Afrontem tworzy Bakflip. Wielu muzyków postrzega hip-hopowców jako trudnych do zdyscyplinowania ignorantów, którzy tylko paliliby jointy w kątach studia...

Marek: Tak naprawdę, nie ma znaczenia, czy jesteś hip-hopowcem, czy muzykiem symfonicznym. W każdej grupie znajdziesz fajnych i niefajnych gości. Ci hip-hopowcy, z którymi współpracowałem, to z reguły zdolni i zdyscyplinowani kolesie – w granicach rozsądku oczywiście (śmiech). Jeżeli to, co robią, mocno ich kręci, to nie ma miejsca na olewkę. To tak jakbyś zaczął traktować siebie niepoważnie. Jointy – młodzi zapracowani i poukładani yuppies palą tony zielska i nikt o tym nie krzyczy, a że hip-hopowy człowiek czasem coś przyjara, to co z tego?

Na płytę wrzucono sporą dawkę gniewu. Czy dzień, o którym mówicie na płycie i w którym uda się ostatecznie go z siebie wyrzucić, jest przez to bliżej?

Jasiek: Nigdy nie uda się wyrzucić całego syfu, który się zbiera wewnątrz, kiedy obserwujesz ten kraj. Można go wypuszczać partiami, w formie kawałków, koncertów czy albumów. Dla mnie ważne jest, że po nagraniu takiego materiału jak Bakflip, mogę zrobić wylajtowany przekaz jak Afront. Na jakiś czas mogę odpuścić zaangażowane tematy i robić afrontowy „wild style". Co nie oznacza też, że na nowym LP z Metro nie będzie poważniejszych numerów. Chociaż na pewno przeważają mocno pojebane, wesołe kawałki.

Jeden z utworów znieslawia olbrzymią liczbę osób, w tym nasze „elity" polityczne: Kaczyńskich, Marcinkiewicza, Młodzież Wszechpolską. Wolność słowa dawno nie była już tak teoretyczna jak teraz. Nie boicie się procesów, grzywien, etykietki Żydów, gejów i masonów, czy wreszcie pobić, po tym jak ktoś opublikuje Wasze dane w internecie?

Jasiek: Szczerze mówiąc, wbijam w to. Mogą nam tylko zrobić reklamę. W Polsce w ogóle jest zwała, artyści boją się mówić wprost. Ostatnio oglądałem Henry Rollins Show z Jurassic 5 i tam Akil powiedział wprost: „Fuck George Bush". Powtórzył to z trzy razy. Kogo mamy się bać? Bandy zakompleksionych obsrańców? Dla mnie usłyszeć z ich ust „Żyd" czy „pedał", to jest komplement. Jeśli my nie będziemy korzystać z wolności słowa, to kto? Rap w Polsce jest mocno konserwatywny i zupełnie niezaangażowany. Scena punkowa, którą też kiedyś śledziłem, nigdy nie bała się mówić całej prawdy.

Marek: Nie zniesławiamy. Tam, gdzie mówimy o Kaczyńskim, reklamujemy tylko witrynę internetową, tam gdzie o Marcinkiewiczu – wyrażamy swoje preferencje polityczne. A że takimi słowami? Nie każdy umie się wypowiedzieć poprawną polszczyzną. Jesteśmy prostymi chłopakami z robotniczej Łodzi (śmiech).

Jeśli my nie będziemy korzystać z wolności słowa, to kto? Rap w Polsce jest mocno konserwatywny i zupełnie niezaangażowany.





instynkt

Jeden z lepszych polskich producentów, Waco, szykuje, a właściwie kończy, razem z DJ'em Mario i Czarnym płytę projektu Instynkt. Co to będzie za produkcja i czego się można po niej spodziewać, najlepiej opowiedzą sami twórcy

rozmawiał Wojtek Antonów

Instynkt jest w drodze. Powiedzcie własnymi słowami, co to będzie?

Waco: Nie jesteśmy nowicjuszami, DJ'a Mario nie trzeba chyba nikomu przedstawiać, wiadomo: Trzyha, 10 lat za adapterami, tysiące granych imprez. Ja na scenie jestem od 98 roku, nie tylko jako producent i na tej płycie sprawdzam się też jako raper.

Czarny: Ja to jestem obecny na scenie od urodzenia, od 77 roku. Od samego początku powycierałem się po podwórkach z tym całym rapem.

Waco: Prace nad materiałem trwają od roku. Chcemy dać mocną jazdę, dla twardych gości, dać z siebie jak najwięcej energii. Pozytywnej, ale też trochę agresji. Jara nas nowoczesny styl rapowy, trochę szybciej, agresywniej. Poza tym liryka: mocna, bezpardonowa, mówimy to, co myślimy. Chcąc nie chcąc, inspirują nas takie rzeczy jak np. Azad z Niemiec czy Bubba z Francji.

Czarny: Podobne warunki, podobne tematy... Nie mamy po 18 lat, jesteśmy trochę starsi, bardziej dojrzali. Liczy się nie tylko blokowisko, ważna jest rodzina, przyjaciele, honor, niektórzy z nas już patrzą na świat z perspektywy bycia mężem, ojcem. W życiu miałem różne przygody i nikt mi nie powie, że jestem w tekstach „nieprawdziwy". Zresztą życie samo to wszystko weryfikuje.

Jak wygląda praca nad „Instynktem"?

Waco: Nagrałem kiedyś z Czarnym kawałek, który znajdzie się na mojej następnej producenckiej płycie, a później tak się potoczyło. Mi się podoba to, co on robi, pisze dobre teksty, a ja do tego mogę dodać trochę swojej energii. Poza tym, Czarny dodał mi wiary i siły w to, że nie muszę tylko nagrywać innych, tylko mogę też sam to robić. I tak to wygląda – nie ma tak, że to on tylko rapuje, cały czas się wymieniamy, przeplatamy, nie ma statyczności. Do tego dochodzą wszyscy goście: Peja, Juchas i wielu innych.

A DJ Mario? Też rapuje? Kiedyś można było go usłyszeć nie tylko na adapterach, ale też na mikrofonie...

Mario: Ja staram się czuwać brzmieniem całości.

Waco: Poza tym od Mariana mamy ze trzy zajebiste bity.

Mario: Wszystko zaczęło się od wspólnego zainteresowania, którym jest – wiadomo – muzyka, a nie jest tajemnicą, że zajmuję się scratchingiem i zawsze chętnie wezmę udział w ciekawych projektach. I taka propozycja udziału wyszła od strony chłopaków, a że mi się to podoba, to się cieszę, że pracujemy razem.

Waco: Ale na mikrofonie Mario też nas jeszcze zaskoczy, dobry głos ma chłopak, jeszcze będzie z nami rymował!

Czarny: Chcemy, żeby Mario był naszym showmanem jak Premier w Gang Starze, a nie żeby stał z tyłu ze spuszczoną głową.

Waco: Zresztą na koncertach chcemy dawać z siebie wszystko: zajebiste nagłośnienie, oprawę wizualną, animacje, zdjęcia. I DJ musi być narratorem takiego przedstawienia.

Mario: Dawno nie grałem koncertów, skupiałem się na graniu audycji w radio, imprez i długo nie pojawiało się nic takiego, w czym chciałbym uczestniczyć. A z chłopakami można poważnie ogarnąć temat.

Czyli ogólnie dobrze się dobraliście. Czuć po prostu tę energię.

Czarny: Bo każdy daje tu od siebie dużo energii, zwłaszcza Waco. Ja czuję energię jak przed walką, jak Mike Tyson, bezkompromisowy, wściekły, głodny sukcesu, konfrontacji.

Czarny, czy to Ty jako „główny" raper wymyślałeś tematy do kawałków?

Czarny: Raczej tak, ale część wymyślaliśmy wspólnie, bo wiadomo, że wspólnie mamy na wszystko wpływ.

Waco: Właśnie. Czarny jest jednym z nielicznych znanych mi raperów, z którymi można ustalić coś, pójść na jakiś kompromis, że może coś zabrzmi lepiej, jak zrobi to inaczej...

Czarny: No wiadomo, uczę się całe życie...

Waco, jak z muzyką? Nie jesteś na tej płycie głównym producentem, ale masz na nią duży wpływ. Powiedz, co nas zaskoczy od strony muzycznej?

Waco: I bardzo dobrze, że nie robiłem wszystkiego. Dzięki temu będzie bardziej różnorodnie. Jest bit od Braha z Gdańska, zrobił nam coś bardzo nowoczesnego, są bity od Maria, od Fusola, dwa są od Kubańca i jeden od brata Lukasyna. Sześć moich. I choć w sumie nie ma żadnych rewolucji, to jest bardzo dobrze, a samo brzmienie po prostu będzie na europejskim poziomie.

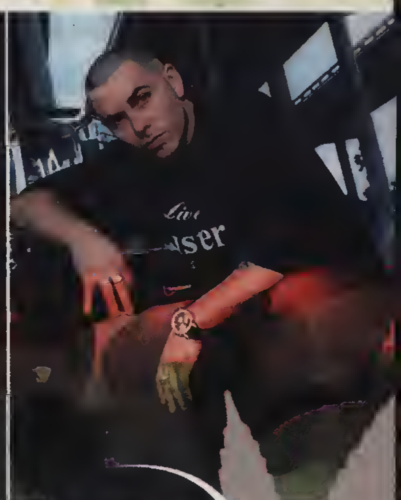
Po kolei, Wasze prywatne, ulubione kawałki z tych, które będą na „Instynkcie"?

Mario: Mi się ogólnie cała płyta podoba, im więcej nad nią pracuję, tym bardziej. Ale numer jeden to będzie „Plotka" – tytuł mówi mniej więcej, o czym to jest.

Waco: Dla mnie na pewno kawałek z Peją mówiący o męskiej przyjaźni. Dobry numer, a polska scena rapowa usłyszy Rycha takiego, jakiego jeszcze nie słyszała.

Czarny: Wszystko sam nagrałem i wszystkim się tym jaram... Tak jak seks – nie mam jednej pozycji, tylko kilka ulubionych, rozumiesz. Płyta, która ma tylko jeden dobry numer, nie jest dobra, a ta płyta będzie miała dużo dobrych kawałków!



reggaeton

CZYLI RECEPTURA SUKCESU

Lato wcale nie jest takie upalne, w zasadzie to częściej pada deszcz i trzeba siedzieć w domu? Wszyscy koledzy z osiedla nagrali już fajne mikstejpy, a ty nie masz pomysłów? Mama mówi, że niczego w życiu nie osiągniesz siedząc przy komputerze i komponując wirtualne łomoty? Nie ma zmartwienia - jest poniższa receptura...

tekst cess

Kiedy pierwszy raz usłyszałam wspaniały przebój „Gasolina" autorstwa Tatusia Yankee, zastanawiałam się, czy to żarty, które imigranci stroją sobie z tradycyjnego niemieckiego gustu, czy może świat się skończył i razem z pierdzącą żabą i gibającym się hipciem trafiliśmy do antymuzycznego piekła. Ale nie, to po prostu jeden z czołowych przedstawicieli reggaetonowej sceny rozpoczął podbój europejskiej sceny muzycznej. I chociaż sama muzyka nie jest szanowana przez przedstawicieli nurtów, które ją ukształtowały, to podbija rynki muzyczne nie tylko krajów, w których dominują gorącokrwiści Latynosi. Co więc trzeba zrobić, by tego lata fanki od Tokio po Sankt Petersburg bujały się rytmicznie, gdy tylko usłyszą wasz głos?

1. Być Latino

Oczywiście już od początku rzucane są wam kłody pod nogi, bo aby robić prawdziwy reggaeton, trzeba mieć to pochodzenie, czuć upał w duszy i mieć ognisty temperament. Wiem, wiem – nie brak wśród Polaków prawdziwych macho, którzy swoją umięśnioną charyzmą uspokoją każde dziecko i doprowadzą każdą kobietę tam, gdzie jej miejsce, ale to nie o coś takiego chodzi. Pomogłoby wam bardzo, gdyby chociaż ktoś z rodziny albo sąsiad urodził się w Panamie czy w Puerto Rico, ale jest też inny sposób. Wszyscy „badacze" reggaetonowej ewolucji stwierdzają jednogłośnie – to muzyka zaharowanych niewolników. Pierwsze pieśni wyśpiewane przez Jamajczyków kopiących kanał Panamski dały siłę i charakter muzyce latynoamerykańskiej. Większość dotychczasowych przedstawicieli tego nurtu urodziła się gdzieś między Mexico City a Brasilią, ale ostatecznie zasady są po to, żeby je łamać, a od każdej reguły może istnieć odstępstwo.

2. Hablar Espanol

Tu nie chodzi o jakieś niegodne czyny z rodakami Cyda, tylko o władanie ich językiem – swojego czasu bardzo popularnym wśród uczniów szkół językowych. I tu okazuje się, że warto było zainwestować te kilkadziesiąt złotych i opanować podstawy języka naszych iberyjskich braci, bo żeby być prawdziwym reggaetonowcem, nie wystarczy krzyczeć jak Ich Stado (bo było ich zdecydowanie więcej niż troje) na Eurowizji „Te quierra! Candela!". Może liryzm rodem z wierszy Nerudy (to taki poeta z Chile, który dostał kiedyś nagrodę Nobla) jest przesadny, bo w tej muzyce chodzi przede wszystkim o zabawę, a wysublimowane treści nie są wskazane. Tu widać duże pokrewieństwo z „prawdziwym" hip-hopem – trochę o życiu, trochę o przygodach na podwórku, trochę o imprezach, trochę o pannach, może jeszcze kilka słów o sobie i ewentualnie parę niewybrednych epitetów w stronę polityków i służb porządkowych. Mile widziane są przerywniki polegające na wołaniu pojedynczych słów, różnych czasowników i rzeczowników, od czasu do czasu może być też swojskie „hej!".

3. Fusion

To coś jak jedzenie sushi z kartoflami i skwarkami albo noszenie garnituru na skejtową koszulkę. Po prostu zbiera się to, co wam odpowiada w hip-hopie, reggae, dancehallu, salsie, merengue, bombie, potem się wszystko miesza, miesza, miesza i powstaje reggaeton. Ojciec tego gatunku, El General, wzorował swój wokal na toastingu jamajskich DJ'ów, a podkłady wzbogacał o instrumenty bardziej charakterystyczne dla Ameryki Środkowej. Zresztą na samym początku teksty reggae'owców były tłumaczone na język hiszpański i wykonywane do oryginalnych riddimów i dopiero z czasem Latynosi zaczęli wypracowywać własny styl. Najpierw ta zupełnie nowa, dziwna odmiana muzyczna była nazywana „under", potem bardziej oryginalnie „musica de Puerto Rico" albo „melaza", ale od kiedy ugruntowała się pewna maniera producencka, o której będzie mowa poniżej, przyjęto nową nazwę, która obowiązuje do dziś.

4. Robić dem bow

Dem bow to właśnie rzeczona maniera producencka, bo inaczej trudno to nazwać. Brzmi dokładnie jak zbieranina wszystkich wcześniej wymienionych gatunków przepuszczona przez selektor ustawiony na tryb „wybierz przypadkowo, sklej rytmicznie". Zaczęło się od jednego ze słynniejszych raggowców, Shabby Ranksa, który nagrał utwór „Dem Bow", a riddim, na którym to zrobił, wyznaczył kanon dla całego brzmienia reggaetonowego. Jeśli nie wierzycie, że na jednym patencie

można oprzeć tysiąc utworów, wystarczy sięgnąć po albumy królów tamtejszej sceny producenckiej, Luny Tunes. Podobne tempo, podobny zestaw sampli, brzmień, linia perkusji, syntezatory, syreny i odgłos przeładowywanej broni (lub w drugim wariancie – sam wystrzał). Kilkadziesiąt bitów w opcji „wariacja na temat". Jeśli więc Bozia poskąpiła wam twórczego talentu kompozytorskiego, reggaeton został stworzony dla was.

5. Dla pań: wyglądać jak Kelis, rapować jak Rah Digga

Środowisko artystów związanych z reggaetonem jest bardzo szowinistyczne (nawet bardziej niż hip-hopowe) i trudno znaleźć wśród artystów kobiety. Owszem, pokazywane są w teledyskach, lecz stanowią o walorach wizualnych, nie wokalnych. Każdy raper reggaetonowy ma w swoim repertuarze przynajmniej kilka utworów o złych i dobrych kobietach, ale tylko dwie reprezentantki „słabszej" płci są traktowane poważnie, ba, nawet szanowane przez środowisko. Glory możecie kojarzyć, bo to właśnie ona śpiewała refren do benzynowej piosenki. Wygląda jak Kelis, a śpiewa raczej cienko. Ma na swoim koncie wiele gościnnie wyśpiewanych refrenów, kilka singli (ot, choćby „La Popola", co – delikatnie mówiąc – oznacza jeden z elementów kobiecego narządu rozrodczego i wskazuje, jaką drogę obrała ta młoda wokalistka). Druga to Ivy Queen, która obecnie jest szanowną panią po trzydziestce, całkiem zgrabną, a głos ma jak dzwon. Mimo powściągliwości w używaniu wulgaryzmów, elementarnej troski o przekazywanie pozytywnych wartości dzieciakom z ulic Puerto Rico i braku seksualnych podtekstów, jest artystką bardzo popularną, utytułowaną i rozchwytywaną przez wielu wykonawców. Piękne panie, jeśli więc macie atrybuty jednej lub drugiej artystki, śmiało możecie wspiąć się na szczyt.

6. Ruszać się jak pies

Wszyscy dobrze wiemy, że zarówno potomkowie pierwszych konkwistadorów, jak i pierwszych niewolników z Czarnego Lądu uwielbiają tańczyć. Nie ma muzyki bez tańca. To nie chodzi o jakieś tam podrygiwanie nogą, kiedy sąsiad melorecytuje „odę do filigranowej karafki pełnej smutku", tylko o radosną ekspresję podstawowych życiowych popędów. Tak jak dancehallowcy mają swoje kocie ruchy, tupanie-w-wodzie, machanie-do-samolotów czy inne wyciąganie-łodzi, tak latynosi mają taniec „perro", czyli pies. Chodzi konkretnie o coś, co Amerykanie nazywają „stylem na pieska", tylko że w tańcu i w ubraniach. Prawdziwy „dirty dancing" będący jednym wielkim podtekstem, zatem nie radzę wykonywać podczas spotkań w szkółce niedzielnej czy na rytmice. I nawet kiedy nagracie grzeczny utwór, to jeśli w teledysku panie będą sobie tańczyły „Perro", możecie dostać potem na płycie oficjalny znaczek „parental advisory", czyli takie piętno złej treści.

7. Ostatni składnik, czyli: z czym i do których ludzi?

Niestety, z gotowym produktem w stylu reggaeton najlepiej udać się za ocean. Sprytni Latynosi już dawno zrozumieli, że aby przetrwać w biznesie, muszą silniej związać się ze swymi czarnymi braćmi z amerykańskich metropolii. Oczywiście tacy ludzie jak Fat Joe, czyli pan „wszystkie dzieci w gettcie mówią do mnie Don Cartagena", od dawna współpracują z raperami reggaetonowymi. Pitbull uderzył na dwa fronty – po pierwsze, był protegowanym Luke'a z 2 Live Crew, a cała jego kariera muzyczna polegała na lawirowaniu między najpopularniejszymi kumplami z Puerto Rico (szczególnie upodobał sobie duet Hector i Tito), a przedstawicielami crunku, na czele z Lil' Jonem. Po drugie, chętnie prezentował swoje poglądy polityczne na łamach amerykańskiej prasy – a to oceniał Fidela Castro w „The Source", a to znowu krytykował firmy odzieżowe za skomercjalizowanie wizerunku Che Guevary w piśmie „New York Post". Tak jak wielu towarzyszy z Puerto Rico, wybrał słuszny kierunek ekspansji, bo tylko w Stanach Zjednoczonych powstała osobna lista „Billboardu" dla Latynosów i wręczane są osobne „Latin Grammy Awards" (i właśnie Pitbull ma jedną z takich statuetek na półce).

Tylko w USA powstają osobne sublabele dla hiszpańskojęzycznych muzyków i tylko tam jest możliwe, by Jay-Z osobiście podpisał z tobą kontrakt, by przyjąć cię do jednego z takich właśnie wydawnictw – Roc La Familia (za przykład służy sytuacja z kontraktem dla Hectora Bambino). Problem polega także na tym, że prawdopodobnie tylko tam ludzie będą w stanie docenić prawdziwy kunszt waszej muzyki (i będą to robić słuchając 12 kolejnych albumów), bo patrząc na reakcję zjednoczonej Europy, reggaeton póki co jest chwilową zajawką, natomiast kilka tysięcy mil morskich na zachód od Lizbony cieszy się niesłabnącą popularnością od początku lat 90. do dziś.

Na zdjęciach od lewej strony: Hector Bambino, Ivy Queen, Daddy Yankee, Pitbull



Nicolay

BIT DLA 50 CENTA? DLACZEGO NIE

Jeszcze niedawno nikt go nie znał, a dziś jest jedną z najbardziej rozpoznawalnych twarzy podziemnego hip-hopu. Nicolay – holenderski producent odpowiedzialny za brzmienie „Connected", płyty, którą nagrał wspólnie z jednym z członków grupy Little Brother

rozmawiał Bartek Skołasiński (dill-o)

Kiedy dałeś sobie sprawę z tego, że muzyka jest Twoją największą pasją?

Myślę, że to było wtedy, kiedy byłem małym dzieckiem. Muzyka interesowała mnie bardziej niż cokolwiek innego. Nie przepuszczałem, że będzie to coś, czym będę zajmował się w przyszłości...

We wczesnych latach kariery otwierałeś występy takich gwiazd jak MC Lyte. Powiedz, jakie to uczucie.

To było niesamowite. Grałem przed takimi ludźmi jak MC Lyte, K-Ci & Jojo czy Boyz II Men. Wyjątkowe było to, że mogłem się z nimi spotkać i czegoś się od nich nauczyć. Zawsze lubiłem mieć na jednej scenie kontakt z kimś, kto zdobył szacunek słuchaczy i jednocześnie robi muzykę, która mi się podoba.

Co masz na myśli mówiąc, że czegoś się od nich nauczyłeś?

Chodzi o doświadczenie, które zdobywasz patrząc na tę osobę: jak prowadzi swoje interesy, jak gra koncerty. Widzisz, jak przygotowują się do występu albo jakiego sprzętu używają.

Grałeś w zespole r'n'b. Myślisz, że ta muzyka ma w Holandii przyszłość?

Tak naprawdę nie wiem, czy ma przyszłość. Odszedłem od tego, ponieważ nie mieliśmy zbyt wielu szans na prezentację naszej twórczości. Trudno wydać w Holandii płytę, jeśli jest w języku angielskim. Wydawcy szukają raczej czegoś w rodzimym języku.

Więc Wasz ewentualny powrót nie jest możliwy?

Minęło dużo czasu i nie wiem, czy to wniosłoby coś do mojej twórczości, ale kto wie...

Podczas tworzenia bitu wolisz samplować czy grać na instrumentach?

Lubię samplować, ale w taki sposób, że słuchacz nie wie, że coś jest wycięte. Staram się używać sampli tak, żeby za ich pomocą stworzyć coś zupełnie nowego. Jednak jestem muzykiem, więc zawsze na pierwszym miejscu stawiam granie.

Powiedz, jak to jest być jednym z najpopularniejszych europejskich artystów, jeśli chodzi o hip-hop?

Aaa, w hip-hopie, bo już myślałem, że ogólnie... Wiesz, cały czas myślę, że Coldplay są bardziej popularni (śmiech). Jest dużo artystów z Francji czy Niemiec. Oni sprzedają dużo płyt.

Ale nie ma zbyt wielu kolaboracji między artystami z USA i Europy.

Masz rację, jestem na trochę innej pozycji, jeśli o to chodzi. Wydaje mi się, że przetarłem drogę kilku nowym artystom z Europy. Doceniam to, że ludzie w pewnym sensie stawiają mnie za wzór w tej kwestii.

Jak pracowało Ci się z Phonte nad „Connected"? Podobno nie chciałeś z nim pracować.

To nieprawda. Gdzie to słyszałeś? (śmiech). Zaprzyjaźniłem się z nim, kiedy się poznaliśmy. To było wtedy, kiedy wypuścił z Little Brother kilka singli. To było naprawdę świeże. Chciałem z nim współpracować od początku.

Jestem Europejczykiem i zawsze nim będę, dlatego cieszę się, że słuchacze zaczynają dostrzegać artystów z Europy

Wydałeś album „City Lights". Była taka recenzja...

Tak!!! Pamiętam ją (śmiech). To był Pitchfork, tekst napisał niejaki Sam Ubl. Wydaje mi się, że on nie do końca zrozumiał, co robiłem. Na samym początku recenzji napisał, że nie lubi instrumentalnych albumów. „City Lights" to tak naprawdę kompilacja bitów, którą zrobiłem dla przyjemności. Żeby ktoś mógł się przy niej zrelaksować, może coś zarymować.

Twój kolejny album to „Duch Masters". Nie wydaje Ci się, że ktoś może pomyśleć, że wydałeś ten album dla pieniędzy, bo są tam właściwie same remiksy i tylko kilka nowych numerów?

Głównym powodem, dla którego zrobiłem „Dutch Masters", była chęć umieszczenia na jednej płycie tych kawałków, które były trudno dostępne. Zebraliśmy kilkanaście remiksów, dwunastek (dwunastocalowych singli winylowych- przyp. red.), stron B singli i umieściliśmy na jednej płycie. Chciałem, żeby to było coś wyjątkowego, więc to zmiksowałem i dodałem kilka nowych rzeczy.

Planujesz wydać drugą część?

Tak. Aktualnie nad nią pracuję i mam nadzieję, że będzie gotowa w wakacje.

Wydajesz niedługo nowy album. Co możesz o nim powiedzieć?

Wychodzi w sierpniu. Bardzo go lubię, to bardzo osobista płyta.

Ma piękną okładkę...

Jesteśmy z niej bardzo dumni. A sam album jest osobisty, ponieważ mówi o zostawieniu wszystkiego w tyle i stawieniu czoła nowemu wyzwaniu. Jego tytuł to „Here", ale jeśli przyjrzysz się bliżej okładce, to zauważysz literę „T" zaraz obok „H", więc „Here" zamienia się w „There". Wiesz, ten album jest też osobisty, bo niedługo przeprowadzam się do Stanów. Mówi o procesie przenoszenia się z jednego miejsca w drugie.

Co myślisz o scenie mainstreamowej?

Jest jaka jest, ale raz na jakiś czas można posłuchać czegoś ciekawego. Jest dużo rzeczy, których nigdy bym w domu nie puścił, ale nagle słyszysz numer Missy Elliott i spadasz z krzesła.

Czyli nie zrobiłbyś bitu przykład dla 50 Centa?

Dlaczego nie? Jak świetnie byłoby usłyszeć 50 Centa na bicie Nicolaya. To mógłby być pierwszy dobry bit, do którego by zarymował (śmiech). To nie musiałaby być jakaś kreatywna produkcja. Po prostu czasem musisz zarobić pieniądze i mieć na jedzenie. Jaki powód musiałbyś mieć, żeby tego nie zrobić, skoro ludzie mogą cię usłyszeć?

Undergroundowi fani mogliby się odwrócić.

Ale wielu ludzi, którzy mówią, że są fanami podziemia, ściąga muzykę. Będą cię krytykować, jeśli coś jest komercyjne, ale nigdy nie wydali pieniędzy na twoją płytę. Łatwo powiedzieć: „On się sprzedał", ale producent zawsze będzie robił to, co jest dla niego interesujące muzycznie.

Czy posiadanie jednego stylu jest dobre dla producenta? Jeden z polskich bitmejkerów powiedział, że to jest jak zamknięcie w klatce.

Myślę, że to dobrze, jeśli jesteś rozpoznawalny, ale wtedy, kiedy mówimy o cechach charakterystycznych dla twojego stylu, które są tylko twoje. Ale z drugiej strony, jeden styl może ograniczać. Jeśli posłuchasz moich produkcji, to usłyszysz różne rzeczy – chillouty, uliczne bity, robię soul, r'n'b. Produkuję tyle, ile mogę, i wszystko brzmi nieco inaczej.



cropp Baby-G

BOOTY CHALLENGE

konkurs tańca w rytm muzyki HIP-HOP

Ogólnopolski finał tegorocznego Booty Challenge odbył się w warszawskim klubie Harlem. Wystąpiło 8 najlepszych dziewczyn z eliminacji. Tańczyły w systemie pucharowym, czyli „one on one". Na każdym etapie mieliśmy po dwa czterdziestosekundowe wyjścia do utworów wybranych z wcześniej znanej listy. Dziewczyny prezentowały się bardzo dobrze, publika również dopisała i dzielnie wspierała swoje osobiste faworytki. Wybór końcowy był trudny, ale jury ostatecznie postanowiło, że kolejność w finale Cropp Baby-G Booty Challenge 2006 była następująca:

1. Joanna Kozłowska
2. Kasia Mach
3. Monika Matyszczyk
4. Kasia Szczepańska







tekst B.S.
foto Sebastian Woźniak

9. czerwca Park Praski w Warszawie po raz trzeci gościł rodzimych podziemnych wykonawców na „Praga Hip-Hop Festiwal". Z pośród ponad 80 nadesłanych utworów jury w składzie: Monika Dąbrowska, CNE i WSZ (MTV), Lexus (Radio Bis) i Przemek Dziubłowski („Życie Warszawy"), wybrało 10 finalistów.

Zanim rozpoczęła się konkursowa rywalizacja, w muszli koncertowej miał miejsce baraż o ostatnie miejsce w finale Wielkiej Bitwy Warszawskiej. W pojedynkach skrzyżowali mikrofony obrońca tytułu – Pogo (Białystok), Eskaubei z Rzeszowa oraz reprezentant Warszawy – Theodor. Po serii „punchy" i zaskakujących skojarzeń Pogo wydawał się murowanym faworytem, jednak udana końcówka w wykonaniu Theodora i przewaga „własnego boiska" sprawiła, że wygrał on po dogrywce stosunkiem głosów jury 2:1. Publiczność miała mieszane uczucia.

Początek i koniec konkursu, to popis stalowowolskiego mc Peerzeta, który najpierw z Nobotak a później z Dwarazype pokazał na scenie kawał dobrego rapu, wzbogacając konkursowe kawałki mocnymi wejściami freestyle'owymi. Godnym odnotowania faktem było pojawienie się na scenie łódzkiej raperki i wokalistki Lilu, która wykonała gościnnie kawałek z Eskaubei i był to jedyny kobiecy akcent tego wieczoru.

Dwa składy, Dezodorant i Mama Selita, wystąpiły z żywą sekcją, co było ciekawym akcentem i dowodem na to, że hip-hop można grać nie tylko z cd czy z vinyla. O ile sekcja Dezodorantu dawała radę dużo bardziej niż sami raperzy, tak Mama Selita sprawdzili się w całości. Zaprezentowali funkujący groove, który zyskał uznanie w oczach jury i poprowadził zespół do 3. miejsca i 1000 złotych nagrody.

Drugie miejsce w konkursie zajął przedstawiciel „gospodarzy", Flint. Młody raper o nienagannej technice, z pomysłowymi tekstami i dopracowanym wykonaniem kawałków zgarnął dwa tysie, z którymi z pewnością będzie wiedział, co zrobić.

To popołudnie należało jednak do przyjezdnych, konkretniej do łodzian. Główną nagrodę wywalczyli Ustinstrumentalix, którzy zaprezentowali sceniczny luz, świetne humorystyczne teksty na bujających bitach i to właśnie oni wbili się najbardziej w głowy jurorów, których werdykt nikogo chyba nie zdziwił. Astek i Szerszeń wyjechali ze stolicy z trzema tysiącami w kieszeniach.

Zwieńczeniem imprezy był koncert Kalibra 44 w składzie: Abradab, Joka, Gutek i DJ Bart. Podczas występu gościnnie pojawili się na scenie WSZ i CNE, wykonując z Kalibrem „Baku baku to jest skład".

Na zdjęciach od lewej: Kaliber 44, Flint, Dezodorant

Hip Hop Praga Festiwal

BOGNA



PROFIL

Choć dziś znamy ją przede wszystkim z działalności w założonej przez nią Fundacji Nowej Kultury Bęc Zmiana, to dla starszych fanów hip-hopu w Polsce Bogna Świątkowska jest wręcz instytucją. Prowadziła bowiem „Kolorszok" – jedyną na początku lat 90. audycję radiową poświęconą czarnej kulturze

rozmawiał Zdzisław Nieszczególny

Bogna, prowadziłaś kiedyś w radio pierwszą audycję hip-hopową. W zasadzie gros ludzi mogłoby powiedzieć, że wychowało się na niej, a wspomnieć trzeba, że w tamtych czasach trudno było o płyty, nie mówiąc już o prasie. Opowiedz, skąd brałaś nagrania i wiedzę o hip-hopie?

To był 1992-93 rok. Uważam, że pierwsza podstawowa sprawa, to „dla chcącego nic trudnego". Jeżeli cię coś jara, to dotrzesz do źródła informacji i zdobędziesz ją, choćby nie wiem co. Prawda jest taka, że jak zaczynałam w Kolorszoku w 1993 roku, to nie miałam ani jednej swojej płyty, ponieważ ich nie zbierałam. Nie czułam takiej potrzeby. Chętnie za to słuchałam i odwiedzałam kolegów, którzy je mieli. Startując do radia z pomysłem na audycję hip-hopową, miałam wrażenie, że strasznie dużo się naczytałam o kulturze czarnej Ameryki. Moja wiedza była i jest tak naprawdę czysto teoretyczna i zawsze taka była, nigdy nie udawałam, że jest inaczej. Natomiast być może z powodu swojego charakteru i tego, że przez większość swojego życia pracuję w mediach, mam silną potrzebę dzielenia się tym, co wiem, z innymi. Tak się złożyło, że dowiedziałam się czegoś, czego inni nie wiedzieli, no i stąd ten pomysł, żeby robić audycję opartą bardziej na wiadomościach niż na muzyce. Muzyka jest bardziej dla chłopaków (śmiech). Volt ma takie uszy, że zawsze słyszał dużo więcej niż ja. Ja słyszę cały czas tekst, energię, emocje. Żeby zrozumieć hip-hop, trzeba poznać jego twórców, skąd pochodzą, kim są ich rodzice, skąd byli ich dziadkowie. I o tym były moje audycje, o ludziach. A dla polskiego hip-hopu ważny jest moment „niemałpowania", kiedy twórcy zaczynają robić to autentycznie, z potrzeby serca, a nie zapożyczając z amerykańskich kawałków. Najważniejszą sprawą w hip-hopie jest umieszczanie w tekstach swoich uczuć i emocji. Polski hip-hop jest najmocniejszy wtedy, gdy używacie zachodnich narzędzi, ale wkładacie do tego swoją duszę.

I polskie sample!

Tak, i polskie sample. Hip-hop to mocna muzyka, na zasadzie, że wszyscy pamiętają jakiś kawałek sprzed czterech lat, bo były tam dwa zdania, które po prostu dały wszystkim do myślenia. To jest w muzyce wartość, która mnie strasznie pociąga. Moją wiedzę czerpałam z książek, z gazet, od różnych ludzi – jak moi znajomi ze Stanów czy z Anglii. Oczywiście czasem czułam niemoc, że bez przeżycia pewnych rzeczy, opowiadałam o nich...

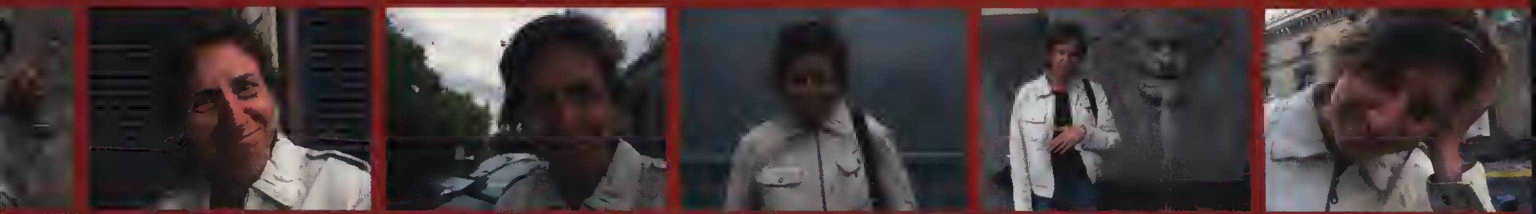
Ale odniosłem wrażenie, że doskonale uzupełniałaś wiedzę nie zawsze oczytanych młodych hip-hopowców, których często nie było stać na gazetę „The Source". Doskonale pamiętam Twoją audycję o Wu-Tang Clanie, gdzie opowiadałaś o ich inspiracjach, filozofii i rodowodzie.

Tak, też pamiętam ją dobrze. Dla mnie ważne jest odkrywanie ukrytych sensów, rzeczy, które w pierwszym spojrzeniu na tekst nie są widoczne. Cała ta historia z Wu-Tangiem dawała mi podwójną przyjemność, bo jestem wielką fanką kultury japońskiej, starożytnej chińskiej. Zresztą to spotkanie było bardzo korzystne dla hip-hopu, dodało tej kulturze ulicznej takiego rysu wojownika, dumnego kolesia, który używa wszelkich metod, ale naprawdę w pięknym stylu i w szlachetnej sprawie.

Teraz powtarzające się pytanie. Jak Ci się jawi kondycja polskiego hip-hopu?

Faza, w której obecnie znajduje się polski hip-hop, jest bardzo twórcza. I to jest moment, w którym okaże się, kto zostanie i zrobi coś, co z powrotem przyciągnie

ŚWIĄTKOWSKA



GUZIK DO PRZEŁĄCZANIA LUDZI

słuchaczy. Wiadomo, można robić muzykę i cierpieć na niedocenienie. Cały rynek muzyczny kompletnie się zmienia, a taka faza przejściowa musi być piekielnie trudna dla wykonawców, zwłaszcza niezależnych. Ale mam wrażenie, że hip-hop wytworzył sobie swój własny obieg płytowy. Wydaje mi się, że ten schyłek, który jest ewidentnie wyczuwalny, wytworzy nową sytuację. To jest twórczy moment, moment próby. To również zdarzyło się parę razy w hip-hopie amerykańskim. Zbytnia komercjalizacja przynosi przełom. Nie wiem, co by musiało się zdarzyć, żeby hip-hop stał się bardziej komercyjny. On jest wszędzie! Sprzedaje produkty, co znaczy, że jest powszechny. Ludzie wszędzie wiedzą, kto to jest raper, a wiesz, jak było 10 lat temu... Dobrym przykładem jest 50 Cent, który reklamuje – również w Polsce – buty na wielkich billboardach. Ja czekam na jakąś rewolucję, to byłoby naprawdę przyjemne. Ale nie mam zielonego pojęcia, co to będzie.

Jestem wielkim fanem miejskich akcji artystycznych. Opowiedz mi, Bogna, teraz trochę o Twoich projektach na najbliższą przyszłość.

Fundacja Nowej Kultury Bęc Zmiana, którą założyłam, zajmuje się pokazywaniem najmłodszej kultury w miejscach publicznych, w przestrzeni publicznej, generalnie w sposób najbardziej dostępny. Wydajemy raz na 6 tygodni magazyn, który jest bezpłatny, raz na jakiś czas dodajemy do niego płyty. Uważam, że trzeba skrócić dystans kultury do odbiorcy poprzez zlikwidowanie płatności za nią. Nie ma takiej możliwości, żeby ludzie fascynowali się czymś młodym, nieznanym, jeżeli w dodatku muszą za to zapłacić. Nasza kultura oferuje tak wiele możliwości, a system, w którym żyjemy, jest nastawiony tylko na dawanie ludziom bodźców. Bez przerwy masz jakieś oferty, promocje. Ludzie nie mogą się zdecydować, na co mają wydać pieniądze, których i tak nie mają. Wszystkie rzeczy, które robi Bęc, mają charakter bezpłatny, a zdobycie pieniędzy na tego rodzaju działalność, to nie jest bułka z masłem i wymaga wysiłku. A cel jest prosty. Chodzi o to, żeby ludzie, którzy wychodzą na ulicę, czuli się jak u siebie. Normalnie wygląda to tak, że wychodzisz z mieszkania, przekraczasz próg i jesteś na terenie niczyim. Przy takiej atmosferze nie da się zbudować dobrej przestrzeni miejskiej. U nas latem, kiedy temperatura sięga 30 stopni, rzadkością jest spotkać ludzi, którzy opalają się w parkach czy na skwerach. Robią to ludzie po pięćdziesiątce, bo generalnie chyba tylko starsi ludzie mają poczucie swojskości. Za granicą, kiedy jest upał, ludzie opalają się na chodnikach przed domem! Chodzi o to, żeby ludzie nie czuli się u siebie tylko będąc w domu. Nie widzę powodu, żebyśmy mieszkali w rzeczywistości pozostawionej nam przez PRL i wszystkie inicjatywy zmierzające do zmiany tego są potrzebne.

A nie uważasz, że to w ludziach jest ten brak wyluzowania się? Myślisz, że taka Bogna przekona ich do korzystania szerzej z przestrzeni miejskiej?

Myślę, że to jest taki guzik, który można w ludziach przełączyć. Popatrz: świecące jelenie, palma czy pomysł z krowami przekonały ludzi, że można inaczej pomyśleć o mieście. Chcę, żeby takie działania były czymś powszechnym.

Jaka gałąź sztuki jeszcze Cię kręci oprócz street artu i muzyki?

Naprawdę dużo czasu poświęcam teraz lekturze, czytam o designie i architekturze, bo prawdę mówiąc nie jestem super specjalistką od tych spraw. Mam wrażenie, że jeszcze dużo rzeczy na mnie czeka, bo najgorszy jest moment, w którym stwierdzasz, że wszystko masz już w małym palcu. Uuuaa, to już jest raczej koniec. Ja jestem taki mól książkowy. Lubię pooglądać sobie stare ryciny, poczytać książki. Kolejna rzecz to podróże, ale miejskie. Aby móc dobrze odnosić się do przestrzeni naszych miast, trzeba mieć pojęcie, jak wyglądają miasta gdzieś indziej.

Nie widzę powodu, żebyśmy mieszkali w rzeczywistości pozostawionej nam przez PRL i wszystkie inicjatywy zmierzające do zmiany tego są potrzebne.

A jakie są Twoje ulubione miejsca w samej Warszawie?

Lubię być nad rzeką. To mogą być krzaki po stronie praskiej albo schody po stronie starówki. Rzeka daje dozę dzikości, poza tym znad rzeki bardzo dobrze widać miasto. Ma się wrażenie, że jest się w pięknym cudownym mieście, które jest na wyciągnięcie ręki.

Jakie masz jeszcze zainteresowania poza tymi, o których mówiliśmy?

Bardzo lubię pracować na wsi. Wielką przyjemność sprawia mi praca z ziemią, ogródek, warzywa, kwiaty, łąka, pole, las. Marzę, żeby w tym roku wziąć udział w sianokosach. Czyli cokolwiek, co ma coś wspólnego z pracą poza miastem.

Wyobraź sobie, że zwiedzasz świat kubkami smakowymi. Jakie kuchnie najbardziej lubisz?

Jak już idę do restauracji, to lubię knajpy, gdzie serwują polskie dania. Lubię mięso. Uwielbiam japońską kuchnię. Nie lubię jedzenia, które przyrządza się dłużej, niż się je konsumuje. Mam wtedy wrażenie, że mam do czynienia z czymś, co zostało przekombinowane, więc na przykład pomidory nadziewane czymś tam i zapiekane z czymś tam w ogóle nie wchodzą w grę. Lubię proste jedzenie: kaszankę, salceson. Jestem wychowana w PRL, więc lubię podroby, płucka, serca, ozory, żołądki. Uważam, że wszystko co robisz, musi być związane z miejscem, w którym żyjesz, ponieważ energia tego miejsca bardzo ciebie dotyczy. Tu jest Polska, więc jedzenie na okrągło japońskiego żarcia jest zachwianiem równowagi.

A teraz trochę bardziej prywatnie. Co porabiają Twoje dzieciaki? Ile lat mają?

Jeden 5, drugi 7. Dwaj weseli goście. Jeden ma naturę refleksyjno-poetycką, a drugi jest wesołym bokserem. Niestety, nie mogę ich namówić do słuchania hip-hopu. Słuchają głównie pieśni patriotycznych i ułańskich, zakręceni są na punkcie tanga, Mieczysława Fogga, no i bardzo lubią ragga. Znają na pamięć kawałki składu Cinq G.

Jesteś osobą wierzącą?

Jasne, dla mnie jest to podstawowa sytuacja. Nie mogę sobie wyobrazić, jak ludzie w świecie, o którym wiemy aż za dużo, żyją bez nadziei na to, że jest coś więcej. Nie jestem praktykująca, nie chodzę do kościoła. Dlaczego jednak nie wierzyć, że Pan Bóg dał radę stworzyć ten świat? Nie widzę swojego życia bez wiary w Boga. Wiara jest mi potrzebna, to ona powoduje, że wszystko ma sens. No i miłość, jasna sprawa.

A jaką postać ma, Twoim zdaniem, Bóg?

Oczywiście staruszka z brodą (śmiech).

WBW 2006



WIELKIE RAPOWE PRZEDSZKOLE

Tegoroczne WBW to impreza bez wątpienia dobrze zorganizowana. Niestety, pod względem klimatu i umiejętności bitwa nie była w żaden sposób wielka. Nawet określenie „średnia" byłoby tu na wyrost

tekst Flint
foto Cess

Przedsmak

Hall ozdobiony zdjęciami Marszulla, główna sala udekorowana fotkami zeszłorocznych mistrzów w bokserskiej konwencji, ring jako miejsce walk, wygodny balkon dla VIP'ów. Dodajmy do tego dobre oświetlenie, nagłośnienie, niewielkie obsuwy czasowe oraz DJ'kę i konferansjerkę pozbawioną tym razem niedociągnięć. Ale co z tego?

Na portrety nagradzanych w poprzednich latach patrzyło się ze smutkiem, bo nawet jeśli Rufin był w jury, a TeTris i Diox na trybunach, to wśród freestyle'owców brakowało głośnych ksyw. Z zeszłorocznej finałowej ósemki ostał się tylko Filip. Dlaczego? Można snuć przypuszczenia, że perspektywa wyjazdu na pokaz sportów ekstremalnych do Madrytu i trochę reklamowych gadżetów nie przyciągało uczestników jak należy. Reszty dokonało zaskakujące umiejscowienie eliminacji regionalnych (gdzie Śląsk?) i głupie decyzje proceduralne – zamiast zapewnić zeszłorocznemu mistrzowi automatyczny start, starano się go przepchnąć na kuriozalnych barażach w przeddzień finału. Sam finał trafił na początek mundialowej gorączki i zaczął się o 19, ponieważ „klub" to niegdysiejsze słabo wyciszone kino i trzeba było skończyć wcześnie...

Ośmiu wspaniałych?

Wielką ósemkę wraz z najlepszymi linijkami bliżej przedstawimy za miesiąc, teraz ją wymieńmy: Muflon, Gres, Theodore, Raskall, Goły, Green, Puoć i wspomniany Filip. Zakładając, że podwarszawski Dziekanów, skąd pochodzi Puoć, z czasem i tak stanie się częścią WWA, stolicę reprezentowała piątka zawodników. Niestety, z jednego crew. Wkradła się więc rutyna, monotonia i klepanie się po pupciach.

Przekleństwem jest młode pokolenie wyspecjalizowane tylko we freeestyle'u – bez głosu, dykcji, obycia z mikrofonem i umiejętności odnalezienia się na beacie. Wśród zalewu krzyczenia i dukania flow mieli jedynie Puoć i Gres, władzę nad wokalem zaś już tylko ten drugi. Nic dziwnego, że dostali się do półfinału. Dobili do niech spece od punchlines – kąśliwy i inteligentny Muflon oraz nierówny jak cholera, odważny, miejscami okrutny Raskall. Łodzianin Gres skasował go traktując to jak formalność. Puoć zaś przegrał z Muflonem na własne życzenie, wzorem Dioxa jadąc ładnie, unikając punchlines i bez żenady o tym informując.

Finał Muflon-Gres był więc powtórzeniem walki otwierającej turniej. Trudno porównywać tych mc. Jeden z nich to błyskotliwy, szelmowski styl wbijania szpilek, drugi to wielka wyobraźnia i ciężkie, zaskakujące linijki. Decydująca walka obfitowała w zawieszki, powtórzenia i wersy bez sensu. Łodzianin zdemolował temat „CB Radio", ale paskudnie poplątał się w rundzie bitewnej sięgając ponadto po prymitywne i ograne chwyty. To wystarczyło.

Kinderfest

„To dla dzieciaków", mruknął Stasiak z 2cztery7, wychodząc z klubu, do którego ja akurat wchodziłem. I rzeczywiście... Organizator przetykał walki breakdance'em, beatboxem, turntablizmem. Świetny (i dobrze wykonany) pomysł, ale chyba młoda publika nie za bardzo wiedziała, o co chodzi. CNE pytał zawodników, który jest starszy. Gdyby to chciał sprawdzić, musiałby zebrać legitymacje szkolne. „Wiem, że wypadłem słabo", tłumaczył się Filip, który walcząc nie omieszkał jechać konkurentów od szczeniaków. „Nie było klimatu".

Zabawne do obserwacji były przewijające się w wersach pochwały dla Smarka i TeTrisa przy jednoczesnej krytyce Piha i Hemp Gru. Z przymrużeniem oka można patrzeć na poskładane „punche", które fatalnie brzmią, ale dobrze wyglądają na forach i blogach. WBW ma przed sobą kryzys do rozwiązania. Wciąż sporo tu pozytywnej energii, ale z najważniejszej bitwy freestyle'owej stało się wąsko sprofilowanym kinderfestem nużącym wersami o fiutach, dupach i ciuchach.


Zwycięzca WBW 2006 - Muflon


Muflon i jego finałowy przeciwnik, czyli Gres


Filip w pojedynku z Raskallem


Gres i zasłuchany Theodore



tekst Bartosz 'Bart' Markowski
foto Łukasz Gumowski

W sobotę 10 czerwca odbył się w Warszawie finałowy turniej „G--Shock RBK Basket Music Tour". Aż 125 drużyn rozpoczęło swe zmagania pod koszem od fazy grupowej, rozgrywanej w czterech konferencjach. Dwie najlepsze ekipy z każdej grupy przechodziły do kolejnego etapu rozgrywek. Frekwencja była bardzo wysoka – w finałowym turnieju udział wzięło prawie 500 zawodników (podczas całego RBK Tour w 6 miastach zagrało niespełna 2500 graczy). Pogoda dopisała zawodnikom, jak również organizatorom. Przyciągnęło to na boiska wielu kibiców. W przerwach między meczami odbywały się konkursy, o muzykę podczas turnieju zadbał DJ Grubaz, a prowadzeniem zajął się Filip Rudanacja.

Obok turniej głównego mieliśmy kilka pobocznych konkursów. I tak konkurs rzutów za trzy punkty wygrał Karol Grzegorek, który trafił 5 rzutów na 10, pokonując kilkunastu startujących. Do kolejnego konkursu freestyle'u z piłką zgłosiło się 7 zawodników. Wygrał Piotrek 'Burak' Dąbrowski z ekipy WSF, prezentując swoje umiejętności w kręceniu piłki i szybkim kozłowaniu. Później odbył się oczekiwany przez wszystkich konkurs wsadów. Można było zobaczyć m.in. powerdunki, windmille czy wsady z narzutu jedną ręką. Cały konkurs wygrał Andrzej Bagiński.

W rozgrywkach dziewczyn w finale spotkały się zespoły „Labdi" i „Twoja Mama". Po zaciętym meczu wygrały „Labdi" zdobywając główne nagrody. Trzecie miejsce przypadło drużynie o nazwie „Gibonki". Wśród męskich ekip wygrała ekipa „Kabaczki", która zdecydowanie pokonała drużynę „Kiełbatronów", zaś 3. miejsce zajęła drużyna o tajemniczym skrócie „EWS".





MIKE PATTON

WARIAT, NIE WARIAT?

Bossowie muzycznego przemysłu uważają go za świra. Bo przecież nikt, kto rezygnuje z możliwości zrobienia wielkiej kariery i wybiera granie szalonej muzyki dla podobnych mu wariatów, nie może być normalny

tekst Sebastian Rerak

Mike Patton (rocznik 1968) mógłby być dzisiaj królem życia. Prowadziłby lekki żywot rockowego gwiazdora, nagrywał w duecie z George'em Michaelem, występował w kolejnej części „Szybkich i wściekłych", kumplował się z członkami Red Hot Chilli Peppers, a brukowce rozpisywałyby się o jego romansie z Britney Spears. Zamiast tego, Patton pracuje w pocie czoła, kolaboruje z japońskim guru muzyki noise, Merzbowem, przewinął się przez obsadę niezależnego filmu „Firecracker", członkom Red Hot Chilli Peppers nie szczędzi szyderstw, a zamiast romansować z Britnejką, uzdatnił do słuchania jej wielki przebój „Hit Me Baby One More Time". „Nie jestem typem gwiazdy. Mam kilku przyjaciół, którzy są sławni, ale to tylko przyjaciele" – przyznaje prostolinijnie, dodając po chwili, że chodził do jednej szkoły z Kevinem Costnerem.

A jednak wydawało się kiedyś, że Mike Patton ma świat u stóp. Kiedyś, czyli w latach 90. – w okresie świetności zespołu Faith No More, którego był wokalistą. Po rozpadzie tej funkowo-rockowo-rapowej grupy zaczął pracować na własny rachunek. Wbrew oczekiwaniom wielu, nie zamienił tras koncertowych na tournee po studiach telewizyjnych talk shows. Paradoksalnie, rozpad grupy, która zapewniła mu popularność, oznaczał dla niego pełnię swobody. Zaznaczyć trzeba, że przez wszystkie lata spędzone z FNM Patton pozostawał członkiem założonego jeszcze w czasach licealnych zespołu Mr. Bungle. Cofnijmy się więc na chwilę do roku 1991, kiedy to macierzysta formacja Pattona wydała debiutancką płytę zatytułowaną po prostu „Mr Bungle".

Produkcją albumu zajął się John Zorn, apostoł nowojorskiej awangardy jazzowej, a sama muzyka stanowiła zlepek różnych brzmień i stylów – od metalu, poprzez funk, ska, rockabilly, swing, tango i free jazz po dźwięki z gier video i kreskówek. Tę muzyczną erudycję w służbie totalnego kpiarstwa Mr. Bungle doprowadził do ekstremum na swojej drugiej płycie, „Disco Volante" (1995), ustanawiając jednocześnie swoisty drogowskaz dla dalszych poczynań Pattona. Ten zaś nagrał z Mr. Bungle jeszcze jedną płytę, „California" (1999), po czym rozstał się ze starymi kumplami.

Oferowano mu wówczas posadę wokalisty INXS i udział w projekcie ex-członków Guns'N'Roses. Mike nie był jednak zainteresowany ponownym wejściem w bagno szołbiznesu. Zresztą, czy można wyobrazić go sobie współpracującego z G'N'R (zwłaszcza że kiedyś nasikał ich wokaliście do kartonu z sokiem pomarańczowym)? Patton stanowczo odrzucił więc obie propozycje, zaliczył za to szereg kolaboracji, m.in. z Johnem Zornem, Björk, Melvins, Dillinger Escape Plan, Sepulturą i X-Ecutioners. Zaczął także realizować pomysły na nowe projekty, z których pierwszy miał grać odjechane para-metalowe piosenki.

Ten koncept zmaterializował się pod postacią zespołu Fantômas, którego skład uzupełnili muzycy Melvins, Mr. Bungle i Slayera. Ta supergrupa z brutalnie anarchicznym poczuciem humoru zadrwiła z nudnego, przewidywalnego alternatywnego rocka lat 90. Gdyby muzyka obecna podówczas na falach eteru miała jaja, to Fantômas zaaplikowałby w nie potężny kopniak. Każda z czterech płyt, jakie dotychczas nagrał Fantômas, podporządkowana jest konkretnemu motywowi przewodniemu. Debiutancka „Amenaza al Mundo" (1999) to dowód fascynacji Pattona estetyką science-fiction, „The Director's Cut" (2001) zawiera zbiór wariacji na temat słynnych kompozycji muzyki filmowej, „Delirium Cordia" (2004) okazuje się jedną 74-minutową kompozycją poświęconą kwestii chirurgii bez znieczulenia, a „Suspended Animation" (2005) inspirowana jest muzyką z seriali animowanych. Niezależnie jednak od tematyki, zwariowane kompozycje Fantômasa pozwoliły Pattonowi na popis możliwości wokalnych. Facet traktował głos jak dodatkowy instrument – na zmianę bulgotał, skrzeczał, wył i szeptał, zawodził tenorem taniego naśladowcy Sinatry, by po chwili oddać się death metalowym porykiwaniom czy jazzowemu scatowaniu.

Albumy Fantômasa ukazały się nakładem Ipecac Recordings, wytwórni, którą założył sam Patton, by zapewnić sobie artystyczną niezależność i pokazać przemysłowi płytowemu środkowy palec. Także nakładem Ipecac ukazał się w 2001 roku album „Tomahawk" formacji o takiej samej nazwie. Za jej powołanie odpowiedzialny był rzecz jasna Patton, który ponownie dobrał sobie team doświadczonych współników. Tomahawk przedstawił autorską wizję nowoczesnych ostrych brzmień, bardziej konwencjonalną i nie tak pojebaną jak Fantômas. Na jego debiutanckiej płycie, a także kolejnej, „Mit Gas" (2003), dominowała energetyczna, ale i poszukującą muzyka, wykorzystująca elementy metalu i hardcore'u.

Najmłodsze dziecko niesfornego Mike'a nosi nazwę Peeping Tom. Wydana niedawno płyta tego niezwykłego projektu przynosi kompozycje, jakie Patton kompletował na przestrzeni kilku lat, wymieniając się muzycznymi plikami z innymi artystami. Grono współpracowników dobrał sobie zacne, bo wśród nich znaleźli się m.in. Kool Keith, Norah Jones, Amon Tobin, Massive Attack i Kid Koala. Album zatytułowany po prostu „Peeping Tom" jest manifestacją muzyki popularnej według wizji Pattona, który zapewnia: „Gdybym słuchał radia, to chciałbym usłyszeć w nim taką muzykę. To moja wersja muzyki pop i pewnego rodzaju doświadczenie, ponieważ zebrałem wszystko to, czego nauczyłem się w ciągu wielu lat i umieściłem w popowym formacie".



Cyniczny wobec własnej kariery i nieustannie poszukujący nowych sonicznych wymiarów, Mike Patton nawet nagrywając płytę w stylu pop daje upust naturze eksperymentatora. W Peeping Tom nie masakruje już heavy metalu ani nie wydobywa dziwnych dźwięków z gardła. Tym razem postawił na przebojowe, przyjazne dla ucha dźwięki. „Mike Patton to gość, który robi to, co chce" – trafnie punktuje go Rob Swift z X-Ecutioners. Wariat, nie wariat, ale czy można go nie podziwiać?

CF98

PUNKY BIRTHDAY 2 U!!!



CF98 określa swoją muzykę jako czekoladowy koktajl z punka i emo soft core. Melodyjnych piosenek tej krakowskiej ekipy słucha się z przyjemnością, jaka towarzyszy zajadaniu się watą cukrową. A jeżeli jeszcze dodam, że „Enjoy", debiutancka EP-ka CF98, to płyta po prostu malinowa, to nie sposób nie poczuć się jak łakomy dzieciak spędzający urodziny w sklepie ze słodyczami

rozmawiał Sebastian Rerak

Czy Kraków ma w sobie coś kalifornijskiego?

Alek: Oprócz CF98, nic (śmiech).

A zatem skąd ta fascynacja melodyjnym punk rockiem o kalifornijskim rodowodzie?

Karolina: Kwestia inspiracji. Tak jak kiedyś powstawały zespoły grunge'owe wzorujące się na grupach z Seattle, tak nas fascynują dźwięki rodem z Kalifornii. A fakt, że CF98 powstało w Krakowie, jest zbiegiem okoliczności. Spotkaliśmy się po prostu we właściwym czasie, co równie dobrze mogło nastąpić w każdym innym miejscu.

Alek: Czuliśmy potrzebę zrobienia czegoś nowego. Kraków to bardzo specyficzne miejsce.

Skoro padło słowo „inspiracje", czy możecie wyjawić, jacy wykonawcy wpłynęli na CF98?

Alek: Nie ma co ukrywać, każdy obiera sobie jakieś wzorce, gdy zakłada zespół. Dla nas były to zespoły takie jak Lagwagon, Bad Religion czy Millencolin. Później zapragnęliśmy pójść w kierunku lżejszych brzmień i muzyki, jaką grają Saves The Day i New Found Glory. Czasami zapewne słychać ich wpływ w naszych dźwiękach, ale ostatecznie wyrobiliśmy sobie chyba własny styl.

Styl, którego wyznacznikiem są przebojowe, popowe melodie. Podobno napisanie zapadającego w pamięć szlagwortu jest – wbrew pozorom – nie lada sztuką?

Karolina: To prawda. Paradoksalnie, proste chwytliwe melodie pisze się trudno.

Alek: Mnie jako gitarzyście wystarczą czasem dwa akordy i jeżeli tylko mam pomysł na aranżację, jestem w stanie zrobić na ich bazie dobrą piosenkę. Jeśli chodzi o wokal, to jest to już bardziej skomplikowane. Wokal jest najbardziej komunikatywnym elementem muzyki, a ułożenie jego linii nie jest wcale łatwe. Pomijam tu już fakt, że Karolina śpiewa tylko po angielsku, co w tym kraju może działać na naszą niekorzyść. Był to jednak nasz świadomy wybór.

Karolina: Anglojęzyczne piosenki lepiej nam wychodzą. Próbowałam trochę śpiewać po polsku i jednomyślnie stwierdziliśmy, że nie jest to już to samo.

Jakiś czas temu ukazała się Wasza debiutancka EP-ka „Enjoy". Czy odzew na nią jest na tyle duży, by ocenić, z jakim spotkała się przyjęciem?

Alek: Największy odzew dostajemy ze strony ludzi, którzy wyrażają swoje opinie i gratulują nam. Konsekwencją wydania „Enjoy" jest także to, że gramy więcej koncertów niż dotychczas.

Karolina: Nadal znajdujemy się na początku drogi i stać nas na wiele więcej niż to, co zaprezentowaliśmy na EP-ce. A jednak odzew jest całkiem spory, bo też i zainteresowanie płytą przekroczyło nasze oczekiwania. Nie mogliśmy tego przewidzieć, ale generalnie „Enjoy" spotyka się z pozytywnym odbiorem. Natrafiliśmy też na negatywne opinie, ale nie możemy przecież podobać się wszystkim.

Alek: Dotarło do nas kilka krytycznych zdań. Czasem ktoś czepia się, że nie śpiewamy po polsku, że nie gramy szybko albo że mamy dziewczynę na wokalu. Najbardziej niedorzeczne są zarzuty, że skoro gramy taką muzykę, to jesteśmy dziećmi z bogatych domów.

Zakładaliście jakieś cele do realizacji przystępując do nagrywania „Enjoy"?

Alek: Od początku zakładaliśmy, żeby z gotową płytą uderzyć do Pasażera. Co prawda wysłaliśmy materiał także do kilku innych wytwórni, ale liczyliśmy, że uda nam się go wydać właśnie w Pasażerze. To jest wydawnictwo, które działa na scenie od długiego czasu i wciąż wydaje sporo płyt.

Karolina: Na pewno przyjęliśmy też założenie, że „Enjoy" ma być bardzo pozytywną płytą.

Alek: Jedyne, co jest wbrew naszym oczekiwaniom, to wszystkie te loga sponsorów i patronów medialnych z tyłu okładki. Mam pewien dystans do płyt z dużą liczbą takich „etykietek", ale wiem, że bez nich nie moglibyśmy liczyć na jakąkolwiek promocję. A promocja jest ważna zwłaszcza dla takiego młodego zespołu jak nasz.

Karolina: Poza tym są to też logosy firm z klimatów (w tym i „Ślizgu" – przyp. aut.), nie ma tam Radia RMF (śmiech). Grunt to fakt, że wraz z wydaniem EP-ki postawiliśmy pierwszy krok i wielu ludzi o nas usłyszało. Widać, że coś robimy i nie zwlekamy przez pięć lat z wejściem do studia.

Wasze piosenki mają jeszcze jedną – oprócz już wspomnianych – cechę wspólną: teksty podejmujące w większości temat różnych niuansów relacji damsko-męskich. Matt Skiba z Alkaline Trio powiedział kiedyś, że nie ma nic lepszego od dobrej piosenki o złamanych sercach. Zgadzacie się z nim?

Karolina: Próbowałam unikać tego tematu, ale po prostu nie da się całkiem od niego uciec (śmiech). Staram się w tekstach poruszać różne kwestie, a nie tylko pisać o takich prostych relacjach. Tyle że towarzyszą im uczucia, które rządzą człowiekiem.

Alek: Od początku istnienia zespołu zakładaliśmy, że wbrew pewnym standardom na scenie punkowej nasza muzyka nie będzie zawierała treści politycznych. Dla nas prawdziwym obrazem punk rocka są pozytywne sprawy i osobiste uczucia. Śpiewanie o nich jest także świetnym sposobem na odstresowanie się. Nie musimy tłamsić w sobie emocji, możemy zapomnieć o dołujących sprawach i skupić się na pozytywnych aspektach rzeczywistości. A co do relacji damsko-męskich, to prawda jest taka, że lubimy wszelkie perwersje (ogólny śmiech).




The Grouch i Luckyiam.PSC

PRZECENIENI VS NIEDOCENIENI

LIVING LEGENDS

Trzech czarnych melancholijnych cyganów - hmm, to brzmi jak senne marzenie Młodzieży Wszechpolskiej. 3 Melancholy Gypsies to jednak tylko formacja, jaką we wczesnych latach 90. założyli Murs, Scarub i Eligh. W drogę wszedł im Luckyiam i Sunspot, duet samozwańczych bohaterów, którzy powołali do życia Mystik Journeyman I od którego zaczęła się też cała idea Living Legends. Reszta wariatów w rodzaju białego zajaranego freestyle'em nadwrażliwca Groucha dołączała stopniowo by, stworzyć najbardziej fascynujący kolektyw zachodniego wybrzeża

tekst Cess / Flint

Najbardziej zróżnicowany stylistycznie kolektyw hip-hopowy, jaki nosi ta planeta? To bardzo prawdopodobne. Kiedy patrzy się na nich z boku, przypominają drużynę z gry RPG. Na czele stoi Murs – wojownik, wizytówka grupy z solówką w Def Jux i muzyką od El-P i RJD2. Kiedy jeszcze nie ucichły dyskusje o nagrywanej ze Slugiem serii „Felt", uderzył właśnie drugi projekt z rozchwytywanym 9th Wonderem. Co ciekawe, raper sam nazywał siebie w ten sposób rymując „9th wonder of the world right after the giant". Widać dziewiąte cuda świata lubią chodzić parami. Murs jest najbardziej cynicznym i obscenicznym mc w gromadzie, ale czy najlepszym? Ważne, że błyskawicznie się uczy, ma dziką charyzmę i pewność siebie, wreszcie – jest cholernie uniwersalny. Obrazowo tłumaczy to w „Gotta question for ya" – jednego dnia można namierzyć go z plecakiem („backpack" – symbol pewnej hip-hopowej mentalności, i nie chodzi tu o zdziecinnienie, raczej o świadomość i niezależność) przy wolnym mikrofonie, drugiego zaś w spodniach khaki (atrybut westcoastowych hustlerów i gangstas) na blokowisku.

Wiecznie rozkojarzony włóczęga z wyboru, „beznadziejny romantyk", czyli Eligh byłby w drużynie magiem. To akurat ewidentne, bo mówi o sobie per Gandalf, jak również „Mistyk z doliny", „Czarnoksiężnik z gór" i „Kapitan poetów", popierając to tworzeniem unikalnego zderzenia hip-hopu z fantasy. W dodatku znakomicie rysuje, sam ozdabia wszystkie swoje albumy, jest też najlepszym producentem z grona Living Legends.

Scarub to mnich lub lepiej szaman. Odrywa się od normalnego świata, bo ma swój wewnętrzny, w którym hoduje słowa. Zetknięcie z nimi przenosi na nieco inny poziom percepcji. „To na początku był sen, który miałem / trafianie do nowych wymiarów / podróżowanie przez przestrzeń jako gaz / tak, że jest się niewidocznym i niesłyszalnym / po prostu przejmuje się kontrolę", rymuje. Nie da się go generalizować – jest abstrakcyjny, ale z dużym talentem do precyzyjnych syntez. Tematem na kawałek jest dla niego np. opis sytuacji, w której nie byłoby luster. Ponoć wtedy Michael Jackson wciąż byłby czarny. No tak, Scarub nie daje zapomnieć o swoim afrocentryźmie...

Grouch mógłby być ascetycznym kapłanem. To neurotyczny, roztrzęsiony, małomówny i stosunkowo nieśmiały idealista. „Mam ten stary lęk, że wyglądam głupio, kiedy dzielę się duszą", mówi artysta. To jeden z ludzi, którzy są w stanie chlusnąć w twarz całym brudem z głębi siebie, i ponoć nie potrafi kłamać. „Bardziej jaramy się jego osobowością niż jego muzyką", podsumował jeden z recenzentów, zmęczony zalewem skrajnie osobistych tracków.

Sunspot Jonz uważa się za „anioła ze złamanym skrzydłem", ale w RPG byłby bardem. Jeżeli istnieje jakaś forma wyrażenia się, Sunspot próbował jej lub będzie próbował. Jego styl jest tyleż szalony co melodyjny, łączy bowiem rap ze śpiewem. Jest w tym funk, seks i nie wiem co jeszcze, może wdzięk, miękkość. I ogrom nonszalancji. Do niedawna był ostatnim, na którego zwracało się uwagę czytając wywiady i pierwszym, którego wyławiało się z płyty Living Legends. Choć stonował się już nieco.

Luckyiam.PSC to błazen w wydaniu stańczykowskim. Po części spec od przerysowanej socjologii, która podsumowuje wszystko od rządowej polityki po przemysł muzyczny, ale głównie wesołek, bufor bezpieczeństwa w grupie, a zarazem twórca zamieszania na koncertach.

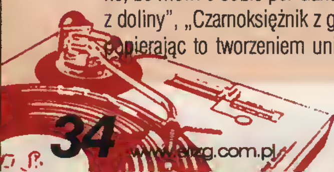
Z Bicasso nie ma problemu – to paladyn. Gość do scharakteryzowania w trzech słowach: świadomość, dojrzałość, sumienie. Zmieniają się stany kont, sprzęt do robienia muzyki, ale niezależnie od tego Bicasso trzyma magię starego stylu Living Legends. Jak rymuje: „Get twisted, I choose the path less taken". To pochmurny ideolog stojący dumnie w huraganie zmian, lecz również pomocna dłoń nowych twarzy, juror w konkursach talentów. Opiekun, którego pełno tam, gdzie są jamy przy żywych instrumentach, a rap miesza się z poezją.

Aesop zamyka drużynę jako kolejny wojownik. Dodaje jej ulicznej wiarygodności, bo to raper, który sypiał na ulicach i w melinach, sporo przeżył i gdzieś tkwi w nim głęboko dzieciak z getta. Stąd u niego wiarygodne, mocne historie. Poza tym ma nieco inne priorytety – najważniejszy w rapie jest dla niego flow, nie treść i technika.

Tajemnicą jest to, jak Eligh, który wciąż narzeka, że nie bawią go żarty o fiutach, mógł wytrzymać z Mursem i to, że Murs nie odstawił przyjaciół, tak jak Fat Joe zrobił to z D.I.T.C. Scarub najszczęśliwszy był w Japonii, bo tam każdy mógł pokazać się indywidualnie, nie trzeba było zlewać się w „wielką amebę". Co robi więc w wielkim crew? Bicasso odgraża się już jakiś czas, że zakończy swój hip-hopowy żywot, idąc w ramiona szeroko pojętego artyzmu. Już teraz najłatwiej namierzyć go na trasie z dziewczynami śpiewającymi soul po osiedlowych domach kultury. Kiedy Grouch mówi w wywiadzie o tym, że są ludzie, którzy skolekcjonowali wszystkie nagrania zespołu, nawet te robione na czterośladzie, PSC wtrąci się zauważając, że on do nich nie należy, gdyż Grouch każe kupować mu swoje albumy. To taki żart, za którym coś się kryje... Gdzie są zagraniczne nabytki Living Legends pokroju japończyka Araty?

Dobra, póki co to wciąż wielka, wyjątkowa rodzina. Niemal każdy z członków ma na koncie kilka czy nawet kilkanaście albumów – solo i w różnych kooperacjach (polecamy np. senne, hipnotyczne krążki G & E, czyli Grocha i Eligha). Niemal każdy jest producentem – najczęściej z przymusu. Efekty są różne. Starocie zbiera kompilacja „Creepy Old Shit", swoistym „the best of" jest druga płyta z podwójnego „Creative Differences", koniecznie trzeba sprawdzić album „Classic". Nazwa nie kłamie.





MODA NA MIXTAPE

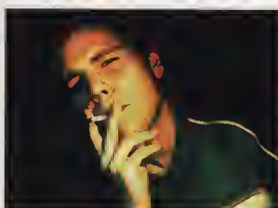
tekst Cess / Flint

Moda na mixtape trwa. Czasem zdarzają się niestety takie pozycje jak Krewniacy – Mixtape 2006 vol. 1, gdzie perkusje w cieniutkich beatach to jakaś zupełna sraczka i mimo że sześciu mc prezentuje różne strony (o ile Das jest strasznie warszawski i brzmi jak Bilon, to Ivan stanowi anglojęzyczny kabaret z przyśpiewkami) i chcą być groźni jak wyszczerzony pies z ich okładki, to nie prezentują flow, głosu i dykcji, a teksty stanowią wtórne, smutne gówno o ulicy, na której nawet pięciolatki pokazują „fucka" policji. Czasem zdarzają się na szczęście wartościowe rzeczy jak Jot i Pierwszy Milion



JOT

Owszem, zdarza się Jotowi zrymować coś na siłę, czy tak zaskakująco przenieść wyraz do kolejnego wersu, że kłuje to w uszy. Nie jest on wybitnym specem od techniki ani miejskim poetą. Raczej kimś, kto co jakiś czas zaskoczy ciekawą zbitką albo celnym i oryginalnym spostrzeżeniem, zwłaszcza w retrospekcjach czy kawałkach o swoim mieście. Największą siłą Jota jest, hmmm..., groove, vibe, łatwość odnajdywania się w beacie, świetne wyczucie, które najwyraźniej wyniósł z funku. Poznał się na tym Tede dawno temu dając demówce Jota maksymalną ocenę w „Klanie", powoli poznają się na tym ludzie. To spojrzenie na świat jest własne, a elegancki, super-miękki flow dobrze je napędza. Jot umie robić również bujające, bezpretensjonalne, przebojowe beaty, choć na jakiś czas o tym zapomniał. I nawet jeśli etykietka mixtape'u jest dla niego jedynie okazją, żeby wypchnąć z dysku część numerów bez ostatecznego szlifu oraz bez DJ'a, można mu to wybaczyć. Wytania się nam król Wrocławia. Dobra rzecz.



Pięć powodów, przez które Jot nie osiągnął jeszcze sukcesu:

1. Sukces nie osiągnął jeszcze Jota.
2. Jot czeka, aż sukces zniży się do poziomu normalnego człowieka, żeby mógł go „na loozaku" osiągnąć.
3. Jot nie wysłał demówki do żadnej wytworni od 6 lat.
4. Jot i ziomale kompletują sprzęt, żeby móc wreszcie normalnie nagrywać.
5 Poza tym: praca, rodzina, szkoła, dziewczyny, używki, życie, używki, praca, praca... Nie mam bogatych rodziców, żeby żyć prawilnie i na luzie (śmiech).



ZEUS I JOTESTE

Flow jest brudny, sięgający czasem po specyficzne patenty (w rodzaju niekonwencjonalnego dzielenia wyrazów), ale zdecydowanie wskazuje na doświadczenie. Głos wskazuje na pewność. Bardzo dużo dobrych punchlines, takich bez nachalnej chęci zwrócenia na siebie uwagi, szokowania i frustracji wskazują na to, że Zeus i Joteste (to zarówno mc i beatmakerzy) rozumieją grę. Więcej – mają ją we krwi. Rap, którym można jarać się bez rozbierania go na czynniki pierwsze. Jak tego brakowało! „Mój styl to nie welur, mój styl to zgrzyt na każdej z szyb, co wkurwia pasażerów", nawija jeden z mc, ale to taki hardcore, który nie ma prawa wkurwiać kogokolwiek. Wszechstronny hc w rozumieniu, jakie ostatnio prezentuje Ero, ale równiejszy. „Część sampli, refrenów itp. może się wydać starszym fanom rapu znajoma (...). Chcieliśmy złożyć hołd kilku artystom poprzez stworzenie instrumentali bliźniaczo podobnych do ich twórczości", piszą panowie. I brawo, świetny pomysł, sprawdza się. O.S.T.R. wiedział co robi biorąc Zeusa na „7", a ja wiem co robię nazywając go bardzo dobrym. Pierwszy mixtape. Pierwszy Milion. I niech Łódź będzie dumna!



Zeus i Joteste mówią, jak zarobić pierwszy milion:

1. Z klasą
2. Z pomysłem
3. Szybko
4. Z uśmiechem na ustach

Namiary: http://jot.age.pl, www.pierwszymilion.net

NIELEGALE



VOOM
JAK ZECHCESZ EP
VOOM@O2.PL

W recenzji epki pochodzącego z Koszalina Vooma dominuje cząstka „nie". Beaty mają dozę niesamowitości i paranoi, ciekawą rytmikę, spotęgowany szumami i niezwykłymi dźwiękami nastrój, ale one są akurat... „pożyczone". Dochodzi do nich niebanalny, melodyjny flow z ciekawymi zmiękczeniami i niespotykana w podziemiu jakość realizacji (Mahyn). Niestety, słychać też wadę wymowy i nienajlepsze, nieskładne, nieprzyciągające ani treścią, ani formą teksty. Więc „Jak zechcesz" to raczej nic ponad ciekawostkę.

PASJONACI
PAJĘCZYNA SPRAW
HAOS STUDIO / WWW.HAOS.PL

Singiel „Pajęczyna spraw" nagrano w 2005 r., przysłano go nam jednak dopiero teraz. To kawałki, które nie zmieściły się na legalną płytę zespołu, która ma się ukazać we wrześniu. Bardzo dobre są beaty PWK – mają brzmienie i głębię, doskonale je wyważono. Nie są ani zbyt łatwe w słuchaniu, ani zbyt nieprzyjazne, takie w sam raz, by przyciągnąć. Raper Begiet (znany co niektórym z płyty Żusto) dysponuje przyzwoitym flow, niecodziennymi porównaniami (porównalibyście życie do „nart na igielicie"?) i swoim stylem. Jeśli to są odrzuty, to dwóch tworzących zespół braci z Biłgoraja na sto procent zasługuje na legal.

MAGNES
LENIWE KOTY EP
HTTP://MAGNES.KNOWS.IT

Milutka, leniwa epka z retro posmakiem. Raczej o niczym (no dobrze, o lenistwie i procesie twórczym), prościutko wyprodukowana, dość amatorska pod względem realizacyjnym. Domingez rapuje blisko werbla, z luzem, nawet wdziękiem, choć jeszcze niepewnie i ciut monotonnie. Trochę jak Wank, trochę jak Manufaktura, z tym że z większą ilością energii, za to bez cienia zadziorności. SCP wybiera niezłe sample, niewiele z nimi robi, dorzuca odrobinę jeszcze drewnianą perkusję z nieskomplikowanym podziałem, a i tak bywa efektowny. Niestety, staje też czasem za mikrofonem...

LABEL
EP
WWW.LA.LABEL.PRV.PL

Label to „prawie dwudziestolatek" nawijający jak prawie pięćdziesięciolatek. Ile to on nie wypił, ile romansów nie przeżył (niektóre na „nieświadomce"). Pewno by było tego więcej, gdyby nie astma – choroba w polskim hip-hopie bardzo trendy. Jego wersy są rzeczywiście astmatyczno-anemiczne. To marudne, brzmiące bardzo nieautentycznie gówno. Singiel boli chyba najbardziej – do wolnych beatów trzeba umieć nawijać, czuć je, bo kiedy przeciągasz, brzmi to jak krowa domagająca się dojenia. Szkoda muzyki – Jot zrobił akurat najsłabszy podkład od dawna, ale Rytm pozamiatał i uczynił, co mógł, by reanimować to truchło. Wyróżnia się też Mati, który mógłby mieć co prawda lepsze perkusje, ale „Najba.com" jest potencjalnym hitem i nawet Label brzmi tu dobrze. Ściągnijcie te dwa jointy – na resztę szkoda czasu.

recenzował Owłosiony Antałek



PRO-DUKCJA
MATEO

Mateo to dwudziestojednoletni producent ze Stargardu Szczecińskiego. Studiuje informatykę i ekonometrię na Uniwersytecie Szczecińskim. Nauka i muzyka pochłaniają mu większość czasu, ale jak mówi: „Nie zamykam się na inne aspekty życia chociażby dlatego, że pozwalają mi one na znalezienie inspiracji". Znacie go z beatów na soundtracku do „12 Ławek", na płycie Familii HP oraz WSZ & CNE. Na pewno kojarzycie podkłady dla Tedego. Teraz zrobił mu całą płytę. Szykujcie się na grube mainstreamowe brzmienie

ankietował Flint

Najchętniej słucham:
Przede wszystkim soulu i funku, ale też dużo muzyki etnicznej z różnych rejonów świata. No i oczywiście hip-hopu.

Mój styl w jednym zdaniu:
Mój styl charakteryzuje wszechstronność – jestem w stanie zrobić bit każdego rodzaju.

Związek między miejscem zamieszkania a moją muzyką jest:
Tylko taki, że tu gdzie mieszkam, jest moje studio, w którym tworzę.

Najchętniej sampluję:
Raczej nie sampluję, a jeśli już to utwory soulowe i funkowe.

Beaty oparte na pętlach to dla mnie:
Pójście na łatwiznę. Jeśli nawet sam wycinam jakiś znaczny fragment danego utworu, to i tak staram się go zmodyfikować.

Beaty, z których jestem najbardziej dumny:
Wszystkie.

Nie obawiam się, że na stałe powiążą moją ksywkę z jedną wytwórnią, bo:
Cały czas się rozwijam i jestem zbyt ambitny, aby być związanym tylko z jedną wytwórnią.

Kwintesencją podkładu jest:
Rytm, ponieważ określa on twórcę.

„Żywe instrumenty" w hip-hopie to:
Otwarcie nowych możliwości przed twórcą bitów.

„Elektronika" w hip-hopie to:
Moc i energia, jakiej nie mogą dać żywe instrumenty.

Sprzedaż beatów zagranicznym wykonawcom to dla mnie:
Naturalna kolej rzeczy.

Moi trzej ukochani producenci to:
Ja, a poza mną istnieje zbyt obszerna lista.

Moi trzej znienawidzeni producenci to:
K-Rab, Green Lantern, Disco-D.

Hip-hop instrumentalny jest dla mnie:
Połową stadium powstawania utworu, który tworzę wspólnie z kimś.

Najbardziej chciałbym współpracować z:
Wybranymi osobami z USA.

Podstawowy grzech polskich producentów to:
Prawie w ogóle nie skupiają się nad stworzeniem dobrych bębnów, a za rzecz najważniejszą stawiają sobie jak największe porozcinanie sampli albo dodanie mnóstwa niepotrzebnych dźwięków.

Ludzie pytają, kiedy producencka, a ja odpowiadam:
Zrobiłem z Tede.

Słysząc swój beat w teledysku, w kinie lub na deskach teatru:
Obserwuję i słucham, czy pasuje do obrazu.

Porównując brzmienie undergroundu i mainstreamu w USA dochodzę do wniosku, że:
Mainstream w USA jest czystą wersją tego, co dzieje się w undergroundzie.

O kondycji europejskiego hip-hopu mogę powiedzieć, że:
Nie orientuję się w nim za bardzo, bo mało słucham europejskiego hip-hopu.

Gdybym mógł zabronić robienia hip-hopu w jakimś kraju, byłby to:
Zabroniłbym robić hip-hopu większości ludzi w Polsce.

Mając beaty DJ'a Scratcha i Easy Mo Bee wybieram:
DJ'a Scratcha za stare płyty Busty.

Mając beaty Kanye Westa i Cool&Dre wybieram:
Z niewielką przewagą Kanye za klimat.

Mając beaty Just Blaze'a i Swizz Beatza wybieram:
Dla mnie remis, gdyż reprezentują oni dwa tak samo dobre, ale różne style, których według mnie nie można skonfrontować.

Najbardziej nierówny producent świata to dla mnie:
Scott Storch.

Nigdy nie zrobiłbym beatu dla:
Kogoś, kto nie będzie szanował tego, co robię. Wymagam od osób, które chcą ode mnie bity, aby miały swój styl i pracowały nad swoją częścią tak samo ciężko, jak ja pracowałem nad swoją.

LICZ, BICZ!
40-49

tekst Big Zbig Wasserman

40-uncjowa butelka wypełniona tanim browarem (ponoć często są to zlewki z produkcji piw markowych) to słynne „forty", niemal piąty element hip-hopu. Nawijają o nim wszyscy – od wrażliwych mądrali z Black Sheep i Blackalicious po wkurwionych czarnuchów z N.W.A. czy Public Enemy. Das EFX uczyniło z 40 i blunta wierne małżeństwo, 40 wlewał Danger Mouse do zabytkowej porcelany babci J-Zone'a... Jest jedna rzecz, dla której warto żyć. Piwo – i nie zmienia się nic.

41 lat, cztery dychy na karku, początek kryzysu wieku średniego. Wtedy faceci wariują i jeśli nie wyrywają młodych dup i nie przedłużają sobie fiutów za pomocą drogich fur, to przynajmniej zaczynają czuć się ojcami polskiego hip-hopu.

42 Tyle punktów na 100 możliwych otrzymała od Metacritic „Blood In My Eye" Ja Rule'a. Ci wariaci czytają wszystko – od „Guardiana" po „Rolling Stone'a", by wyciągnąć stosowną średnią. Rule jest poniżej średniej choćby przez to, iż „tania uliczna teatralność napędza konflikt, którego nie jest w stanie wygrać". Ale Coca Cola sprowadziła go do Polski dając na support kuriozalnych, sztucznie wylansowanych górali z Zakopower. Pewno za parę lat będzie główną gwiazdą w Sopocie lub chociaż naszym reprezentantem na Eurowizji. Jakby to powiedział Benedykt XVI – „Yeshche Polska nie sgineua"

43 minuty trwa „Whatz Beef", słynny amerykański dokument, w którym 50 Cent, Jay-Z, DMX, Nas, Master P i całe reszta cokolwiek ważonej śmietanki mówi, że żałuje i że już jest dobrze, i tak dalej. Spoko – przytulili hajs i im zwisa. A biedni, sfrustrowani raperzy w Polsce wciąż szukają na siebie haków. Powodzenia. Czternastoletni internauci będą z was dumni.

44 Dla fanów mistycyzmu liczby 44: „Zapytaj mnie, czy wielbię Szatana / Wyślę cię, żebyś go zobaczył", zarymował w kawałku „44 Killers" raper z Three Six Mafii, a imię jego... Lord Infamous. Tajemne, diabelskie więzi między Lordem MM Dabem, Ś.P. Bratem Joką, Adamem



INNA STRONA MUZYKI
LACUNA COIL

Włoska muzyka to nie tylko italo disco i repertuar festiwalu w San Remo. W Italii uprawia się też ostrzejsze dźwięki, na co najlepszym dowodem jest pochodząca z Mediolanu formacji Lacuna Coil. Korzystając z przerwy w napiętym harmonogramie koncertowym Włochów, przeprowadziłem wywiad z wokalistką grupy (i magnesem dla męskich oczu), Cristiną Scabbią

rozmawiał Sebastian Rerak

Do nagrania „Karmacode" przystępowaliście ze świadomością, że poprzedni album „Comalies" rozszedł się w półmilionowym nakładzie. To był chyba nieoczekiwany sukces?

Nie aż tak nieoczekiwany. Oczywiście nie mogliśmy przewidzieć, jak płyta zostanie odebrana, ale ja miałam nadzieję, że pozwoli nam postawić duży krok naprzód. Na szczęście dla nas, spotkała się ze świetnym odbiorem i pomogła w rozwoju zespołu.

Co w takim razie sprawiło, że na nową płytę Lacuna Coil przyszło czekać aż trzy lata?

Stało się tak dlatego, że na jakiś czas opuściliśmy Europę, aby intensywnie koncertować w Ameryce. Sądzę, że czas spędzony na koncertach wyszedł nam na dobre, ponieważ pozwolił nam się odświeżyć przed nagraniem „Karmacode". „Comalies" bardzo dobrze sprzedawało się w USA, więc w oczywisty sposób tamtejszy rynek stał się naszym celem. To paradoks, że dopiero odniósłszy sukces w Ameryce, zostaliśmy zauważeni w Europie. Zazwyczaj trzeba stać się rozpoznawalnym na własnym podwórku, żeby marzyć o karierze za oceanem. Ale Ameryka jest chyba po prostu bardziej otwarta na ten rodzaj muzyki.

Jak wobec tego czujecie się w roli głównego produktu eksportowego włoskiego rocka?

Wspaniale! Z tego co sama zauważyłam, miejscowe zespoły nigdy nie cieszyły się wielką popularnością poza Włochami. Mało kto zdawał sobie w ogóle sprawę z istnienia włoskiej sceny metalowej. Być może dzięki nam niektórzy zainteresowali się nią, teraz wydaje się większa niż kiedykolwiek.

W przeszłości Lacuna Coil przechodziło liczne i nader gwałtowne perturbacje personalne. Czy nie obawiasz się o stabilność obecnego składu?

Absolutnie nie. W tym składzie trzymamy się razem już od ośmiu lat. Przebywamy ze sobą tak często, że zdążyliśmy bardzo dobrze poznać się nawzajem. Jestem wręcz pewna, że jeszcze długo nie będą nam grozić żadne personalne roszady.

Pomówmy jeszcze o nowym albumie. Jego tytuł, „Karmacode", sugeruje połączenie dwóch pierwiastków – duchowego i technologicznego...

Tak, to prawda. O to właśnie nam chodziło.

Czy Twoim zdaniem udało Wam się osiągnąć taką hybrydę w muzyce?

Duchowość, o jakiej mówimy, nie wiąże się w żaden sposób z religią. Rozumiemy ją raczej jako ogół relacji z innymi ludźmi i otoczeniem. Pisząc utwory na „Karmacode", przyjęliśmy zupełnie nowe podejście do pisania tekstów. Chcieliśmy zastanowić się nad kwestią przetrwania bez całego arsenału nowoczesnych elektronicznych udogodnień, z których korzystamy na co dzień. Technologia może czasem powodować szkody, kiedy zaczyna przejmować rolę rzeczywistości. To niedobrze, jeżeli ludzie odcinają się od fizycznego otoczenia i przenoszą w wirtualny świat. Ta refleksja stała się ogólnym przesłaniem albumu. Podobnie „dwudzielna" jest także nasza muzyka. Są w niej zarówno fragmenty kameralne i nastrojowe, jak i bardziej agresywne.

Wspominałaś o wpływie technologicznych udogodnień na życie. Co jednak z rozwojem duchowym? Jak ważny jest on dla Ciebie?

Uważam, że najbardziej rozwijające są właściwe relacje międzyludzkie, podobnie jak i zachowanie kontaktu z naturą. Kluczową sprawą jest też podejmowanie właściwych wyborów. Dla niektórych ludzi środkiem, aby gromadzić się we wspólnoty, jest zorganizowana religia. Na podstawie własnych obserwacji doszłam jednak do wniosku, że wszystkie religie służą wielu ludziom za wymówki do określonego postępowania. Ja wolałabym poszukiwać własnej drogi nawiązania osobistej relacji z... (chwila wahania – przyp. red.) bogiem.

Zrobiło się poważnie, więc zakończę lekko. Jedna z Waszych piosenek została wykorzystana w grze komputerowej „Vampire: The Masquerade". To przypadek?

Nie. Bardzo lubimy grać w gry komputerowe, a także w różne gry planszowe, RPG, a nawet w piłkę nożną (śmiech).

Mickiewiczem, południowym rapem, „Ślizgiem" i akademią oskarową? Zawołajcie Dana Browna!

45 A robi się to tak... jak DJ Mark The 45 King. Człowiek, który jest przy muzyce od lat 70., kiedy jeszcze Funky Four nie było „Plus one", pod koniec lat 80. wypracował swoją produkcją sukces dla Queen Latifah, pod koniec 90. zrobił „Hard Knock Life" dla Jaya-Z, „How I Get Down" dla Rakima i „Stana" dla „Eminema", a dwa lata temu błysnął numerem dla Wildchilda. Rzadki przykład sprawiedliwości dziejowej w hip-hopie. Inni weterani cieszą się jak małpki, gdy reflektor wyłowi ich z tłumu wśród publiczności show dla kretynów.

46 1 sierpnia tego roku 46 lat kończy Chuck D, postać bardziej niezwykła niż Chuck Norris. Tak dzielnie walczył z białym establishmentem, namawiając do tego, żeby pieprzyć Elvisa i Johna Wayne'a, że aż z rozpędu nagrał numer z Vanilla Ice'em. Numer nazywa się „Elvis Killed Kennedy", minęło 5 lat od jego powstania i póki co nie rozsadził systemu od środka. Sto lat Chuck, próbuj dalej.

47 „Forty Seven Is Silver Ag". Pewno zastanawiacie się, o co chodzi? Że 47 to pewno spluwa, a Silver Ag to raper, być może nowa ksywa AG z D.I.T.C.? Nie, to tylko „Periodic table rap", tak dzieci zapamiętują pierwiastki chemiczne w USA. W końcu w rapie najważniejsza jest dobra chemia. Polecamy również „Chemical Calisthenics" Blackalicious.

48 Jak „48 godzin" z Nickiem Nolte i Eddiem Murphym. Między innymi ten film parodiował Def Squad w klipie do „Full Cooperation". Z Eddiem ciekawa sprawa. O ile np. Sidneya Poitier krytykowano za grywanie służalczych, ułożonych czarnuchów, o tyle Murphy gra szczerząc się, jakby chciał dostać gażę w bananach. Jak to nawijał Tim Dog: „Fuck Eddie Murphy, I'm rollin' with Spike Lee".

49 Przewidywalna nadwaga Reda w momencie, gdyby gażę za swój ostatni polskojęzyczny rap (wielki powrót!) otrzymał w lodach Koral. Lody jak sława, szybko topnieją. Trzeba intensywnie lizać. Jak to mawiał Method Man – „Lick shot for a pussy pop."



BITWA O ANGLIĘ VOL. 12
SWAY

Są takie kraje, o których po prostu nie słyszymy w wiadomościach. Tak było np. z Ghaną na początku lat 80. Prezydent-reformator Kwame Nkrumah umiera, a jego miejsce zajmuje biały porucznik Rawlings, który nieźle radzi sobie z gospodarką, ale niespecjalnie z prawami człowieka i w całym kraju atmosfera nie sprzyja wychowywaniu dzieci...

tekst Cess/daWitch

Tymczasem pewna młoda kobieta w dziewiątym miesiącu ciąży pragnie za wszelką cenę dostać się do rodzinnej Ghany, z tym że kiedy zatrzymuje się u przyjaciółki w Londynie, aby odpocząć przed długim lotem, na świat przychodzi mały Derek, który wcale nie chciał czekać na powrót do afrykańskich korzeni. I kiedy już jako niemowlak trafia z mamą do kraju praojców, okazuje się, że chyba lepiej wrócić do Londynu. I tam do dziś mały Derek radzi sobie całkiem dobrze, zwłaszcza kiedy uświadomimy sobie, że wszystkim fanom grime'u znany jest jako Sway Da Safo.

Od powrotu z Ghany dumnie reprezentuje północny Londyn. A zanim pokonał Game'a i 50 Centa w walce o MOBO, stoczył tysiące małych bitew i spędził setki godzin na planowaniu, ćwiczeniu rymów, odsłuchiwaniu płyt. Już jako 10-latek postanowił zostać raperem. Co prawda, początkowo rodzice nie byli zachwyceni, bo najchętniej widzieliby syna wspinającego się po kolejnych szczeblach kariery naukowej. Jednak wiedząc jak bardzo Derekowi zależy na rapowaniu i widząc jak dzieciaki z sąsiedztwa w poszukiwaniu przygód pakują się w tarapaty, postanowili nie przeszkadzać Swayowi w eksperymentach z muzyką. A Safo korzystał z przywileju.

Najpierw stał się producentem popularnym wśród lokalnych artystów, a potem dał się poznać jako raper. Należał do grupy One i często pojawiał się w klubach, by brać udział w bitwach freestyle'owych. Z czasem zdobył uznanie weteranów sceny takich jak Skinnyman i Rodney P. Mógł też liczyć na młodszych – przykładowo Dizzee obudził w nim sceniczne zwierzę. Zresztą Derek mówi otwarcie, że poza tymi kilkoma osobami niespecjalnie czuje jedność ze sceną brytyjską. Ma dosyć trzeźwe spojrzenie na świat i doskonale wyczuwa, kiedy niektórzy usiłują podczepić się pod jego własny, ciężko wypracowany sukces. A on sobie wszystko już dawno zaplanował.

Kiedy wszedł do studia nagrać pierwszy utwór, miał plan na całe trzy albumy. Wiedział dokładnie, jaki ma być klimat i o jakie brzmienia chodzi. I tylko jednego nie przewidział – sukces miał nadejść znacznie wcześniej. Kiedy powstawało „This Is My Promo vol. 1" Sway zamierzał odczekać dwa miesiące i wydać część drugą, tymczasem wszystkie przygotowane egzemplarze debiutanckiego mixtape'u rozeszły się w tydzień. Wytłoczył więc kilka tysięcy nowych sztuk, a po dwóch tygodniach znów zabrakło... I tak hossa trwała 6 długich miesięcy, aż w końcu Sway się poddał i wydał część drugą, która odniosła podobny, nadspodziewany sukces.

Safo został okrzyknięty królem mixtape'u, gdy okazało się, że ogółem sprzedał niemal 30 tysięcy sztuk obu części. Sam nie miał nawet czasu, żeby zająć się trzecią zaplanowaną płytą, tak wiele otrzymywał ofert. Do chwili obecnej musi zmieniać numer telefonu regularnie co kilka miesięcy, bo inaczej nic by nie zrobił. Kiedy w końcu master „This Is My Demo" był gotowy, znów los pokrzyżował mu plany. Otóż ten trzeci album, jak sama nazwa wskazuje, jest wersją demo, z tym że miał reklamować nie Swaya, a jego wytwórnię D Cypha. Niestety, dzięki tej płycie ludzie jeszcze bardziej oszaleli na punkcie młodego artysty i w sumie nie ma się czemu dziwić.

Po pierwsze, ma świetny flow, po drugie, ma dobre teksty, a po trzecie, ma typowe dla Brytyjczyków, uszczypliwe poczucie humoru. Wystarczy sprawdzić jeden z jego numerów "Hype Boys": „Ludzie tu w Anglii nie są tacy dzicy / chociaż niektóre miejsca nie nadają się do wychowywania dzieci / ale wszyscy dobrze wiemy, że nawet w rodzinie królewskiej nie jest wesoło / bo doskonale widać, że Harry nie wygląda jak Karol" (co jest aluzją do plotek o pozamałżeńskich przygodach księżnej Di).

Jest też na tyle bogatą osobowością, że mogłabym wam dalej opowiadać, ale na szczęście to nie jest „Historia życia Dereka Safo", a mała rubryka mająca was zachęcić do dalszych eksploracji, zatem ostatnie słowo. Idźcie eksplorować twórczość Swaya. W spokoju.



LORD KOSSITY
KOCHAM JAMAJKĘ

Jakiś czas temu recenzowaliśmy „Booming System", prawdziwą, wypełnioną dancehallem (choć nie tylko) bombę tego francuskojęzycznego artysty. Niedawno zdetonował ją w Polsce. Jej odpryski w tym oto krótkim wywiadzie zrobionym po koncercie w Rzeszowie

rozmawiali Art. De Rue
foto Marcin Sokół

Jakie są Twoje wrażenia, główne spostrzeżenia związane z pobytem w Polsce?

Jestem drugi raz w Polsce. Sześć miesięcy temu byłem w Warszawie na zaproszenie Ambasady Francuskiej. Lubię ten kraj i jego mieszkańców. Teraz przyjechałem na trzy koncerty i cieszę się z podróży po Polsce. Mam nadzieję, że będę mógł tu wkrótce wrócić, zagrać kolejne koncerty i poznać nowych ludzi.

A czy planujesz jakąś współpracę z polskimi wykonawcami? Dla



NAPISZ TO SAM

ALCHEMIST

Wyobrażacie sobie Lil' Jona produkującego klasyczny, esencjonalny numer w stylu produkcji Preemo z soulowym czy jazzowym samplem? Mnie trudno. Tymczasem Alchemist potrafi zrobić beat w każdym rodzaju, co już niejednokrotnie nam udowodnił współpracując z tak przeróżnymi artystami jak Cypress Hill, Dilated Peoples czy Mobb Deep

tekst HaGieKa

Posłuchajcie funkującego, przejaranego, płynącego „Worst Comes To Worst" Dilated Peoples, a potem „Got It Twisted" Mobb Deepów, typowego, brudnego, szorstkiego, ulicznego bangera. Za obie te tak różne produkcje odpowiada jeden człowiek. To się po prostu nazywa kompletny producent... Chcecie jeszcze innego przykładu? Nasz bohater użyczył swoich podkładów również i Jadakissowi, a tego nie sposób porównać już ani z DP, ani z MB. Produkcje dla uznanej marki kalifornijskiego undergroundu, klasyków nowojorskiego hardcore'u, jak i dla typowo mainstreamowego, komercyjnego rapera – to wszystko jest w stanie stworzyć Alchemist.

Ale może po kolei... Początek kariery tego producenta wiąże się z najsłynniejszą chyba grupą latynoskiego, gangsterskiego rapu – nie, nie mam na myśli tu Capone'N'Noreaga, tylko oczywiście Cypress Hill, zespół, w którego skład wchodzą DJ Muggs, B-Real i Sen Dog. W pierwszej połowie lat 90. wokół Cypressów skupiała się organizacja Soul Assasins, w której udzielali się również House Of Pain czy Funkdoobiest. W skład Soul Assasins wchodził też duet dwóch młodych ludzi – The Whooliganz.

W formacji tej tworzył nikt inny, jak nasz poczciwy Alchemist. W 1993 roku ukazał się singiel „Put Your Handz Up" wyprodukowany przez DJ'a Muggsa. Utwór ten miał zwiastować nadchodzący album Whooliganzów, jednak takowy nigdy się nie ukazał. Nie znaczy to broń Boże, że zaszkodziło to w jakikolwiek sposób karierze Alchemista – ona przecież dopiero się rozkręcała. Co było dalej? Cypressi musieli poznać się na potencjale swojego podopiecznego i dali mu zremiksować swój utwór „Tequila Sunrise". Gościnnie w remiksie tym pojawił się Fat Joe, inny Latynos, członek legendarnego D.I.T.C., ale to już zupełnie inna historia.

Dalej wszystko potoczyło się bardzo szybko. Nawiązana współpraca z Dilated Peoples zaowocowała bardzo bliskim związkiem między tymi artystami. Gdzieś czytałem wypowiedź bodajże DJ'a Babu, że Alchemist jest czwartym, nieoficjalnym członkiem ich zespołu. Świetne, tłuste beaty można było usłyszeć na płytach „The Platform", „Expansion Team" czy chociażby ostatnim „20/20". Na Dilated jednak się nie skończyło – produkcje Alchemista bardzo często trafiały także dla Mobb Deep, grupy, która jest już ikoną ulicznego brzmienia z Queensbridge. Beaty na płytach „Murda Muzik", „Infamy" czy „American Nightmare" świadczą tylko o tym, że Alchemist zwiększał grupę potencjalnych odbiorców i zyskiwał coraz większą sławę w hip-hopowym środowisku. Dodam jeszcze podkłady dla Fat Joe, Nasa, Eminema, Pharoahe Moncha, Defari'a czy Capone'N'Noreaga – no i co, czy temu zwykłemu, białemu chłopakowi z L.A. się nie udało? Warto jeszcze wspomnieć, że w 2002 roku magazyn „The Source" uznał go za jednego z najlepszych producentów roku.

Podsumowaniem całej kariery Alchemista (i tak nie napisałem o wszystkich jego dokonaniach, to zajęłoby za dużo miejsca) okazał się wydany w 2004 roku album producencki „1st Infantry". Pojawili się na nim tak przeróżni wykonawcy jak Lloyd Banks z G-Unit, Mobb Deep, Dilated Peoples, Cypress Hill, The Game czy Jadakiss. Warto znać tego producenta.

---

przykładu Soundkail nagrywał i kręcił wideoklipy z Ziperą i WWO.

Tak, znam Soundkail. To dobry zespół. Kilka lat temu zrobiliśmy razem kawałek „L'Heure Est Grave". Spotkałem się z tutaj z kilkoma menedżerami i być może zrobię coś z jednym czy dwoma artystami z Polski i pewnie wrócę tu nakręcić jakiś teledysk. Mam nadzieję, że tak się stanie.

Co możesz powiedzieć o młodych ludziach, którzy pojawili się na Twoich koncertach?

Dużym zaskoczeniem dla mnie było to, że ludzie tutaj znają moją twórczość i przychodzą na koncerty. Nie wiedziałem, że mam w tym kraju tylu przyjaciół. I to jeszcze bardziej motywuje mnie do powrotu. Pobyt tutaj jest dla mnie naprawdę dobrym doświadczeniem.

Jak często przebywasz na Jamajce i czy czerpiesz z tych pobytów inspiracje?

Wyjeżdżam na Jamajkę 2-3 razy w roku. Lubię tam pracować, ponieważ to najlepsze miejsce, jakie możesz znaleźć, jeśli robisz muzykę reggae czy dancehall. Właśnie dlatego na moim ostatnim albumie udzielają się gościnnie takie jamajskie supergwiazdy jak Elephant Man, Shaggy, Vybz Cartel czy Chico. Dwóch ostatnich wykonawców będzie również na mojej kolejnej płycie, która powinna ukazać się w listopadzie. Należy spodziewać się również Vegas i Bounty Killera. Po prostu kocham Jamajkę.

Jaka jest Twoja opinia na temat francuskiej sceny muzycznej? Na temat zaangażowanych grup takich jak No More Babylon czy L'Esprit Du Clan?

Znam te grupy, ale we Francji jest tak wiele zespołów i wykonawców, że nie sposób ich wszystkich ogarnąć. Jest masa ludzi tworzących hip-hop, reggae, dancehall. Wielu „youngstaz" wkracza w muzyczny biznes i wysyła przesłanie do ludzi borykających się z problemami, walczących z systemem. Próbują zmieniać świat na lepsze. Jest tego naprawdę dużo.

Nawiązując do walki z systemem, jaki jest Twój punkt widzenia na niedawne wydarzenia we Francji – płonące przedmieścia, etniczne zamieszki?

Ostatnie zamieszki to coś, do czego musiało dojść i do czego jeszcze pewnie dojdzie nie raz, ponieważ we Francji emigranci z Afryki, Karaibów czy krajów Arabskich są dyskryminowani. Bardzo trudno jest nam stać się częścią francuskiego społeczeństwa, dostać pracę czy mieszkanie, żyć jak większość. Właśnie dlatego Francję czeka dużo więcej problemów. Ogień zapłonie znowu.

Dzięki za wywiad, chcesz coś powiedzieć na koniec?

Zamierzam wrócić do Polski. Chciałbym nauczyć się trochę polskiego języka. Na razie mogę powiedzieć tyle: „Nazywam się Lord Kossity, dziękuję to Poland". Uważajcie na siebie!



Błażej Lewandowski to bardzo wesoła postać, o czym przekonacie się czytając odpowiedzi na zadane mu pytania. Ostatnio z powodu kontuzji nieobecny na deskorolkowej scenie i parkietach klubów nocnych całej Polski, teraz zdecydowanie wraca do gry. Pochodzi z Płocka, miasta, skąd wywodzi się jego ulubiony zespół, 18L. Biorąc przykład ze swoich bardziej znanych kolegów Błażej też chce być gwiazdą rapu, jednak na razie bezskutecznie. Może pomoże mu w tym ten wywiadzik...

kto? to: Błażej Lewandowski

pytał ToiOi

Ile masz lat i jak długo jeździsz?

Mam 24 l[illegible] da[illegible] się [illegible]kryc, ze od daw[illegible]a [illegible] mn[illegible]e ro[illegible]go rodzaj[illegible] [illegible]dy [illegible]e tylko jazdy jedna[illegible] [illegible]oty, bor[illegible] by czy f[illegible]zy też są niczego sob[illegible].

Skad pochodzisz?

Z [illegible] al[illegible] o[illegible]ą [illegible]

[illegible]?

[illegible] pr[illegible] lo [illegible] g[illegible] [illegible]w, op[illegible]e się o poręcz przed pocztą – do slidów [illegible]ś nocleg n[illegible] schodach po imprezie [illegible] Dortmundzie wzbudz[illegible] we mnie miłość do flipów z ósemki.

Sponsorzy?

R p[illegible]re d[illegible]m, System, CIRCA, Skate Mafia.

Co najbardziej lubisz w skateboardingu?

[illegible]abiany spirytus.

Cz[illegible]go nie lubisz w nim?

[illegible]wców.

U[illegible]ny trik?

[illegible]lowanie t[illegible]cki [illegible]et[illegible]w[illegible] [illegible]laszcza [illegible]ąt[illegible]

Czego się teraz uczysz na desce?

Oll[illegible] U[illegible] ocza dziewczy[illegible]a.

Osiągnięcia.

Całe moje życie to pasmo s[illegible]kcesow, którego ukoronowaniem [illegible]est bez wątp[illegible]en[illegible]a rozkładówka w „Ślizgu"

Ulubiony film deskorolkowy.

„Rocco invades Pol[illegible]d"

Ulubieni deskorolkowcy.

Blejza, Błaze[illegible] i ja. Czas[illegible]m j[illegible]szcze [illegible] twardy skurwi[illegible] w lustrze



half cab wheelie bs out

Ulubiona miejscówka.

Tylne siedzenie mojego sam[illegible]

Co Cię inspiruje?

Przyroda nieożywiona, bary [illegible] [illegible]ktor. Cały świat jest inspiracją.

Jak przełamujesz strach? Czy jest coś, czego byś nigdy nie zrobił na desce?

Bo[illegible]ę s[illegible]ę tylk[illegible] Boga i ch[illegible]orób wenerycz[illegible]ych. De[illegible]k[illegible] w to nie [illegible]sz[illegible]

Zainteresowania.

Mógłby[illegible] na ten tem[illegible] d[illegible]o. N[illegible]e róbm[illegible]y jednak ze „Śliz'gu" pis[illegible]a po[illegible]nograficzn[illegible]go

Muzyka.

Ze względu na rozmiary p[illegible] słucham wyłącznie czarnej muzyki.

Film fabularny.

„Garaż 2". Otrzymałem za niego nominację do Oskara w kategorii „Największy potencjał". Czy też może „Największa potencja"... Mniejsza jednak o nazewnictwo.

Switch czy normalnie?

Jestem hete oseksu[illegible]y

Skatepark czy street?

Street. W skateparkach nie ma klubów

Lubisz zawody?

Jak każdą okazję do wyp[illegible]a.

Co to jest styl na deskorolce i k[illegible] [illegible] posiada?

Mój ulubiony skater. Patrz wyżej.

Co jest ważniejsze – styl czy umiejętności?

„Najważnie[illegible]sze jest, byś kochał to, co rob[illegible] – Rocco Siffredi.

Co sądzisz o polskiej deskorolce?

Wolę amerykańskie. Fajniejsze mają grafiki.



Błażej Lewandowski
melon grab to fakie
Gdańsk

SYSTEM KAMUFLAGE

PARTY & SKATE & DESTROY

Deskorolka jest takim sportem, w którym bardzo ważne są wyjazdy. Każdy skejt lubi swoje miejscówki, ale jak tylko może pojeździć na nowych spotach i w innych miastach, zajawka jest stuprocentowa



ek Bieleniuk
nose slide Gdańsk

tekst i foto Wojtek Antonów

Sprzymierzone siły dystrybucji System i skateparku/skateshopu Kamuflage poszły skejcikom na rękę i postanowiły zorganizować wyjazd swoich teamów do znanego z różnych miejscówek Trójmiasta. Jako że ekipy te częściowo się pokrywają – kilku riderów z Kamo jest w Systemie i odwrotnie – z góry można było przewidzieć, że zarówno skateboarding jak i atmosfera na tym „mini tourze" będą wyśmienite. I tak oto polecimy po nazwiskach (albo ksywkach): Jaskółka, Tomeczek z Białego, Stikorama aka Petaardaa, Blejza Blejz, Albercik aka Klopsik, 50 Suwak, Michał Przybył, Marcin Jakubowski i Goły aka Fisiek – to deskorolkowcy, których dzielnie wspierali przedstawiciele mediów.

Po pokonaniu drogi na pace osiemnastotonowej ciężarówki Błażeja, sterowanej do tego przez CB radio, znaleźliśmy się w Sopocie, gdzie wesoła gromadka rozbiła swoje obozowisko. Co do wspomnianego Błażeja dodam tylko – he's back! I to zarówno na deskorolce, jak i na parkiecie (sprawdźcie materiał z nim w tym numerze „Ślizgu"!).

Na desce zaskoczył wszystkich także mały Tomeczek, podopieczny Błażeja, który mimo mikro-rozmiarów zapiął fs. noseslide na sporym murku i overcrooks na rurce na jednym z trójmiejskich boisk szkolnych. Poza tym, deski się łamały (Stiko, Przybył), tort lądował na twarzy kolegów (Goły, Suwak), niektórzy nie trafiali do toalety (bez nazwisk), niektórzy dobrze się bawili, a inni narzekali, że inni dobrze się bawią.

Jako że wyjazd był tylko trzydniowy, z góry wiadomo było, że nie starczy czasu na wszystko. I tak jednak odwiedzone zostały takie miejsca jak teatr i skwer Kościuszki w Gdyni, garaże w Gdańsku, gap pod skodą, stara fabryka pasztetów, Motława i parę innych, a także następujące kluby: Sfinks, Mandarynka, Viva (kilkakrotnie), Spatif, Cube oraz parę innych. Jeśli mowa o miejscówkach skejtowych, nie można nie wspomnieć tu o naszej wizycie na terenach Stoczni Gdańskiej, gdzie w poszukiwaniu spotów znaleźliśmy niecodzienną „mini rampę", czyli... część kadłuba statku, na której Blejza zrobił melona, Jaskółka zrobił „wszystko", a Fisiek zapiął najładniejszego bs. flipa, jakego w życiu widziałem.

Po tych kilku dniach, zmęczeni i zadowoleni wróciliśmy do domów mając kilka kolejnych, szalonych wspomnień do kolekcji... Fotorelację z wyjazdu znajdziecie na www.system-snow.pl

Tomek Goławski
pop shove it manual bs. out



Fra kl Ser
foto: Rick Werneck/www.redb l-p es.c

lato na fali

Plaża? Fale? Brzmi jak wakacje... Ale na deskorolce nie pojeździsz po piasku. Tym bardziej na snowboardzie... Może czas spróbować czegoś innego, ale cały czas związanego z deską? Może czas spróbować poślizgać się po falach?

Brian Grubb
foto: Graeme Murray/www.redbull-photofiles.com

tekst Wojtek Antonów

SURFING

Znany od wieków, swoją międzynarodową karierę rozpoczął na początku XX wieku na Hawajach. Wykorzystanie sił natury, własnej zwinności i kreatywności to genialne połączenie, dzięki któremu zaistniał jeden z najpiękniejszych sportów na świecie. To, co zyskujesz uprawiając surfing, jest nieocenione – kontakt z naturą, rozwój fizyczny, pozytywne nastawienie do świata i przyrody. Aż żal, że w Polsce nie można pływać na surfingu.

Do surfowania przede wszystkim potrzebne są charakterystyczne fale – długie, stabilne, niekoniecznie wysokie, ale załamujące się w odpowiedni sposób. Takie fale występują w Australii, Indonezji, na niektórych wybrzeżach Ameryki, a w Europie na przykład na zachodnim wybrzeżu Francjii. W Polsce niestety fale są krótkie, szybko się załamują i nie nadają się do prawdziwego surfowania. Nadają się za to do nauki podstaw, czyli wiosłowania na desce, stawania na niej i robienia pierwszych ślizgów z falą. Może warto pobawić się, potrenować, a potem przy okazji zagranicznych wakacji spróbować na prawdziwych falach? W każdym razie surfing wart jest zainteresowania i może dostarczyć wiele radości.

WINDSURFING

Cóż, o windsurfingu za dużo nie napiszemy, bo po prostu nie mamy na niego zajawki... Broń Boże, nikogo nie chcemy zniechęcić do tej dyscypliny – wszystko jest dla ludzi, ale z osobistych doświadczeń niektórych członków redakcji, które ograniczają się do jednorazowego kontaktu z windsurfingiem, wynika co następuje: łatwo jest płynąć w lewo, w prawo natomiast idzie już o wiele gorzej i biedny redaktorzyna musiał wracać parę kilometrów wpław. Przy okazji jednak pozdrawiamy wszystkich windsurferów, bo zajawka jest spoko, ale my nie musimy się wszystkim jarać, prawda?

KITESURFING

Kite stał się modny jakieś parę lat temu. Ktoś wymyślił, że na desce zamiast żagla można używać małego spadochroniku, który robi za napęd. Potem ktoś inny zauważył, że dzięki temu można naprawdę szybko pływać, a także – co najważniejsze – dużo wyżej skakać i robić naprawdę szalone triki. Szybka ewolucja kitesurfingu i zainteresowanie mediów tym nowym sportem powoduje, że coraz więcej ludzi śmiga sobie na takich króciutkich deseczkach ze spadochronami. Poważną barierą jest cena sprzętu do kite'u, ale na zachętę możemy podpowiedzieć, że początki wcale nie są trudne, zaś zajawka i pasja czasem są warte wydawania na nie dużych pieniędzy. Zresztą sprzęt cały czas robi się coraz tańszy, można też wypożyczyć cały zestaw w jednej z nadmorskich szkół kitesurfingu i samemu spróbować, czy nam to pasuje. Jeśli tak, to morskie wybrzeża staną się areną naszych ślizgów, a przybrzeżne ptaki będą nas pozdrawiać, gdy będziemy je mijać w powietrzu wykonując skomplikowane handle passy na wysokości 6 m nad wodą.



Aaron Reed
foto: Graeme Murray/www.redbull-photofiles.com

lato na fali

SKIMBOARDING

Skim w Polsce pojawił się na dobre w zeszłym roku, wcześniej tylko parę osób próbowało ślizgać się na przybrzeżnych falach. Jest to sport najtańszy, najmniej wymagający, ale równocześnie najbardziej podobny do wspomnianego na samym początku surfingu. Wszystko czego potrzebujesz, to lekka, krótka deska skimboardowa (można ją bez problemu kupić nad morzem, przez Internet, czy nawet wyciąć sobie samemu) oraz bardzo płytka, szeroka morska zatoczka, ewentualnie morska kałuża na plaży. Rozpędzasz się z deską w ręku, dobiegasz do wody, rzucasz deskę pod nogi, wskakujesz na nią, przybierasz stylową pozycję i ślizgasz się po powierzchni jak rasowy surfer. Potem można zacząć kręcić obroty i inne triki, ale to już wyższa szkoła jazdy. Skimboarding wydaje się idealną, nadmorską zajawką. Jeśli tylko ktoś będzie miał okazję, musi spróbować, jak to łatwo i przyjemnie można stać się „surferem" na bałtyckiej plaży.

WAKEBOARDING

Z morskiego wybrzeża przenosimy się nad jeziora, gdzie wśród deskowych sportów króluje wakeboarding. Jest to tak jakby skrzyżowanie nart wodnych i snowboardingu. Zawodnika ciągnie motorówka lub specjalny wyciąg i może on (zawodnik, nie wyciąg) płynąc na desce robić skręty, wybijać się z fali, łapać graby, kręcić obroty i robić to, na co tylko fantazja i umiejętności mu pozwolą. Sport ten jest jeszcze mało popularny w Polsce, ale dobrze by było, gdyby się rozwinął. Jest bardzo widowiskowy dla widzów, ale z drugiej strony trudny technicznie i wymagający.

W Polsce niestety nie ma specjalnych motorówek, za którymi mogą pływać wakeboardowcy, są za to dwa specjalne wyciągi, gdzie można spróbować lub trenować: jeden znajduje się w Augustowie na Mazurach, drugi pod Lublinem nad Zalewem Zemborzyckim. To właśnie tam wakeboarding w Polsce rozwija się najbardziej dzięki grupie zapaleńców, którzy katują siebie i swoje deski, tworząc w Polsce całkiem nowy sport i styl życia.

Ekstremalnym i chyba najtrudniejszym wydaniem wakeboardingu jest wakeskating, który generalnie polega na tym samym co wake, tylko że na desce nie masz wiązań, w które możesz wpiąć nogi, tylko pływasz po prostu trzymając „luźne" nogi na desce. Pozwala to na robienie na deseczce za motorówką prawdziwie deskorolkowych trików, jak shove-ity czy flipy, ale to musi być diabelnie trudne. Respekt.

Wszystkie te sporty są warte zainteresowania i spróbowania, bo najważniejsze to dobrze się bawić, a nie ma lepszej zabawy niż sport, zwłaszcza tak zajawkowy jak surfing i jego krewniacy. Tak więc zamiast leżeć plackiem na plaży i przypiekać tyłek, może warto się ruszyć i spróbować którejś z „wodnych desek"? Aloha...


zwycięzcy down loop contest


unhooked grab
Victor Borsuk



Na początku czerwca na Helu, na campingu Chałupy 3, odbyły się pierwsze zawody kite'owe w tym sezonie, Quicksilver kite jam. Zgłosiło się 19 zawodników i 3 zawodniczki, a pogoda dopisywała prawie przez cały czas trwania rywalizacji

tekst Szczepson
foto Ciocia Kasia

Dzień 1

Zawodnicy zjechali w komplecie gotowi do startu, pogoda-lampa na maksa, tylko wiatru brak. Po krzepiącym lunchu (wyżerkę stawiał sponsor zawodów) padła decyzja o rozegraniu wake'owych zawodów i tu największym kozakiem okazał się Murphy (Marek Zach). Nasz sąsiad zza południowej granicy pokazał kilka tricków z górnej półki wykonanych na wysokim poziomie. I to on zgarnął 1. miejsce i 500 PLN za tę konkurencję. Contest zakończył się dopiero około godziny 19.

Dzień 2

Tego dnia z wiatrem było już lepiej, pozwolił on na rozegranie konkurencji slider/kicker. Odbyła się ona w formule jam session, gdzie każdy z zawodników mógł podczas półgodzinnej eliminacji zaprezentować, co potrafi. Tutaj zwyciężył Janek Korycki, po nim byli Maciek Kozerski i Łukasz Ceran. Niestety, Murphy – mający szansę na podium – został zdyskwalifikowany za podpięcie do swojego latawca leasha, co w tej konkurencji jest zabronione. Jak sam tłumaczył, leash zaplątał mu się podczas jednej z ewolucji, jednak sędziowie nie uznali protestu.

Po małej przerwie technicznej rozpoczęły się eliminacje w konkurencji freestyle. Tutaj wyniki były następujące: pierwsze miejsce Marek Zach, potem Maciek Kozerski, Viktor Borsuk, Piotr Streicher, a wśród dziewczyn Karolina Winkowska, Wiktoria Boszko i Natalia Grafowska. Sobotę zakończyło klimatyczne after party w wąskim gronie helowych „localesów".

Dzień 3

W niedzielę pogoda była wprost idealna na zawody, super słońce i wiatr o sile 4B zapowiadały, że emocji nie zabraknie. Był to dzień drugiej eliminacji, gdzie kolejność startów ustalona była od końca, dzięki czemu teoretycznie nawet ostatni zawodnik miał szansę na wygraną, o ile wygrałby wszystkie heaty. Nie obyło się bez niespodzianek. Janek Korycki (international naish team), któremu nie poszło pierwszego dnia, wziął się do roboty i w dobrym stylu szedł przez eliminacje pokonując między innymi mistrza Polski z zeszłego roku, Słoika. W następnym heacie trafił on jednak na Borsuka, który to ewidentnie miał swój dzień. Ich heat był najciekawszym na tych zawodach, a triumfował w nim Viktor, dzięki czemu przeszedł dalej i trafił na Kozerskiego, z którym także wygrał i tym samym znalazł się w finale, gdzie spotkał się z Murphym. Po wyrównanej rywalizacji sędziowie zadecydowali, iż Borsuk jest zwycięzcą, w związku z czym trzeba było rozegrać drugi heat finałowy. Tu już przewaga Viktora nie pozostawiała wątpliwości. Murphy miał za mało mocy w latawcu i szybko zniosło go ze strefy zawodów. Poniżej końcowe wyniki konkurencji freestyle:

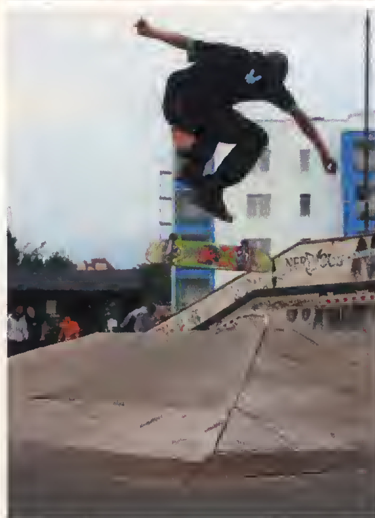
KOBIETY:
1. KAROLINA WINKOWSKA
2. WIKTORIA BOSZKO
3. NATALIA GRABOWSKA

MĘŻCZYŹNI:
1. VICTOR BORSUK
2. MAREK ZACH
3. MACIEK KOZERSKI

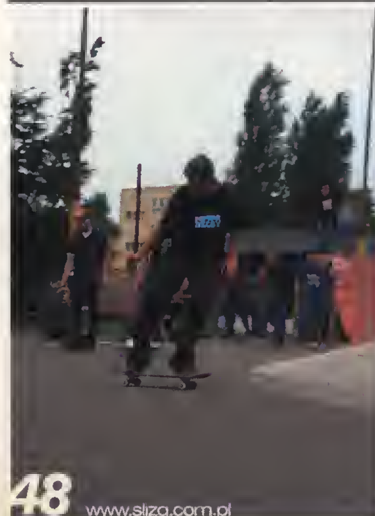
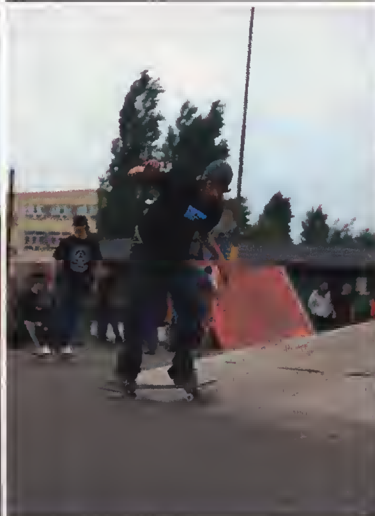
Po 10-minutowej przerwie została rozegrana ostatnia i najbardziej widowiskowa konkurencja zawodów czyli down loop contest. Gwoli wyjaśnienia, chodzi w niej o to, aby zrównać się z latawcem bądź znaleźć się ponad nim. Tu największą klasę pokazali Maciek Kozerski i Janek Korycki. To oni zajęli dwa pierwsze miejsca, prezentując naprawdę hardcorowe tricki. Trzeci był Balbina (Rafał Maćkowiak). Całą trójkę możecie zobaczyć na zdjęciu przy artykule. Wśród dziewczyn bardzo dobrze zaprezentowała się Wiktoria Winkowska, która pokazała, że nie ma strachu nawet przed najbardziej radykalnymi manewrami.

Potem było już tylko zakończenie imprezy i rozdanie nagród. Z całą pewnością zawody można uznać za udane i tu wyrazy uznania dla organizatorów – firmy pm sport – za zrealizowanie napiętego harmonogramu w 3 dni. 









CONTEST WEEK-END

POZNAŃ
ŁÓDŹ
LESZNO

W ostatni majowy weekend mieliśmy do czynienia z pewnym ewenementem na naszej polskiej ziemi. Otóż w czasie trwania tych dni dobrzy ludzie zorganizowali aż trzy imprezy deskorolkowe. Niestety, dwie z nich odbywały się jednocześnie. Dlatego w trosce o was - abyście zawsze byli na bieżąco w tych sprawach - musieliśmy się rozdwoić, by nie stracić żadnego z wydarzeń. Sami widzicie, jak nasza redakcja się dla was stara...

Łukasz Kuza transfer bs. tail slide
System Jam Łódź

Maciek Rybicki, reprezentant Środy Śląskiej
big spin flip, System Jam

tekst ToiOi

Poznań – Kinepolis

W sobotni dzień 27 maja lokalna dystrybucja Altex postanowiła uszczęśliwić skaterów i zorganizowała jam z całkiem przyzwoitymi nagrodami. Miejscem akcji były – jak zwykle w tamtym rejonie – parkingi pod Kinepolis. Znajdują się tam, jak zapewne wiecie, skrzynki, rurki i mini fun box z ławką do slide'owania.

Po przybyciu na miejscówkę oczom moim ukazała się liczna gromada skejcików tłumnie atakująca wyżej wymienione przeszkody. Moim skromnym zdaniem, organizatorzy mogli zatroszczyć się o jakąś nową konstrukcję, która odświeżyłaby spot. Od razu moją uwagę zwróciło kilku dobrze zapowiadających się gości. Widać, że skateboarding w naszym kraju powoli, ale jednak dość konsekwentnie pnie się do góry. Miejmy nadzieję, że takie inicjatywy jak ta tylko mu w tym dopomogą. Znaczną większość stanowili rzecz jasna młodzi lokale, starsi skaterzy nie wiedzieć czemu niestety się nie stawili. Nie zawiedli jednak riderzy: Eryk Gaj, Gutek, Tomek Kotrych, Tomek Dworzak, Krzysiek Poskrobko.

Kiedy już atmosfera zrobiła się gorąca i powoli wszystkie elementy organizacyjne zaczęły pojawiać się na miejscu (sprzęt nagłaśniający, nagrody, obsługa), pan Dominik dał sygnał rozpoczęcia jamu. Miał mieć on formułę best triku. Trwał około godziny i w tym czasie każdy mógł dowolną ilość razy próbować, co tylko chciał. W konkursie brać udział mogli tylko lokalni skaterzy, zaś zaproszeni sponsorowani riderzy sędziowali bądź zagrzewali swoimi trikami resztę startujących.

Best trik odbywał się na dwóch przeszkodach. Pierwszą z nich był mini fun box, drugim zaś kanapa, przez którą można było skakać z małego wybicia. Jak to zwykle w Polsce bywa (nie wiem, czemu tak jest, ale sami przyznajcie, że to się sprawdza), kiedy tylko dano sygnał do rozpoczęcia best triku, nagle wszyscy jakby przestali umieć jeździć. Nie wiem, czy tak bardzo się zmęczyli jazdą treningową, ale okazało się, że kłopoty sprawia najprostszy flip i to nie tylko młodym początkującym skaterom, ale także i riderom sponsorowanym.

Atmosfera ta udzieliła się widocznie wszystkim, bo przez około pół godziny nie wyszedł nikomu żaden numer!!! Później na szczęście było trochę lepiej i pod koniec odmierzania czasu zobaczyliśmy ciekawe triki. Tego dnia najlepszy w Kinepolis był pochodzący ze Wschowy Artur Sadowski, który dzięki trikom na ławeczce funboxu zgarnął główną nagrodę.

Po jamie wszyscy obejrzeli premierę filmu Poznań Zoo 2, na którym występowali m.in. Kamil Piotrowski, Marcin Wieszczawski czy Jacek Pawłowski. Później w radosnych nastrojach udaliśmy się na miejskie spoty, z których wróciliśmy już mniej zadowoleni, ale to jest temat na inny artykuł.

Łódź

Żeby zdać relację z wydarzeń sobotnich w Łodzi, trzeba było – jak to pisałem wcześniej – rozdwoić się. Wszystko to za sprawa Tomasza Franta, człowieka, który stał za wydarzeniem w Łodzi. On to właśnie zdecydował się na organizację imprezy deskorolkowej w tym samym dniu co poznański jam. Jednak o dziwo z frekwencją nie było tak źle. Do skateparku California przyjechało naprawdę sporo skateboarderów i to nie tylko lokalnych. Tomek zatroszczył się przede wszystkim o ściągnięcie teamu System, który zapewnił wszystkim przybyłym ubaw po same pachy.

Dodatkową i wcale niebagatelną atrakcję stanowiło darmowe jedzenie i picie. Skusili się na to m.in. Amadeusz Kraj i Przemek Cymbalski, dwaj znani amatorzy skateparków i dobrej zabawy. W Łodzi prawie cały czas toczyła się zażarta walka z przeszkodami. Nawet nie wiadomo kiedy odbył się best trik wygrany przez Marcina Murawę, który wygrał garść gadżetów od Systemu.



Grzesiek Gałęziewski
fs. flip
foto: kriwol.com


Mr. organizator - Tomek Frant himself

CONTEST WEEK-END

POZNAŃ
ŁÓDŹ
LESZNO

Leszno

Dzień później w pobliskim Lesznie skateshop Spark Street organizował podobną akcję, jak ta dzień wcześniej w Poznaniu. Skateparkowi w Lesznie – mimo że jest obiektem niemalże kultowym (szczególnie dla skaterów z tamtych okolic) – przydałby się gruntowy remont. Był on zbudowany ładnych kilka lat temu i od tamtej pory praktycznie nie został zmieniony ani trochę. Przecież podwyższenie poręczy czy dodanie jakiegoś innego małego elementu dużo nie kosztuje i można to zrobić samemu – nie trzeba do tego wielu umiejętności.

Kasza, właściciel sklepu Spark Street i organizator jamu w Lesznie, nie miał najszczęśliwszego dnia. Mimo że organizacja (poza wcześniej wspomnianym skateparkiem) była zapięta na ostatni guzik, impreza nie wyszła tak, jakby wszyscy sobie tego życzyli. Przyczyną i głównym winowajcą stała się pogoda, która była bardzo zmienna. Nawierzchnia w parku na przemian raz mokła, raz schła. Skaterzy raz jeździli po kilka minut, by za chwilę w panice ratować się przed deszczem w samochodach. Taka sytuacja powtarzała się cyklicznie kilka razy i niestety jam musiał się odbywać w towarzystwie spadających kropel.

Nie zraziło to jednak licznie przybyłych deskorolkowców z Leszna. Miejsce to jest pewnym ewenementem w Polsce, bo mimo że nie jest ono zbyt duże, to jeździ tam więcej osób niż w niejednym dużym mieście. Posiadają oni też bardzo dużą motywację, bo dopiero huragan i powódź z nieba skutecznie przegoniła ich ze skateparku. W rezultacie ten skrócony z przyczyn obiektywnych jam wygrał bardzo zasłużenie Artur Sadowski (po raz drugi). Na uznanie zasłużył również nie przestający jeździć ani na chwilę Łukasz Stokowski, który zajął drugie miejsce.

O tym jak bardzo takie imprezy są potrzebne, nie musimy chyba pisać. Na szczęście są jeszcze ludzie, którym zależy na tego typu rzeczach i dzięki nim możemy je oglądać.



RED BULL CITY RAGE - to złość na ograniczenia nakładane człowiekowi przez miasto. Z tego rodzi się potrzeba szukania własnych, nieodkrytych dotychczas dróg i sposobów poruszania się po miejskiej przestrzeni. Umożliwia to właśnie parkour, gdzie uprawiający tę dyscyplinę sami decydują, którą drogę i w jaki sposób pokonają



Po raz pierwszy w Polsce najbardziej utalentowani traceurs, jak nazywa się uprawiających parkour, będą mieli okazję do nakręcenia profesjonalnych filmów prezentujących możliwości ich samych, jak i tej coraz szybciej się rozwijającej dyscypliny. Red Bull City Rage to projekt filmowy otwarty dla wszystkich, którzy uprawiają parkour i chcą to pokazać światu.

Filmy, które powstaną w ramach tego projektu, nagrane zostaną według scenariusza stworzonego przez startujący zespół i przy jego udziale w montażu obrazu. O tym, które to będą zespoły, zadecydować miała legenda parkouru, twórca tego nurtu – David Belle. Niestety, z powodów osobistych David nie mógł przyjechać do Polski, a w jego imieniu filmy przysłane przez kandydatów ocenili Jocelyn Demonie i Dominic Lexillus z teamu stworzonego przez Bella.

Po wyborze uczestników każdy z trzech zwycięskich teamów wylosuje jedną profesjonalną ekipę filmową, z którą przez dwa tygodnie będzie nagrywał materiał w trzech miastach w Polsce. Film będzie nagrywany w naturalnych miejscówkach miejskich, bez żadnych pozwoleń. To oznacza, że oprócz zdolności parkourowych, uczestnicy powinni wykazać się też umiejętnościami wykorzystania „niedostępnych" miejscówek w celu nakręcenia scen filmowych.

Po powrocie z touru każdy z teamów – wraz z ekipą filmową – przez kolejne dwa tygodnie będzie montował kilkuminutowe klipy. Trzy filmy, które powstaną, będą oceniane przez polskich traceurs podczas specjalnego pokazu w lipcu 2006.

Do udziału w Red Bull City Rage zakwalifikowały się następujące zespoły:

SMC z Warszawy w składzie: Przemek Kozłowski, Michał Surdej, Łukasz Gajc

Parkour Patriots z Łodzi i Kalisza w składzie: Piotr Doryń, Patryk Roszkowski, Michał Kaczmarek, Radek Granka

Quicksilver Parkour Clan z Wieliczki w składzie: Bartosz Jagła, Piotr Kowalik, Artur Kornio, Piotr Bodzioch

Jako team rezerwowy **Black Traceurs Team z Tychów w składzie:** Karol Sokołowski, Adrian Halicki, Marek Kwiatkowski

Do tego wyróżnione zostały filmy sześciu następujących teamów: PKNH, Commotion PK, Yamakaze Group, The Over Risk Traceurs, Team Total, KJ & SIN.



Oto uzasadnienie wyników przekazane nam przez Jocelyna Demoniera:

„Obejrzeliśmy wszystkie zgłoszone filmy z dużym zainteresowaniem i bardzo uważnie. Nasze ogólne wrażenie na temat środowiska parkour w Polsce jest bardzo pozytywne. Uważam, że stworzyliście tu odrębny, ciekawy styl. Według mnie, parkour w Polsce rozwija się w prawidłowym kierunku. Bardzo trudno jest oceniać umiejętności traceurs – dlatego żeby ocena była jak najbardziej fair, ustaliliśmy sobie liczne i jasne kryteria sędziowania. Przede wszystkim ocenialiśmy nie same filmy, ale umiejętności i zaawansowanie traceursów, a kryteria, na podstawie których ocenialiśmy teamy, są następujące:

– płynność poruszania się
– szybkość
– bezpieczeństwo zachowania oraz pewność ruchów
– różnorodność i kreatywność ruchów
– dobór przeszkód
– ogólne przygotowanie fizyczne
– wyrównany poziom całego teamu
– doskonałość i dopracowanie konkretnych technik parkour
– realność przedstawionych w filmie sytuacji
– zgranie i współpraca teamu

Nie ocenialiśmy akrobacji, gdyż uważamy, że nie stanowią one elementu parkour, chyba że figura akrobatyczna pomaga w szybszym pokonaniu przeszkody. Wszystkim teamom dziękujemy, a zwycięzcom gratulujemy!"

A wszystkich zainteresowanych parkourem informujemy, że w następnym numerze „Ślizgu" znajdzie się obszerna foto-relacja z imprezy.

finger-board mała zajawka

Fingerboard. To słowo przewija się w Polsce coraz częściej, między innymi dzięki organizowanym zawodom. Mało? Dużo? Nieważne, cieszmy się, że w ogóle są. W naszym kraju owa „mała zajawka" stoi już na niezłym poziomie



tekst Krystian Kornowski

Coraz więcej desek, samych riderów i oczywiście wspomnianych zawodów. Nie chodzi tu o jakąś chorą rywalizację, po prostu wszyscy cieszymy się mówiąc: „Jesteśmy fingerboarderami z Polski". Może o tym świadczyć nasz występ w prestiżowych zawodach „Fast-Fingers" w Niemczech, gdzie udowodniliśmy, co potrafimy.

Scena figerboardowa wciąż się rozwija i brnie do przodu, rozkochując w sobie wielu młodych ludzi. Wszyscy zaczynają doceniać starania innych, którzy organizują contesty, tworzą decki o różnych profilach i rzeczy, które umilają nam jazdę. Powiedzmy sobie nieskromnie – my, Polacy, jesteśmy w tym naprawdę dobrzy!

Na szczęście nie brakuje też miejsc na sprawdzenie swoich umiejętności. Ostatnio zawodów jest coraz więcej, a organizatorzy wkładają w nie serce, co owocuje naprawdę fajną imprezą. Kategorie, nagrody, profesjonalni sędziowie – to wszystko ma wpływ na zawodników, od których przecież zależy, czy następna edycja się odbędzie. Choć jedyną reklamą jest chyba Internet, to w dniu zawodów na miejscu robi się naprawdę tłoczno.

Tam możemy wspólnie pojeździć, pogadać o sprzęcie i ogólnie o polskim fingerboardingu. Takiego wydarzenia nie można przegapić. Wszystko jest podobne do życia deskorolkowego, ale nie wiem dlaczego między obiema stronami istnieje spór. Przychodzisz z deski, jesz kolację, siadasz.... I co? My jeździmy na fingerboardzie! To zainteresowanie jest połową naszego życia, a dla niektórych wszystkim. Ten artykuł czyta na pewno wielu deskorolkowców, do których i ja należę. Wiem jednak, jaka jest niektórych reakcja na słowo fingerboard...

3 czerwca stał się naszym dniem. W centrum handlowym Blue City w Warszawie odbyły się zawody pod nazwą Kamuflage Fingerboard Session #1. Byli reprezentanci Katowic, Białegostoku, Radomia, a nawet Gniezna. Same zawody odbyły się w spokoju, a organizacja wypadła mistrzowsko! Był komentator, sędziowie, a wszystko obserwował Jaskół a.k.a. Kamo Boss. Myślę, że na nim wszystko wywarło miłe wrażenie i będzie w stanie sponsorować kolejne zawody.

Czego więcej można było oczekiwać? Super fingerpark, wspaniała organizacja, luzacka atmosfera, sponsorzy i fajne nagrody. To musi w przyszłości zachęcić innych do przyjazdu. Tym akcentem chciałbym zaprosić was na następną edycję, która prawdopodobnie odbędzie się na jesieni tego roku w tym samym miejscu.

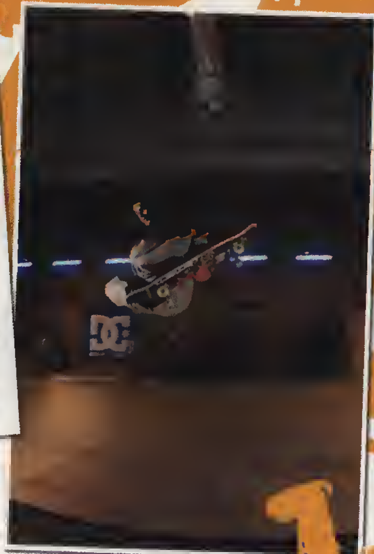
WWW.ETNIESSKATE.COM

KINGPIN

BLACK / RED









Italia sk8

Słoneczna Italia kojarzy nam się z różnego rodzaju makaronami, pizzą czy głośno mówiącymi ludźmi. Ciężko, przynajmniej według mnie, wyobrazić sobie typowego Włocha na deskorolce. Kojarzą się nam oni raczej z piłką nożną albo dyskoteką pełną nażelowanych bajerantów

tekst Pc skate

Jednak o dziwo we Włoszech istnieje i całkiem prężnie rozwija się scena deskorolkowa. Na początku jedynym włoskim akcentem w skateboardingu były nazwiska o italiańskim rodowodzie u amerykańskich profesjonalistów – Gino Ianucci, Guy Mariano czy Peter Bici. Osoby te, choć połączone są z Włochami jedynie dalekimi korzeniami, dały sygnał, że Włosi też potrafią i w ich ojczyźnie może kryć się niejeden talent formatu wymienionej wcześniej trójki.

Około dziesięciu lat temu prosto z Włoch do Polski na pół roku studiów przybył pewien skater imieniem Ugo Corte. Przez cały okres pobytu w naszym kraju edukował mnie intensywnie na temat skateboardingu w swoim kraju. Jednak to, co działo się we Włoszech, zupełnie odbiegało od jego wizji deskorolki. Cała Italia – podobnie jak inne kraje Europy i świata – ekscytowała się wtedy techniczną jazdą na murkach, podczas gdy dla Ugo najbardziej liczyła się szybka jazda po mieście i niszczenie wszelkiego rodzaju quarterów, banków i ramp. Ugo był totalnie zakręcony na punkcie swojej deskorolki. Potrafił przychodzić z pomysłami budowy minirampy o pierwszej w nocy i przez dalsze dwie godziny o tym nawijać. Niestety, w takim kraju jak Polska jego misja skończyła się niepowodzeniem, bo nikomu z Polaczków nie chciało się ruszyć palcem w tej sprawie. Jednak pozostawił on po sobie wspomnienie i ciekawość włoskiej deskorolki.

W tym samym mniej więcej czasie co pobyt Ugo w Warszawie, w USA pojawił się młody włoski rampiarz, który z miejsca zaczął jeździć dla firmy Powell. Było to o tyle dziwne, że środowisko rampiarzy jest raczej stałe i rzadko tam pojawia się ktoś nowy. Tymczasem młody Giorgio Zattoni (bo o nim mowa) z miejsca stał się rozpoznawalnym skaterem. Cały deskorolkowy świat był w delikatnym szoku, bo wszyscy chyba mieli wcześniej podobne do mojego zdanie o deskorolkowcach z Italii. Choć Giorgio jest ideałem typowego Włocha (wygląd, ubrania, słabość do fitnessu itp.), na deskorolce nie oszczędza się ani trochę i nie znajdziecie u niego nic ze stereotypowego lalusia. Udowadniały to jego przejazdy w magazynie 411, filmach Powella i występy na rampiarskich zawodach. Wiele osób zastanawiało się wtedy, skąd wziął się młody Giorgio i jak to się stało, że zdobył on takie umiejętności, a nikt o tym wcześniej nie wiedział. Okazało się, że rodzina Zattonich w rodzinnej Savarnie posiada własny skatepark oraz rampę, gdzie chłopak całymi dniami szlifował triki. Cóż, nie ma jak wsparcie ze strony rodziców.

Jeszcze większym zdziwieniem zareagowano, gdy na zawodach w Munster w konkurencji street style wystąpił Zattoni, ale nie Giorgio tylko Gianni – jego młodszy brat. Jak by mało było niespodzianek, przez cały ten czas „ukrywali" oni jeszcze młodszego brata, którego specjalnością był street. Gianni od razu dał się poznać jako posiadacz świetnego stylu, wszystko robił z naturalną dla siebie gracją i nic dziwnego, że śladem brata od razu wylądował w Powellu... Bracia Zattoni szybko stali się jednym z najpopularniejszych rodzeństw w deskorolce, tym samym rozsławiali swój kraj, jak i prywatny skatepark. Rozegrano nawet tam kilka małych imprez.

Nie wiedzieć czemu, w pewnym momencie słuch o Zattonich zaginął. Pewnego dnia po prostu przestali się pokazywać na filmach, ich zdjęć nie było też w magazynach, a team Powella został o nich zmniejszony. Niestety, po bardzo szybkim i oszałamiającym wspięciu się na sam szczyt nastąpił kres ich popularności. Co było tego przyczyną? Nie wiem, ale domyślać się można, że bracia mieli dość USA i po prostu wrócili do rodzinnej Savarny, by tam na luzie i bez żadnych ciśnień jeździć sobie na deskorolce. Niektóre gazety plotkowały nawet, że bracia zerwali ze skateboardingiem. Wyjaśnienie przyszło wraz z dużym rozwojem sceny europejskiej. Kilka lat temu Zattoni brothers stali się częścią firmy Platinum, która została wykupiona z rąk amerykańskich, by dalej rozwijać się na terenie Starego Kontynentu. Siedziba firmy znajduje się obecnie we Włoszech i brand ten wspomaga głównie tamtejszy skateboarding. Giorgio Zattoni stał się pierwszym Europejczykiem, który wykonał legendarną „dziewięćsetkę", czym udowodnił, że dalej jest w grze mimo nieobecności w amerykańskich mediach. Trik ten zrobił na swojej nowej, gigantycznej rampie, którą zrobił wspólnie z bratem i ojcem.

Najbardziej chyba szanowanym przez wąskie środowisko i jednocześnie niedocenianym przez ogół włoskim skaterem jest Daniel Cardone. Ten jeżdżący od kilku ładnych lat dla E's wariat daje radę w każdym bowlu czy na minirampie. Jego umiejętności są wręcz legendarne. Do czasu, gdy taka jazda nie była zbyt popularna, Daniel z racji swej skromności zawsze pozostawał w cieniu swoich bardziej przebojowych kolesi. Jednak gdy zaczęto częściej organizować zawody w poolach i bowlach, nagle okazało się, że prawie wszystkie wygrywa właśnie Cardone. Patrząc na tego niewysokiego typa ma się wrażenie, że urodził się z deskorolką. W pustym basenie czuje się jak ryba w wodzie. Jest on jednak skaterem wszechstronnym i nie ogranicza się tylko do basenów, jeździ też dużo na ulicy, jednak miejscówki te muszą być nietypowe, zmuszające do większego wysiłku.

Te osoby rozsławiły włoską deskorolkę. Miejmy nadzieję, że wkrótce pojawi się ktoś taki w Polsce. Jeśli zainteresował was ten temat, sprawdźcie w Internecie takie hasła jak „platinum skateboards", „broke clothing" czy po prostu „skateboarding italia". W kraju tym, oprócz wyżej wymienionych skaterów, znajdują się przekozackie miejscówki (Mediolan rządzi w tym wyścigu miast), zatem zachęcam was do odwiedzenia Włoch i przekonania się na własne oczy, jak wygląda tamtejsza deskorolka.

Jeż Jerzy

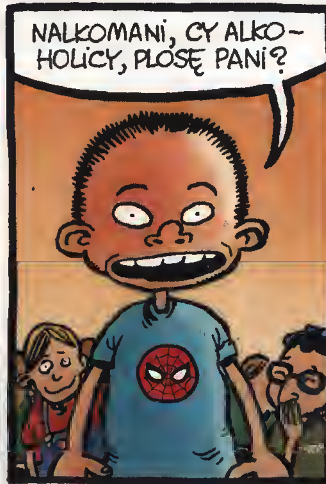
txt: Rafał Skarżycki
gfx: Tomasz Lew Leśniak

DRRRRRRRRRRRRRRRRRYYYYYYYYYYYYNNN



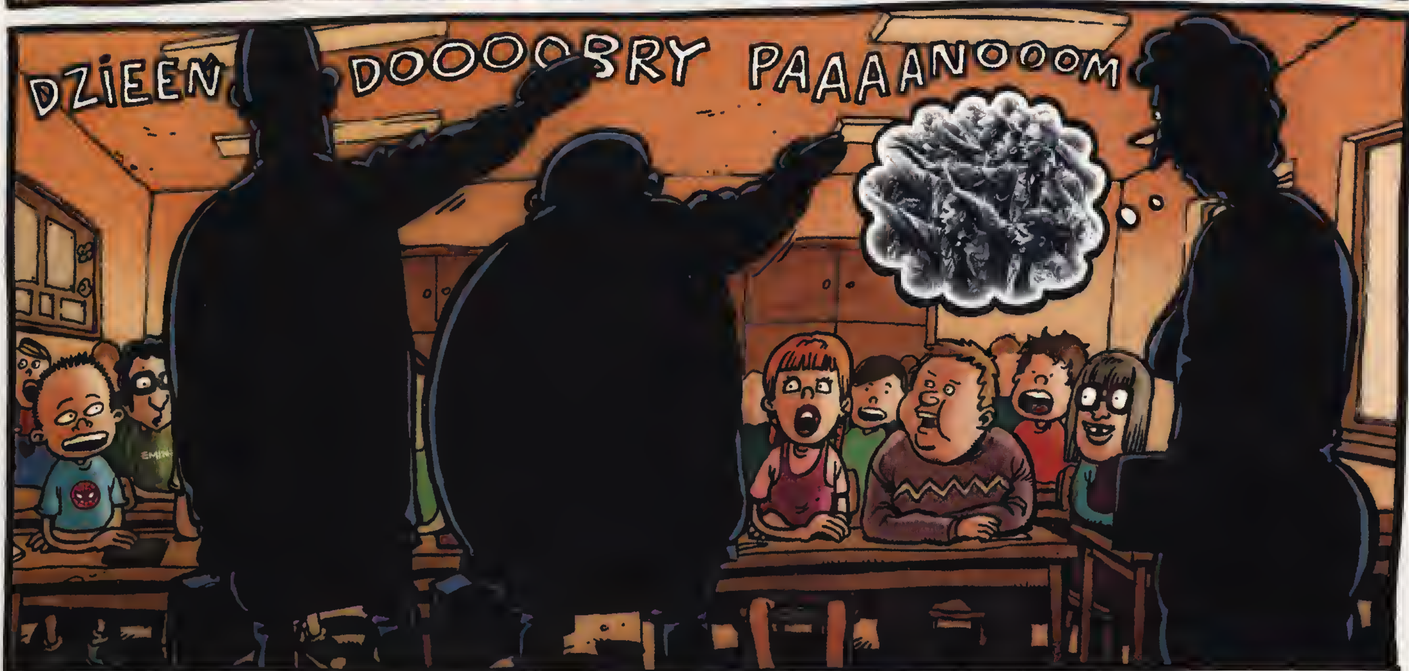









A OTO I NASI GOŚCIE! PRZYWITAJCIE SIĘ ŁADNIE...


DZIEEŃ DOOOOBRY PAAAANOOOM


OD CZEGO CHCIELIBYŚCIE PANOWIE ZACZĄĆ?
POPROSZĘ O DZIENNIK.
ACH! LISTA OBECNOŚCI - RACJA!
TAK JAKBY

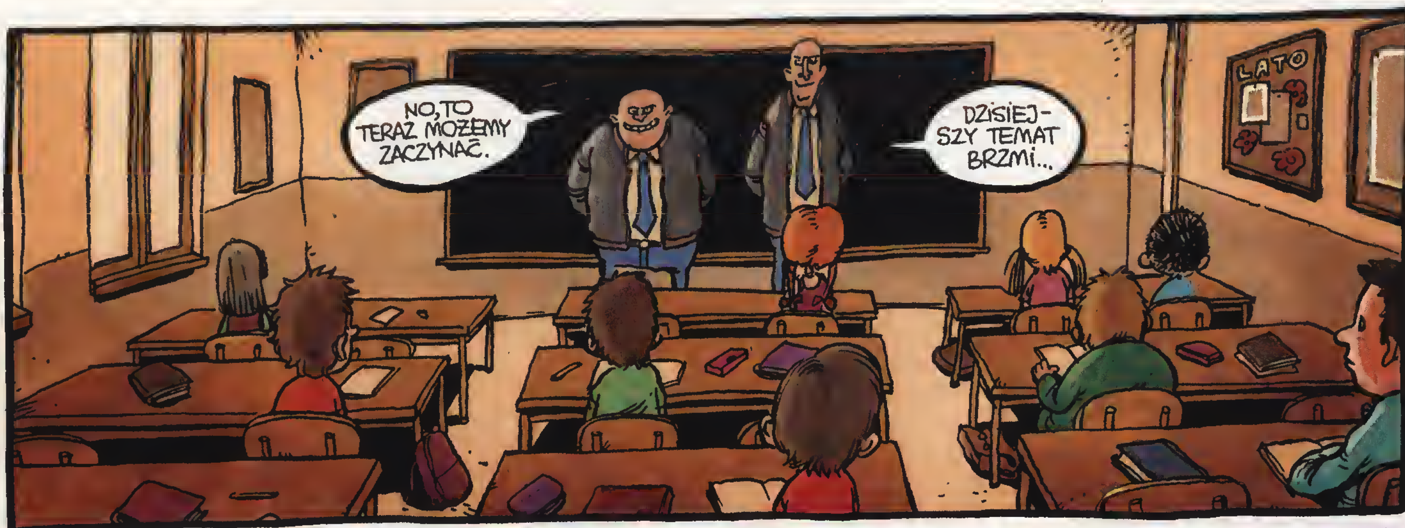

TAK JAKBY, CZYLI JAK?
A TAK - SZELBAUM JEST?


JESTEM


TO JUŻ CIĘ TU NIE MA, GÓWNIARZU!


BUUU... CHLIP...


WSZYSCY LEWACY, PEDAŁY, MASONI I WEGETARIANIE - WYPAD RAZEM Z NIM!







...ANI TYM BARDZIEJ ROZPOCZĄĆ DZIEŁA KRZEWIENIA WIEDZY WŚRÓD DZIECI...

pizd!

pierdut!

jru!

dup!



...JEDNAKŻE BRAK DOŚWIADCZENIA PEDAGOGICZNEGO SPAWIŁ, ŻE EMISARIUSZE WŁADZ OŚWIATOWYCH STRACILI KONTROLĘ NAD KLASĄ...

HEJ! DZIECIAKI! ZA KAŻDE TRAFIENIE KRZESŁEM W ŁYSĄ PAŁĘ SZÓSTKA DO DZIENNIKA!

O KURWA!

DRRRRRRRRRRRRRRRRRRRRRRRRRRRYYYYYYYŃŃŃ

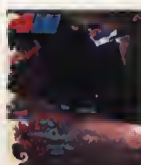
A PRZED OSTATECZNĄ KLĘSKĄ URATOWAŁ ICH DZWONEK...

NO I TO BY BYŁO NA TYLE... A NA PRZYSZŁOŚĆ BĄDŹCIE GRZECZNI, BO ZOSTANIECIE ZA KARĘ W KOZIE.





recenzje skate



411
#14.2

Tym razem motywem przewodnim kolejnej „czterysta jedenastki" jest team Stereo. Przejazdy mają goście z tej ekipy, mamy również relację z ich touru, a za graficzną stronę tego numeru odpowiada Chris Pastras, jak wiadomo jeden z właścicieli firmy. Chaos jest raczej średni, choć deskorolkowi historycy na pewno z wypiekami na ustach odnotują kick flip z El Toro. Dalej mamy bardzo fajny part gościa, na którego wołają Daryl Angel. Olly Todd jest następny z całkiem fajnym przejazdem, w którym roi się od dziwnych i ciekawych numerów. Jeśli tego wam jeszcze mało, to dalej leci jeszcze Abdias Rivera, posiadacz niezwykle dziwnego nazwiska i dużych umiejętności. Niszczyciel poręczy z Kanady Paul Machnau jest prawdziwym rzeźnikiem. Na jego triki radziłbym zwrócić uwagę przede wszystkim lubiącym taką właśnie jazdę. Moją ulubioną częścią tego numeru 411 jest krótki montaż teamu Stereo. Znalazłem tam wszystko, czego oczekuję od deskorolki w najlepszym wydaniu. Zawodzi na całej linii tylko Jason Lee, którego powrót na deskę był chyba mocno przesadzony. Ostatnie chwile magazynu należą do Tony'ego Silvy, który jest najnowszym agentem Stereo. O jego jeździe można powiedzieć tylko tyle, że chłopak naprawdę ma talent do deskorolki. Zobaczcie to sami. **Pc skate**



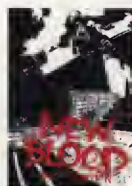
THRASHER
KEG KILLER

Filmy Thrashera były zawsze znane z tego, że jako jedyne pokazywały jazdę w basenach, nawet gdy poole nie cieszyły się taka popularnością jak teraz. Nie inaczej jest w przypadku najnowszego ich filmu – „Keg killer". Video to jest pozornie bezładną mieszanką trików i towarzyszącej im muzyki punkowej. Choć można gościom z Thrashera zarzucić, że prawie każdy ich film wygląda podobnie, to myślę, że w tym wypadku jest to raczej zaleta tych filmów. Doskonale uzupełniają swój papierowy odpowiednik, a jazda, mimo że czasem zbyt monotonna, jest na bardzo wysokim poziomie. **Pc skate**



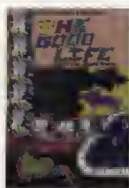
RED BULL
SEEK AND DESTROY

Niedawno opisywałem wam film z pierwszej edycji zawodów „Seek and destroy". Tym razem padło na ich kontynuację. Choć nie jest to najświeższe video, to polecam wam je ze względu na jego formułę, która przypomina grę komputerową. Cztery teamy (Joey Brezinsky, Chris Roberts – L.A.; Ragdoll, Kenny Anderson – Vegas; Mike Maldonado, Justin Eldridge – Filadelfia; Greg Lutzka, Terry Kennedy – Long Beach) rywalizowały ze sobą w trzech miastach (Long Beach, L.A. i Las Vegas), gdzie mieli przeróżne deskorolkowe zadania do wykonania. Oczywiście każdy z nich robi to na własny sposób i dzięki temu widzimy, jak różne może być wykorzystanie tej samej miejscówki. Spoty były tak dobrane, aby każdy z team riderów mógł znaleźć coś dla siebie, ale też nie były one łatwe. Dodatkową przeszkodą w wielu przypadkach była policja, z którą – jak wiadomo – żartów nie ma. Wyników oczywiście nie zdradzę, musicie to zobaczyć sami... **Pc skate**



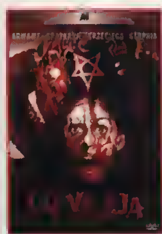
ZERO
NEW BLOOD SPECIAL EDITION

To DVD jest gratką dla fanów Jamiego Thomasa i spółki. Obok właściwego, znanego wam już na pewno filmu, w wydaniu tym znajduje się ponad półgodzinny dodatkowy montaż teamu „największych harpaganów wszechczasów". Tak duża ilość materiału, który nie zmieścił się we „właściwym" filmie, dowodzi, jak bardzo ciężko pro skaterzy pracują nad filmem. Choć po pewnym czasie oglądanie non stop raili bez muzyki może nużyć, to prawdziwi zajawkowicze będą usatysfakcjonowani. Najnowszy w teamie Sheldon Maleshinsky ma tutaj cały przejazd, w którym pokazuje, że obecność w tej ekipie nie jest dziełem przypadku. Do wielkich raili i hubb przemyca on gdzieniegdzie sekwencje na murkach, z czego był już znany z filmu „North 2". Na końcu możemy obejrzeć przejazd Jamiego Thomasa z filmu „Reason to believe". Nie jest to w żadnym wypadku rzecz przełomowa, ale całkiem przyzwoicie wydana reedycja „New Blood". **Pc Skate**



WESTSIDE SKATESHOP
THE GOOD LIFE

„The Good Life" to kolejna produkcja, która wyszła spod ręki znanego i zasłużonego już skejcika, Johna Montesi, który dowodzi znanym na zachodnim wybrzeżu skateshopem Westside. Jak zwykle, możemy zobaczyć tu całą śmietankę prosto z Florydy np. Ryana Nixa, Nicky'ego Matlina, Johna Buchanana czy też byłego ridera Habitat Danny'ego Renauda. Na pewno nie można narzekać na to, że jest to jakieś krótkie demo zrobione dla reklamy skateshopu. Film jest długi, przejazdy są naprawdę konkretne, a całość jest starannie zmontowana. Oprócz wymienionych osób, na filmie można zobaczyć kilku typków, którzy dawno nie pojawiali się na żadnych produkcjach, chociażby Mike'a Rosę. Z tego co widać, nigdzie nie zamulał, jak mogłoby się wydawać, tylko cały czas śmigał gdzieś na swoich miejscówkach, polepszając repertuar. Na „The Good Life" można zobaczyć także „good spots". Wiele nowych i bardzo ciekawych spotów powoduje kolejny zastrzyk zajawki na ten film. Jeżeli chodzi o przejazdy na filmie, to rządzi dla mnie Ryan Nix i oczywiście jego dobry ziomek Danny Renaud. Bardzo dziwi mnie to, że tak dobry skejcik jak Ryan Nix nie może zagrzać miejsca w jakiejś firmie. To już jego kolejny przejazd, w którym pokazuje naprawdę konkretne triki wykonywane w dodatku na pełnym luzie, a mimo to nikt go nie chce przygarnąć. „TheGood Life" pokazuje, jak „dobre życie" powinno wyglądać dla każdego skejcika, więc jeżeli ktoś tego nie wie, to musi obejrzeć ten film. **duduś**



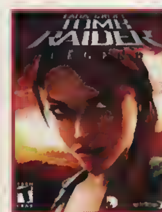
INWAZJA
REŻ. JAKE WEST
MONOLITH

Sekwencja początkowa jest rozkoszna. Z dalekiego planu widzimy walijską łąkę, gdzie pośród megalitów jeden punkcik napiera na drugi. Nagłe zbliżenie i po ślepiach wali nas odblask męskich pośladków. Punkciki okazują się parą kopulującą w najlepsze. Wtem na niebie nad nimi pojawia się UFO i w sposób klasyczny wsysa tę parę przez promień do wnętrza pojazdu. Kosmici o wyglądzie niedorobionego miksu Obcego z Predatorem związują ich w trymiga, po czym ogromnym wiertłem wwiercają się chłopakowi w odbyt. Na ekran bryzga strumień cyfrowej krwi, a wraz z nią wjeżdża oryginalny tytuł „Evil Aliens". Po takim wstępie już dokładnie wiadomo, czego się spodziewać po filmie Brytyjczyka Jake'a Westa. Niestety, ten „wczesny Peter Jackson wannabe" spełnia oczekiwania tylko połowicznie. „Inwazja" jest tak przedobrzona pod względem debilnego humoru i rozmyślnie złego aktorstwa, że po kilkunastu minutach zaczyna zwyczajnie nużyć. Camp też ma wbrew pozorom jakieś granice. Poza tym nie wystarczy zastąpić kosiarki z „Martwicy mózgu" małą przycinarką, a krew dorobić potem na kompie, by stworzyć nowy obiekt kultu. Nawet najlepsze CGI nigdy nie dorównają w tej akurat niszy efektom protetycznym. W sumie tani gatunku powinni rzucić okiem, ale w zupełności wystarczy raz i to pobieżnie. **Piotr Dobry**



KULT
REŻ. ROBIN HARDY
VISION

Niezwykły poetycki film grozy z 1973 r. Nie jest ani odrobinę krwawy, nie straszy, ale poprzez fantastyczny klimat umiejętnie podsyca uczucie niepokoju. Fabuła kręci się wokół losów głęboko wierzącego, skrajnie porządnego policjanta, który w poszukiwaniu zaginionej dziewczynki trafia na tajemniczą szkocką wyspę. Tam okazuje się, że wszyscy mieszkańcy są hedonistami i poganami, a ich przywódcą jest piekielnie przebiegły lord Summerisle (jedna z najlepszych ról Christophera Lee). Dzieci w szkołach uczą się o płodności ziemi, nagie nastolatki pląsają radośnie wokół ognisk, dorośli na coroczne święto zakładają maski kozłów i knurów oraz składają w ofierze zwierzęta i swych pobratymców Wiklinowemu Człowiekowi (oryginalny tytuł to „The Wicker Man"). Sceny z tego filmu pamięta się długo i mogą powrócić w snach. Jedną z moich ulubionych z całej kinematografii scen jest ta, w której szwedzka seksbomba Britt Ekland (typ Bardotki) wykonuje erotyczny taniec za ścianą hotelowego pokoju bohatera, śpiewając przy tym uwodzicielską celtycką balladę. Magia kina ujawnia się tu w całej okazałości. Szkoda, że ten piękny, kultowy horror Vision zaserwował nam w wydaniu całkowicie ogołoconym z dodatków, ale należy się cieszyć, że w ogóle zaserwował. Gorąco polecam. **Piotr Dobry**



TOMB RAIDER: LEGEND
CRYSTAL / CENEGA

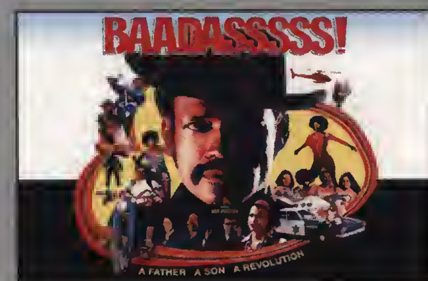
Bez specjalnych fajerwerków promocyjnych pojawiła się kolejna część słynnej serii z panią archeolog w roli głównej. Być może było to spowodowane pewną dozą „nieśmiałości" wynikającą z niezbyt ciepłego przyjęcia poprzednich części. Być może sami twórcy nie byli pewni wyników swej pracy – nieistotne. Istotne jest to, że Lara w końcu jest starą Larą, czyli bardzo grywalną grą akcji. Nowy silnik graficzny (choć grać już się da na kompach z gigowym prockiem), stare przygody... tj. nowe, ale w starym, dobrym stylu. Czego chcieć więcej? Pani archeolog nadal zaokrąglona, co dobrze widać podczas wszelkiego rodzaju ekwilibrystycznych ćwiczeń, które jej zatundowali producenci. Cóż można więcej napisać? Jeśli ktoś nie zna serii Tomb Raider, to ma właśnie doskonałą okazję zrozumieć, dlaczego Lara Croft wzbudzała (i wciąż wzbudza) tyle emocji. Za rok podobno część następna, czyli już bodajże ósma. Jedyna rzecz, do której można się przyczepić, to cena. Niestety... **gad**



KRZYSZTOF KIEŚLOWSKI
AUTOBIOGRAFIA
ZNAK

W dziesiątą rocznicę śmierci Krzysztota Kieślowskiego ukazało się poszerzone wznowienie jego autobiografii. Jeden z najwybitniejszych twórców kina europejskiego z kontesyjną szczerością opowiadał w niej o życiu, stosunku do sztuki filmowej i własnej twórczości. Jego osobiste refleksje przeplatają się z historiami powstawania filmów. Twórcę „Dekalogu" i „Trzech kolorów" poznajemy jako człowieka zdradzającego prywatne obawy, przyznającego się do słabości, pragnącego nie tyle edukować innych, co samemu się uczyć. To Kieślowski zstępujący z postumentu pomnika wystawionego mu jeszcze za życia. Ciekawa i mądra lektura nie tylko dla admiratorów twórczości wielkiego reżysera. **/Sebastian Rerak/**

czarno widzę



SWEET SWEETBACK'S BAAD ASSSSS SONG (1971)
REŻ. MELVIN VAN PEEBLES

HOW TO GET THE MAN'S FOOT OUTTA YOUR ASS (2003)
REŻ. MARIO VAN PEEBLES

Udało mi się wydębić od Grabiszczego ten niewielki skrawek „Ślizgu" po to, by w kolejnych odsłonach przedstawiać wam najważniejsze pozycje z nurtu kina czarnych. Na początek mamy nie tylko ekscentryczne tytuły. To spory kawałek afroamerykańskiej historii.

„Sweet Sweetback's..." jest legendą. To on oficjalnie dał zaczątek nurtowi blaxploitation. Tak jak gangsta raperzy jarają się przede wszystkim „Scarface'em", tak wielu czarnoskórych artystów wymienia w inspiracjach obraz Melvina Van Peeblesa. Ponoć ś.p. Richard Pryor przy pierwszej styczności ze „Sweet Sweetback's..." był tak oczarowany, że kazał operatorowi projektora puszczać go sobie wciąż od nowa i z kina wyszedł dopiero po 12 godzinach.

Dziś ciężko wysiedzieć na nim przez jedyne 90 minut. Odrzuca partyzanckim wykonaniem, pretekstową fabułą (męska prostytutka ucieka do Meksyku po zamordowaniu dwóch policjantów znęcających się nad młodym bojówkarzem Czarnych Panter) i mizoginią posuniętą dalece bardziej niż na teledyskach 50 Centa. Ale Pryorowi nie ma się co dziwić. Po raz pierwszy w życiu obcował z filmem w całości nakręconym przez czarnych, opowiadającym o czarnych i przeznaczonym dla czarnych. Filmem skrajnie autorskim – Van Peebles sam go wyreżyserował, zmontował, napisał scenariusz i muzykę, wystąpił w roli głównej i wyłożył nań kasę (150 tys. $, w tym jedna trzecia pożyczona od Billa Cosby'ego) – gdyż dla hollywoodzkich producentów sam pomysł był tak irracjonalny, że Melvin zazwyczaj odprowadzany był do drzwi przez drwiące uśmieszki. Ale ten się śmieje, kto się śmieje ostatni – „Sweet Sweetback's..." szturmem zdobył murzyńską publiczność, wyciągając z kas 15 milionów dolarów.

W filmie debiutował (w scenie erotycznej!) 14-letni wówczas Mario Van Peebles. 32 lata później ten człowiek-orkiestra postanowił oddać hołd staruszkowi, kręcąc na podstawie jego wspomnieniowej książki film o procesie powstawania tegoż prekursorskiego dla blaxploitation dzieła. I o ile film Van Peeblesa-ojca jest dziś wart uwagi głównie przez wzgląd na swój społeczno-kulturowy kontekst, tak film Van Peeblesa-syna znamionuje pasja, wobec której nie sposób przejść obojętnie. W ekscytujący i nie pozbawiony inteligentnego humoru sposób Mario (sam wcielający się, rzecz jasna, w Melvina) tworzy pean nie tylko na cześć jednego faceta, ale wszystkich tych, którzy nie zawahają się przed niczym w urzeczywistnianiu swych marzeń. A do tego celnie i urokliwie oddaje gorączkową atmosferę lat 70. Nie pierwszy to raz w historii kina (patrz: „Ed Wood" Tima Burtona) opowieść o kształtowaniu się legendy okazała się wartościowsza od samej legendy.

Piotr Dobry



SANDMAN. KONIEC ŚWIATÓW

SCENARIUSZ: NEIL GAIMAN
RYSUNKI: RÓŻNI AUTORZY
EGMONT

Kolejny tom historii obrazkowych z krainy Władcy Snów to prawdziwy majstersztyk. Tytułowy „Koniec Światów" to tawerna znajdująca się gdzieś na końcach wszystkich możliwych światów i, co charakterystyczne dla tego typu miejsc, dająca schronienie każdemu, kto go potrzebuje. Kiedy więc wszechświaty ogarnia burza rzeczywistości, przy kontuarze tawerny spotkać można galerię niesamowitych postaci, a każda z nich musi opłacić swój pobyt opowieścią. Skoro zaś Neil Gaiman zabiera się za relacjonowanie powyższych zdarzeń, musi to wypaść najlepiej, zwłaszcza że każdą historię ilustruje odpowiednio dobrany rysownik. Jeśli więc jeszcze nie macie najnowszego „Sandmana", żałujcie za grzechy i szybko odkupcie winy w księgarni. **Cess**



SANDMAN. NOCE NIESKOŃCZONE

SCENARIUSZ: NEIL GAIMAN
RYSUNKI: RÓŻNI AUTORZY
EGMONT

Album „Noce nieskończone" powstał kilka lat po zakończeniu pracy nad serią „Sandman" i jest najpiękniejszym pożegnaniem, jakie mogliby sobie wymyślić fani komiksów Gaimana. Nie musicie się obawiać, że czytając komiksy w nim zawarte zepsujecie sobie niespodziankę, ponieważ są one odrębnymi historiami, a co najważniejsze, każdy rozdział poświęcony jest innemu przedstawicielowi rodziny Nieskończonych. Oczywiście największym atutem są ilustratorzy, gdyż tym razem brytyjski pisarz zaprosił do współpracy wielu cenionych rysowników i każdy z nich znakomicie wywiązał się z powierzonego mu zadania... Aczkolwiek zwłaszcza cztery rozdziały szczególnie zwróciły moją uwagę – „15 portretów rozpaczy" Barrona Storeya (bo chyba tylko tak można pokazać kwintesencję rozpaczy nie popadając w sentymentalizm), „Serce Gwiazdy" Miquelanxo Prado (bo jego ilustracje świetnie oddają klimat krainy Snu), „Do Wewnątrz" Billa Sienkiewicza (kto jak nie on umiałby odzwierciedlić stan maligny?), no i „Jak poznałam smak pożądania" Milo Manary (bo trudno mi było zachować obojętność). Natomiast, czy te same historie spodobają się Wam najbardziej, musicie szybko sprawdzić sami. **Cess**



PRAWIE 48 STRON: KIJ BIJ

SCENARIUSZ: TOBIASZ PIĄTKOWSKI
RYSUNKI: ROBERT ADLER
MANDRAGORA

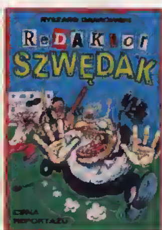
Kolejna odsłona nieustannych poszukiwań sensu komiksu, śmiertelnie niebezpiecznych przygód Górsky'ego i Butcha, a także beztroskich zabaw popkulturą w wykonaniu autorów. Kto zna poprzednie części, ten wie. Mniej więcej. Szkoda, że tym razem twórcom najwyraźniej bardzo się spieszyło, bo „Kij bij" to najsłabszy odcinek serii. Ani specjalnie pomysłowy, ani zabawny, a na dodatek jakoś tak na szybko narysowany. I żeby nie było wątpliwości: Tobiasz Piątkowski to jeden z najlepszych scenarzystów komiksowych w tym kraju, a Robert Adler to jeden z najlepszych rysowników. I naprawdę lubię to, co robią. Tym bardziej mnie wkurza, gdy wciskają mi lipę. **(jd)**



WHITEOUT. ODWILŻ

SCENARIUSZ: GREG RUCKA
RYSUNKI: STEVE LIEBER
TAURUS MEDIA

Kontynuacja niezłej „Zamieci", która ukazała się parę miesięcy temu. Tym razem szeryf Carrie Stetko zostaje wezwana do rozwiązania wyjątkowo niebezpiecznej sprawy, w którą zamieszane są służby specjalne Rosji i USA. A chodzi o nie byle co, bo o kradzież głowic atomowych. Podobnie jak w poprzednim albumie, akcja toczy się na Antarktydzie, co sprawia, że komiks ma specyficzny nastrój: nieco klaustrofobiczny (mimo rozległych przestrzeni, w jakich rozgrywają się wydarzenia) i ściskający za gardło, podkreślany ilustracjami Liebera. A Greg Rucka to sprawny scenarzysta, więc cała opowieść poprowadzona jest gładko i sprawnie. I choć nie jest to album tak dobry jak część pierwsza, to przeczytać z całą pewnością warto. **hb**



REDAKTOR SZWĘDAK. CENA REPORTAŻU

SCENARIUSZ I RYSUNKI: RYSZARD DĄBROWSKI
PASAŻER

Mendowaty, prymitywny i najzwyczajniej w świecie głupi (jak większość dziennikarzy zresztą) redaktor Szwędak to – obok Likwidatora – sztandarowa postać komiksów Ryszarda Dąbrowskiego. Wciąż podąża tropem nowych afer, przekrętów i oszustw, jak się okazuje, najczęściej nic nie znaczących. I z reguły sam pada ofiarą własnych manipulacji, co oznacza po prostu, że dostaje solidny wpierdol... Satyra na media – zwłaszcza teraz – jest z pewnością potrzebna i Szwędak to solidny na nią materiał. Szkoda tylko, że większość komiksów o nim jest pisana strasznie sztampowo i na siłę, bo po paru stronach album robi się nudny. Kilka naprawdę zabawnych epizodów całości nie ratuje, niestety. **hb**



ZBIR. ROZRÓBA

SCENARIUSZ I RYSUNKI: ERIC POWELL
TAURUS MEDIA

Jeśli czytaliście poprzednie albumy o Zbirze, to pewnie zastanawialiście się, jak doszło do jego nieustannej walki z zombie i innymi potworami. No, to teraz macie odpowiedź. Opatrzona numerem zero „Rozróba" przybliża początki kariery bohatera serii, jego pierwsze spotkania z Labraziem, Frankym i zombiakami. Do tego kilka stron wczesnych szkiców i pierwszych plansz opatrzonych autorskim komentarzem Powella. Fajne, zabawne, miejscami chore, ale w dobrym stylu. W końcu nie ma jak rozwalanie żywych trupów! **hb**



WSZYSTKO, CO CHCIELIBYŚCIE WIEDZIEĆ O PIŁCE...

RÓŻNI AUTORZY
KULTURA GNIEWU

Antologia piłkarska wykorzystująca futbolową gorączkę, jaka opanowała niemal wszystkich na cały miesiąc. Nie brakuje tu prac uznanych twórców, m.in. Leśniaka i Skarżyckiego, Krzysztofa Ostrowskiego, Przemka Truścińskiego, Adriana Madeja i Jakuba Rebelki. Większość to jednak dokonania na poły amatorskie. I to niestety czuć, jak zresztą we wszystkich antologiach, które się u nas ukazują. Część zamieszczonych komiksów to naprawdę dobre, przemyślane plansze. Część jest za to po prostu słaba i z niektórych można było chyba zrezygnować, zwłaszcza że album ma aż 170 stron. Co ciekawe, niemal wszyscy twórcy potraktowali piłkę nożną z humorem, z rzadka pozwalając sobie na historyjki bardziej poważne czy wręcz nostalgiczne (wspomnienia o sukcesach drużyny prowadzonej przez ś.p. trenera Górskiego będą towarzyszyć jeszcze wielu pokoleniom kibiców). Większość prac, zwłaszcza tych, które dotyczą kondycji współczesnego polskiego futbolu, to czysta kpina. Czemu – po obejrzeniu popisów „orłów" Janasa podczas meczu z Ekwadorem – tak naprawdę trudno się dziwić... **hb**



PEJA / SLUMS ATTACK
FTURUJĄC
FONOGRAFIKA



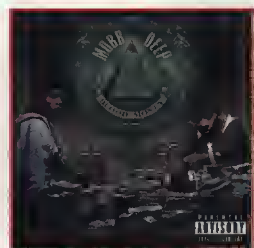
Peja, czyli gniewne, szybkie, proste nawijanie o prostych kwestiach. Dla jednych to czysta nienawiść na trackach i permanentny stan wojny z wieloma ludźmi (a jak dowodzi „Wandal" również przedmiotami – ku przestrodze hotelarzy), drudzy zwrócą uwagę na szczerość, autentyzm i emocje. Co kto lubi. Prawdą jest, że gościnne występy, na których oparte jest przecież „Fturując", pokazują pewien uniwersalizm poznaniaka – może nawijać o seksie z Tymonem, o polityce z Trzecim Wymiarem, pojechać płynnie na klasycznym beacie od Tabba i na gitarach Sweet Noise. I to trzeba docenić, podobnie jak zamieszczenie na płycie tekstów i dołączenie DVD z klipami. Fani Peji z przyjemnością odnotują niepublikowane „elbląskie" kooperacje. Szkoda, że nie uwzględniono natomiast choćby robionego z myślą o drugim „Kodeksie" numeru z Hansem i Glacą czy mimo wszystko najsłynniejszej i najszerszej wielkopolskiej współpracy w ramach „I moje miasto złą sławą owiane". **(flint)**



V/A
RBK HIP HOP TOUR 2006
EMBARGO NAGRANIA



Patrzy człowiek na tytuły w rodzaju „Uszanuj 3" czy „Opijamy 7" i nie wie, czy to aby nie nocny maraton filmowy z niskobudżetowymi horrorami. Jednak nie, to tylko trzy kawałki, trzy remixy i 60 minut filmu. WWO rozczarowuje masą nawiązań do samych siebie, brakiem wersów do zapamiętania (poza tymi o szczaniu i sraniu) i nie ma się co czarować, brzmi to jak robione „na odpierdol". D.S.T.R. z Kochanem nawet nie ukrywają improwizowanego, niepoważnego charakteru swojego kawałka. Dobrze wypada Molesta – cztery różne style naturalnie korespondujące ze sobą, choć, co ciekawe, prym wiodą Wilku i Pelson. Remiksy są godne uwagi, bo lepiej niosą wokale od przyciężkich oryginałów. No, może poza odruchowo czytającym własne podkłady Ostrym – dzieje się u niego więcej i ciekawiej niż w wersji Kuby O. Forma Moleściaków, Dezmonda, Korzenia i DVD z jubileuszowym dokumentem pozwalają wystawić tej inicjatywie trzy eśki. Naciągane. **(flint)**



MOBB DEEP
BLOOD MONEY
G-UNIT / UNIVERSAL



Mobb Deep to bez dwóch zdań zespół kultowy. Tyle że na tym pomniku, który sami sobie zbudowali pierwszymi albumami, od lat pojawiały się rysy. Kontrakt z wytwórnią 50 Centa był dla Havoca i Prodigy jak szczęśliwy los na loterii, pozostało jedynie zrobić swoje i odciąć kupony. Udało się, ale czy w stu procentach? Można mieć wątpliwości. Muzycznie grubo jest wtedy, kiedy za bitmaszyną nie staje Havoc. Nie po raz pierwszy to właśnie jego bity obniżają wartość materiału, którego honoru bronią przede wszystkim Fredwreck, Sha Money XL i Alchemist. Wbrew obawom, nie ma tu za dużo bezdusznego cykania ani hitów na hip-hopowe dyskoteki, chociaż już samo podejrzenie o taką możliwość to spora skaza na wizerunku jednego z najbardziej hardkorowych duetów połowy lat 90. w NY. Mogę się zgodzić z tym, że tematyka numerów Mobb Deep nie zmieniła się ani trochę w czasie ich kariery i to razi. Krew, gangsterka, kasa, dupy i dużo przekleństw. Trochę mdłe. Nie zgodzę się za to, że jest to rymowane słabo, bo Hav jako emce sprawdza się nieźle, a Prodigy odzyskał wigor, energię i nie tylko da, ale wręcz chce się go słuchać. Cały ten misz masz broni się nieźle, chociaż opowieści o najlepszej płycie w ich karierze można między bajki włożyć.
A. Cała / „Machina"



CAM'RON
KILLA SEASON
DIPLOMATIC MAN / ASYLUM



Rozumiem, że istnieje pewna konwencja, w której raperzy muszą mówić brzydko, grać prze-twardzieli, gardzić kobietami oraz chwalić się męskością i bogactwem. Rozumiem, że jest na taką muzykę popyt. Rozumiem wreszcie, że jest ona potrzebna, by raperzy w stylu Chucka D mieli na co narzekać. Dlatego też nie będę wydziwiał, że Cam'ron robi taki rap z konsekwencją, że nawet nie stara się napisać mądrzejszego tekstu o innej tematyce czy że mógłby się postarać o trochę więcej niż trzy hity na kolejnej już płycie. Zostawmy jednak dziecinne wersy Cama (na szczęście przynajmniej w miarę równo zapodane) i przejdźmy do produkcji. Tu jest lepiej. Kozackie, brudne „Wet Wipes" Alchemista, singlowe „Suck It Dr Not" Chubby Baby'ego czy dwa uliczne bangery od I.N.F.D. to jednak za mało, by nadrobić całą masę słabych bitów brzmiących jak z przeciętnego mikstejpu. Całość „Killa Season" to zdecydowanie pozycja dla fanów Cama. I tylko dla nich... **GRB**

newsy

Szalom. Pewnie zdziwiłoby was, gdybym we wstępie do newsów nie napisał nic o Mistrzostwach Świata w piłce nożnej. Owszem napiszę, bo to działa na wszystkich. Nawet na Flintstone'a, który ostatnio przychodzi do pracy ubrany w koszulki piłkarskie, szorty, nagolenniki i korki, trzymając pod pachą plakat reprezentacji Polski i krzycząc: „kocham Michała Żewłakowa, jest taki przystojny!" Naprawdę, nie kłamię. Nie napiszę nic ponadto, bo nie mam czasu na jakieś tam wstępy. Jakoś mi coraz więcej tych obowiązków w redakcji przybywa, cholera jasna. A światku rapowym, mimo że kanikuła, ciągle się coś dzieje. Zatem zapoznajcie się z ostatnimi nowinkami. Joł.



Reaktywacja **Molesty** jest faktem, ale na wspólny album czterech emce – Wilka, Włodiego, Pelsona i Vienia (na zdjęciu) – przyjdzie nam jeszcze trochę poczekać, gdyż ujrzy on światło dzienne dopiero wczesną jesienią. Póki co, mamy kawałek na składance promującej tour Reeboka wydanej przez Embargo Nagrania.



Camey Records oraz Syndykat Dźwięku są wydawcami trzypłytowej kompilacji największych przebojów wyprodukowanych przez **DJ'a 600 V** (na zdjęciu). Na płytach znalazły się największe przeboje takich wykonawców jak WWD, Tede, Trzyha/Warszawski Deszcz, Pezet, Wzgórze Ya Pa 3, Zip Skład, Morwa, JedenSiedem, Molesta i wielu innych. Dystrybucją materiału zajmie się Universal Music Polska. Warto również wspomnieć, że płyty będą sprzedawane oddzielnie, a cena każdej z nich nie przekroczy 25 złotych.

Pod koniec czerwca ukaże się debiutancki album producencki **Młodzika** „Laboratorium". Płyta zostanie wydana nakładem labela Qulturap. Gościnnie znajdą się na niej m.in. Kidd, Dany z Poemy Faktu, Faczyński oraz Majkel. Część albumu stanowić mają instrumentale. Muzycznie płyta ma być dosyć zróżnicowana, ale generalnie dominować będzie ponoć brudne brzmienie, być może nasuwające skojarzenia z niektórymi produkcjami Def Juxu czy Anticonu.

Zbliża się również inna pozycja producencka spod szyldu Qulturapu. Będzie to album **Lu**, beatmakera i DJ'a, znanego głównie ze Sfondu Sqnksa. Na płycie „Night Moves" Lu ma łączyć elementy jazzu, funku, hip-hopu i trip-hopu w jedną całość, korzystając z samplerów oraz pomocy różnych muzyków i wokalistów. Zapowiada się ciekawie.

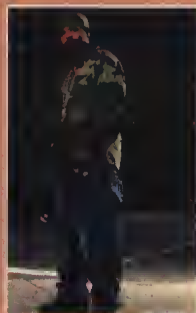


Jak już przy płytach producenckich jesteśmy, to nie sposób nie wspomnieć o nadchodzącej składance firmowanej przez **Waca**. Po sukcesie „Świeżego Materiału" sprzed pięciu (!) lat, po sequelu też można wiele oczekiwać. Wśród gości na tej wydawanej własnym sumptem (Waco Records) mamy m.in. Wilka, Włodiego, D.S.T.R.'a czy Bez Cenzury. Pozostaje nam czekać.

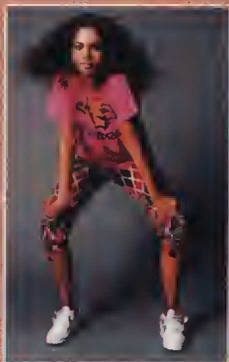
Kolejny krążek, którego spodziewać się możemy już niebawem, to „Haelucenogenoklektyz – przypowieść o zagubieniu w czasoprzestrzeni" znanego z Kanału Audytywnego producenta, rapera i aranżera, **L.U.C.'a**. Jeszcze ciekawiej od tytułu płyty prezentują się goście, wśród których mamy Leszka Możdżera, Andrzeja Smolika, Igora Pudlę ze Skalpela, Rahima i Magierę.



Mówi się o kryzysie, a tu pojawił się nowy gracz na polskiej scenie wydawniczej. Rzeszowskie **Studio Haos** wzięło się za promowanie produkcji z zaniedbanego pod względem hip-hopowym rejonu południowo-wschodniej Polski. W naszych recenzjach nielegali przeczytać możecie co nieco o twórczości Pasjonatów, dwóch braci z Biłgoraja. Na wrzesień 2006 r. planowana jest premiera ich legalnej płyty. Wcześniej, bo w połowie lata, Studio Haos planuje wydanie raggowego albumu formacji Hemikrenia.



Członkowie Dipset nie przestają zalewać nas swoimi kolejnymi wydawnictwami. Nowy solowy materiał zapowiedział ostatnio **Jim Jones**. Płyta „Summer Was Fun" wyjść ma wczesną jesienią, w tej chwili oficjalna data premiery to 5 września. Oczywiście gościnnie wystąpią wszyscy The Diplomats. Pierwszy singiel z płyty nosi nazwę „We Fly High".



Po opisywanej przeze mnie w zeszłym miesiącu bójce na londyńskim lotnisku Heathrow Snoop Dogg nie tylko popadł w kolejny konflikt z prawem, ale doczekał się również stałego zakazu wjazdu na terytorium Wielkiej Brytanii. W ramach rewanżu imperialiści z USA zabronili wjazdu na swoje terytorium brytyjskiej raperce, **M.I.A.** (na zdjęciu). Podobno odmówiono jej wizy wjazdowej do Stanów, motywując to politycznym przesłaniem części jej tekstów wspierających Tamilskie Tygrysy, czyli separatystyczną organizację działającą na jej rodzinnej Sri Lance.



GNARLS BARKLEY
ST. ELSEWHERE
WARNER MUSIC



Projekt Cee-Lo i Danger Mouse'a zawojował świat (a już na pewno Wielką Brytanię) za sprawą singla „Crazy". Teraz możemy posluchać całego materiału. Jest on niesłychanie przebojowy. Czy oparty na potężnej sekcji rytmicznej w stylu RJD2, niepokojący „Just A Thought", czy super-taneczny „The Last Time", czy rockowy „Gone Daddy Gone" – wszystko brzmi rewelacyjnie i wręcz zmusza do ruszania się w takt muzyki. Nie wiem, jak Danger Mouse to robi, w gruncie rzeczy ima się przecież bardzo prostych zabiegów – ale w swojej prostocie jest geniuszem. Cee-Lo jest z kolei po prostu sobą, ale w tak wielu odsłonach jeszcze go nie widzieliśmy: bywa mroczny, wesoły, liryczny, popowy, rapowy i tak dalej przez trzy akapity. Jeszcze jedna rzecz, jaka rzuca się w oczy, to długość (a raczej „krótkość") kawałków. Tylko trzy z nich trwają ponad trzy minuty, co jak na dzisiejsze standardy jest dosyć zaskakujące. Dzięki takiemu zabiegowi utrzymana jest duża dynamika krążka. Numery zmieniają się jak w kalejdoskopie, co zdecydowanie wpływa dodatnio na ocenę materiału. Pozostaję w zasłuchaniu. **GRB**



DJ STATIK SELEKTAH
SOUNDTRACK TO THE SUMMER
SHOWOFF



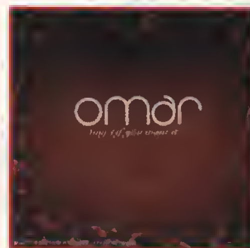
Statik Selektah to zwykły, młody białas. No, może nie każdemu udaje się grać w WBOT Hot 97.7, eminemowym Shade 45 Station, wyświetlać się w MTV i BET, współpracować z pismem „XXL" czy robić mixtape'y dla Nasa i G-Unit. Jemu się udaje. I właśnie spod jego ręki wyszedł wzorcowy letni mixtape. Rzucają się w oczy gorące obecnie ksywki: Rick Ross, T.I., Papoose, Busta Rhymes, Gnarls Barkley. Nie brak nieśmiertelnego Kanye Westa i wracającego do łask Pharrella. Nie dość, że płyta jest na czasie, to dużo się na niej dzieje – idealnie dopasowane blendy z kilkukrotną zmianą beatu, sporo remixów z zaskakującymi, ale nieprzypadkowymi zestawieniami wykonawców (Lloyd Banks z Run D.M.C., Timbaland z Biggiem), freestyle, mistrzowskie exkluzivy z Showoff, wytwórni Statika – zapamiętajcie sobie Termanology (tu na nowym beacie Premiera) i Granite State, bo warto. Cieszy ucho to, że DJ ma szerokie horyzonty i nie dzieli hh – jest tu miejsce zarówno na nowy track The Roots, jak i na ostatnie zwrotki Dre i Big Boi'a. Klasa. **(flint)**



SWAY
THIS IS MY DEMO
SONY BMG



Album Swaya to prawdziwa gratka dla miłośników grime'u. Najgorętszy kot na brytyjskiej scenie przygotował wreszcie pełnowymiarową płytę, która pokazuje szerszej publiczności zakres jego umiejętności, a trzeba przyznać, iż jest on ogromny. Bo Sway ma to wszystko, co cenię u raperów – dobre (treściowo i technicznie) teksty, poczucie humoru, no i flow, które zmienia, jak chce i kiedy chce. Zatem wśród 21 ścieżek na „This Is My Demo" znajdziemy utwory bardziej stonowane i rozśpiewane, i takie bardziej agresywne, i oczywiście jak na Brytyjczyka przystało – na wskroś przesiąknięte angielskością. Część bitów wykonana jest przez DJ Shuxa, część utworów Sway wyprodukował sam, a przy mikrofonie towarzyszą mu „nowe twarze" londyńskiej sceny takie jak Pyrelli, wokalista Elrae, czy raperka Baby Blue. Całość stanowi mieszaninę doskonale dobranych komponentów i za to wszystko należy się szósteczka. Jeśli więc lubicie typowe brit-hopowe brzmienia, w waszej kolekcji nie może zabraknąć „... Demo" Swaya. **Cess**



OMAR
SING (IF YOU WANT IT)
ETHER / EBLOK



Momentami glos Dmara przypomina Lionela Richiego, chwilami styl Steviego Wondera, który zresztą pojawia się w jednym z lepszych utworów tej płyty. Na szczęście na tym podobieństwa się kończą. Kolejna płyta tego brytyjskiego wokalisty pulsuje funkowo neo-soulową wibracją. Jednak nie w opiewającym miłości wszelakie stylu Dwele. Album jest dość zróżnicowany brzmieniowo. Możemy na nim usłyszeć bossa novę („Get It Together") typową soulową balladę („All For Me" z Angie Stone), rap pierwszej próby („Gimme Sum" m.in. z Commonem i Rodneyem P) czy chociażby broken beat („It's So") godny kolektywu Bugz In The Attic. „Sing (If You Want It)" poza kilkoma tanimi momentami sprawia ogólnie dobre wrażenie artystyczne. Biorąc pod uwagę kilka fajerwerków – jak chociażby „Ghana Emotion" czy featuringi – nie można przejść obok tej płyty obojętnie. Warto mieć ją na półce. **Tymoteusz Kubik**



JAMIE FOXX
UNPREDICTABLE
J-RECORDS / SONY BMG



To naprawdę duża sztuka położyć album, nad którym pracowała wspólnie taka masa znako-

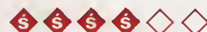
miłości. Timbaland, Kanye West, Snoop, Game, No I.D., Warryn Campbell, Mike City czy Ludacris. To naprawdę duża sztuka przesłuchać „Unpredictable" od początku do końca i nie zasnąć. Dużej klasy wyczynem jest napisanie tekstów, które na całej płycie ograniczają się do schematu dup, seksu, pieniędzy i bycia gwiazdą, nie mając w sobie ani polotu, ani czegokolwiek odkrywczego. Nie chcę się zresztą dalej pastwić nad drugą solówką w karierze Foxxa. Są tu bowiem numery niemal ocierające się o geniusz (oczywiście w kategorii urban r&b), pokroju singla tytułowego czy „Extravaganzy" Kanye Westa. Są tu kawałki, przy których chęć aktywności łóżkowej wzrasta diametralnie. Szkoda tylko, że giną one w zalewie bezpłciowych, nudnych, schematycznych kompozycji, których na „Unpredictable" jest zdecydowana większość. Brakuje czegoś, co rozbiłoby tę jedną wielką kołysankę na kilka części, czegoś, co dodałoby temu wydawnictwu smaku. A tak jest słodko, mdło, zaś przede wszystkim zdecydowanie poniżej oczekiwań. **ac**



QUESTLOVE PRESENTS

BABIES MAKIN' BABIES 2: MISERY STRIKES BACK... NO MORE BABIES

BBE



Wyobraź sobie, że jest jesienny wieczór, a ty akurat nie masz co robić. Właśnie straciłeś swoją ukochaną drugą połowę i najchętniej skoczyłbyś z jakiegoś mostu, ale akurat nie ma takiego w pobliżu... Proponuję sięgnąć po najnowszą składankę Questlove'a, bo ta nadaje się idealnie do słuchania, gdy jesteś w takim nastroju. Quest po raz kolejny pokazał, że ma niesamowity talent do kompilowania różnych kawałków. Druga część „Babies Makin' Babies..." jest niesamowicie klimatyczna i idealnie nadaje się właśnie do słuchania wieczorem. Trudno tu dyskutować o jakości każdego z kawałków, bo w większości są to klasyki, jak niesamowity Al Green w „How Can You Mend A Broken Heart?" czy Natalie Cole i jej „Good Morning Heartache". Ten numer ma jeden z najlepszych instrumentalnych początków, jakie ostatnio słyszałem. Świetnie słucha się też Alberta Kinga i pozostałych wykonawców, których kompozycje zawarte są na tej płycie. Nie będę owijał w bawełnę, to prawdziwa uczta dla słuchaczy spragnionych ciepłego i klimatycznego r'n'b, którego dzisiaj już się nie gra. Może czasem do niektórych kawałków trzeba się dłużej przekonywać, ale ogólne wrażenie jest zdecydowanie pozytywne. **dill-o**



THE RH FACTOR

DISTRACTIONS

VERVE / UNIVERSAL



Gdyby ktoś nie wiedział – a zapewne znajdą się tacy – RH Factor to soulowo-funkowy projekt jednego z najwybitniejszych współczesnych jazzowych trębaczy, Roya Hargrove'a. Roy to również członek formacji Soulquarians, która współpracowała z Commonem czy The Roots. Pierwszy album RH Factor ujrzał światło dzienne w 2003 r., przynosząc między innymi fenomenalny utwór „Poetry" z Q-Tipem i Erykah Badu. Na nowym materiale takiej perełki nie ma. Pretendowało do takiego wyróżnienia nagranie „Bull***t", czyli długo oczekiwany powrót D'Angelo, ale... na nadziejach się zakończyło. Kawałek jest niezły, jednak nie wyróżnia się specjalnie na tle całości. Płytę zdominował bujający, ciepły groove i klimat płynnie przechodzący od hard-bopu do philly soulu i funku. Krążek rozkręca się leniwie, ale jak już nabierze tempa, to trudno się od niego oderwać, również za sprawą wokalu Renee Neufville (kiedyś w soulowym duecie Zhane – przebój sprzed ponad dekady „Hey Mr. DJ"), momentami wręcz powalającego na kolana („On The One"). Co pozostawia niedosyt? Długość (raptem 38 minut), brak rapowego smaczku i fakt, że poprzeczki postawionej debiutanckim „Hard Groove" nie udało się przeskoczyć. Co nie zmienia zdecydowanie pozytywnej oceny płyty. **A. Cała / „Machina"**



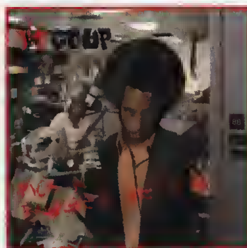
GOTAN PROJECT

LUNATICO

¡YA BASTA! / SONIC



Druga płyta Gotan Project to album zdecydowanie lepszy i różniący się od debiutanckiego „La Revancha Del Tango" (2003). „Lunatico" to mniej żerowania na patencie osadzenia tanga w elektronicznej konwencji. Mniej chwytliwych melodii, grania na emocjach słuchaczy. Mniej tanich chwytów. Za to więcej brzmień klasycznych, akustycznych. Więcej Argentyny, dymu, pazura – jak chociażby w wyróżniającym się utworze „Mi Confesion" z duetem hip-hopowym Koxmoz. Czyniąc szowinistyczne porównanie, to odpowiednikiem „La Revancha..." byłaby kobieta zupełnie naga, tańcząca na rurce, a „Lunatico" – tajemnicza, zmysłowo ubrana, kusząca ponętnym ciałem. Nadal jednak to jak godzinna wizyta w agencji towarzyskiej... Za to spędzona z kobietą o lepszych wymiarach. **Tymoteusz Kubik**



THE COUP

PICK A BIGGER WEAPON

EPITAPH



„I'm here for laugh, love, fuck and drink liquor / and help the damn revolution come quicker" – ten cytat pasuje idealnie do nowego albumu The Coup. Najwięksi socjaliści rapu mają pomysł na sprzedaż swojej politycznej treści poprzez



Album The Game'a „The Devil's Advocate", jak już wiecie, nie ukazał się jak planowano 6 czerwca. Miało być diabelsko, z trzema szóstkami w dacie wydania (6.06.06), ale nastąpiła obsuwa i płyta ukaże się dopiero pod koniec lata. Opóźnienie wynikło m.in. z powodu filmu „Waist Deep", w którym **The Game** gra jedną z głównych ról. Czyli co? Zmiana tytułu czy przełożenie premiery na 2066? Zanim się dowiemy, warto wspomnieć, że w lukę po raperze wstrzeliła się nasza Ramona Ray i właśnie 6 czerwca ukazała się jej debiutancka płyta.



„It just don't stop"... Kolejny raper został postrzelony. Miało to miejsce 25 maja w Filadelfii, a poszkodowanym był **Beanie Sigel**. Nie były to na szczęście żadne raperskie porachunki, a zwykła napaść, w wyniku której Sigel stracił portfel i biżuterię, a także wzbogacił się o dwie rany postrzałowe – tyle dobrego, że niegroźne. Jeszcze tego samego dnia (napad miał miejsce nad ranem) raper wbił się podobno do studia, by kontynuować prace nad swoim nadchodzącym albumem wstępnie zatytułowanym „The Bad Guy".



W zeszłym miesiącu informowałem was o sytuacji z przeciekiem płyty **Lupe Fiasco** „Food & Liquor" do Internetu. Na szczęście efektem tego nie będzie jednak całkowite porzucenie projektu przez rapera, a opóźnienie jego wydania (planowanego pierwotnie na 27 czerwca). Fiasco nagrywa bowiem nowe kawałki, chcąc być w porządku w stosunku do swoich „prawdziwych fanów".

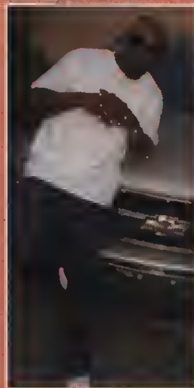


Na październik zapowiadany jest powrót **Joe Buddena.** Płytę wyda Def Jam, zatytułowana będzie „The Growth" i ukaże się w trzy lata po premierze debiutanckiego krążka rapera. Fakt, że o Buddenie nie było w mainstreamie słychać przez tak długi w sumie czas, wynika z ciągłego przesuwania terminu wydania drugiej płyty przez label.

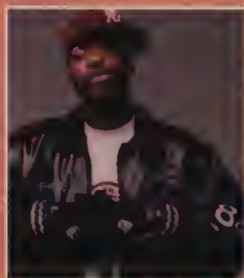


Lada dzień w sklepach powinien pojawić się nowy album **Jurassic 5** zatytułowany „Feedback".

Jak mówią sami artyści, płyta ma poszerzyć grono ich fanów poza „backpackerów" – z którymi J5 byli do tej pory utożsamiani – w czym pomóc mają choćby produkcje od Salaama Remiego i Scotta Storcha. Pierwszy singiel z płyty to „Work It Out".



Big Boi z Outkastu będzie wydawcą debiutanckiego albumu **Sleepy'ego Browna.** Znany wokalista i producent (w ramach Organized Noize) nagrywa płytę „Mr. Brown", która ukaże się nakładem Purple Ribbon jesienią tego roku. Pierwszy nagrany przez Browna album został ostatecznie porzucony przez poprzedniego – niedoszłego – wydawcę, czyli Interscope, dwa lata temu.



„4: 21... The Day After" to tytuł czwartego solowego wydawnictwa **Method Mana**, które powinno pojawić się w sprzedaży już za niespełna miesiąc. Wśród producentów na krążku warto wymienić choćby takich tuzów jak RZA (a jakże), Dr. Dre (a jakże) i Scott Storch (po trzykroć – a jakże). Na mikrofonie usłyszymy gościnnie m. in. Stylesa P i Fat Joe. Oby tylko płyta była „nieco" lepsza niż „Tical 0" ...



Szykuje się nam wielki powrót **Naughty By Nature.** Choć trudno w to uwierzyć, plotki mówią, że Kay Gee pogodził się z Vinniem i Treachem (na zdjęciu). Trzeba przypomnieć, że ostatni jak dotąd album zespołu, „iicons" z 2002 roku, wydano bez udziału tego producenta i rapera), a teraz cała trójka pracuje nad nowym materiałem. „Hip-hop hooraaaay, hooo!"



Pamiętacie wakacyjny hit „My Neck, My Back" sprzed czterech lat? Jego autorka, czyli raperka **Khia,** powraca. Płyta „Gangstress" ukazać się ma 11 lipca, a pierwszy singiel już sobie lata i nazywa się „Snatch The Cat Back". Co ciekawe, Khia wyprodukowała album w całości sama. Teraz zapowiada: „Ludzie, którzy twierdzili, że stanę się artystką jednego przeboju, zobaczą zupełnie inny zakres moich możliwości", zapowiada raperka. Czyli już nic więcej o lizaniu?

przygotował Grabiszczy

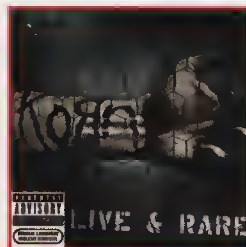
przebojową, funkową, lekką formę. Flow Bootsy Rileya jest już wyrobione i pewne, zwrotek słucha się przyjemnie, tym bardziej, że jak zwykle są niegłupie, okraszone celną ironią i charakterystycznym poczuciem humoru. Muzycznie płyta jest bardzo trudna do zaklasyfikowania, bo mamy na niej zarówno soulowe „BabyLet'sHaveABabyBeforeBushDoSomethin'Crazy" jak i szalone funkowe „Head (Of State)" czy nawiązujące do oldschoolowego disco „We Are The Ones". Aranżacja takich kawałków jak „I Just Wanna Lay Around..." czy „The Stand" to prawdziwe arcydzieło i zasługuje na najwyższe uznanie. Wyśmienity album – ambitna treść podana dobrym flow na zróżnicowanych, świetnie zaaranżowanych beatach, zero wpadek i słabych momentów... 13 lat po debiucie wciąż w znakomitej (a nawet lepszej) formie. Serdecznie polecam. **Med**



KOMETY
2004-2006
JIMMY JAZZ



Kapela Lesława jest niezmordowana. Trzecia płyta w ciągu roku to niemałe osiągnięcie. Trzecia udana płyta, to już sukces. No dobrze, tak naprawdę dwie płyty były takie same (tylko w różnych językach), ale i tak zaliczam. „2004-2006" to, jak łatwo się domyślić, kawałki zarejestrowane w tym właśnie czasie, ale takie, które nie zmieściły się z różnych przyczyn na regularnych albumach. Nic więc zaskakującego pod względem muzycznym tu nie znajdziecie. Styl Komet jest rozpoznawalny od pierwszych taktów. Rockabilly, rock and roll, punk – wszystko przeplata się tu płynnie, bez zgrzytów i fałszów. Lesław i jego koledzy czują to, co robią, więc robią to naprawdę świetnie. Ciekawostką na „2004-2006" są z pewnością dwa dość zaskakujące covery („Tak mi źle" i „My Rifle, My Pony and Me") oraz dwa klipy zamieszczone jako bonus. **hb**



KORN
LIVE & RARE
SONY



Zdecydowanie więcej „live" niż rare", bo na trzynaście utworów aż jedenaście zostało zarejestrowanych podczas różnych koncertów. Wypadają w większości tak sobie, bo realizacja nagrań jest przeciętna. Dopiero covery – „Another Brick In The Wall" Pink Floydów i „One" Metalliki – pokazują, na co stać ekipę Jonathana Davisa i jak na jej występy reaguje publiczność. Utwory, które można przypisać do „rzadkich", jak chce tytuł płyty, znajdziecie tu dwa: „Proud" oraz kolejny cover, „Earache My Eye", niegdyś nagrany przez duet komików Cheech & Chong. Nic wielkiego. Szczerze mówiąc, lepiej pójść na koncert albo posłuchać „Greatest Hits", bowiem w wersjach studyjnych wszystkie te utwory po prostu brzmią lepiej. Dla wielbicieli Korna ocena może być podniesiona o jeden stopień. Fanatycy i tak już dawno tę płytę mają. **hb**



SICK OF IT ALL
DEATH TO TYRANTS
CENTURY MEDIA / EMI



Do tej pory Sick Of It All, zespół-podpora nowojorskiej sceny hardcore, nie nagrywał słabych albumów. „Death To Tyrants" nie położy kresu tej tradycji. Na swojej dziewiątej płycie nowojorczycy udatnie połączyli ciężki, metaliczny sound z punkową szybkością i werwą. Ostre gitarowe riffy i zdarty, gniewny głos Lou Kollera już na wstępie upewniają, że nie będzie lekko. I nie jest, bo chyba nigdy wcześniej SOIA nie brzmiało tak mocno i podniośle. Tytaniczne brzmienie przydało nowym utworom takiej siły, że przy killerach w rodzaju „Uprising Nation", „Evil Schemer" czy „Maria White Trash" nie da się spokojnie usiedzieć w fotelu. Jeśli uznać „Death To Tyrants" za pewną cenzurkę dotychczasowej, dwudziestoletniej działalności SOIA, to zespół może być z siebie dumny. Jest dobrze, było dobrze, będzie dobrze na pewno. **/Sebastian Rerak/**



TIME AGAIN
THE STORIES ARE TRUE
HELLCAT / SONIC



Z początku odniosłem wrażenie, że omyłkowo w digipacku z nazwą Time Again dostałem reedycję którejś z pierwszych dwóch płyt Rancid. Po chwili nabrałem pewności, że tego albumu nie popełniła jednak załoga Larsa Frederiksena, lecz gang bezkrytycznie wpatrzonych w nią fanów. Time Again brzmi i wygląda zupełnie jak Rancid AD 1994. Czterech zakapiorów wycina krótkie pogo punkowe obertasy z duża dawką melodii i ostentacyjnie manifestowaną olewką, obnosząc przy tym półmetrowe irokezy, pokaźne kolekcje tatuaży i ciuchy nabijane kilogramami ćwieków. Nawet jedyny wyłamujący się z uliczno-panczurskiego kanonu, utrzymany w stylu ska kawałek „Streetwalker" brzmi bardzo rancidowo. Jakoś nie dziwi, że gościnnie wsparł Time Again nie kto inny jak Tim Armstrong. Programowa toporność wykonania (jak pank to pank!) i fascynacja Rancid może jeszcze ujmować przy pierwszym przesłuchaniu. Potem zwyczajnie nuży. Nie spodziewam się, żeby ci goście mieli coś zwojować, chyba że pójdą po linii najlepszego kawałka, „Broken Bodies". **/Sebastian Rerak/**



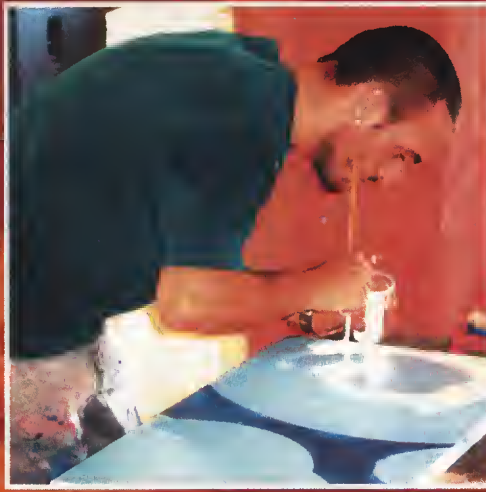
Bułgaria. Tu wódkę anyżkową popija się kefirem, picie alkoholu na ulicy jest legalne, a graffiti jest pożądanym przez polityków elementem walki o głosy.

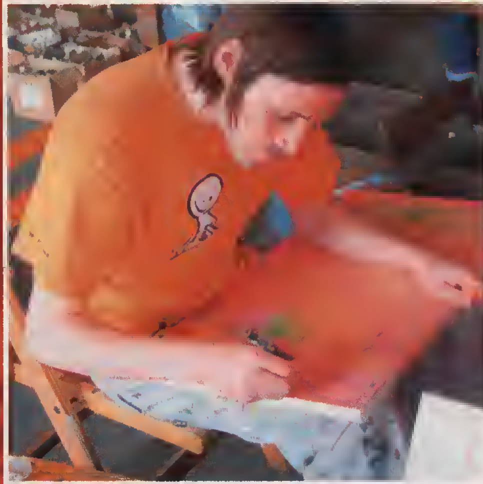
Zaczniemy od tego, co było później: trzydniowy Gravis Street Art Session. Miejscówka marzenie – stara fabryka, zaanektowana na potrzeby akcji. Prowizoryczna (ale skuteczna) didżejka, miękkie kanapy, płótna, farby, markery, pędzle – ile dusza zapragnie. Wyświetlane na ekranie pośrodku hali filmy. Miły akcent to prezent w postaci pary nowiutkich butów Gravisa dla każdego zaproszonego artysty. Martwiły ograniczenia w możliwościach spożycia piwa (w pewnym momencie zaczynało już trudniej wchodzić).

W akcji udział wzięły miejscowe tuzy graffiti: ND2ND, LBC i inni oraz zaproszeni goście: SAT1, NOMAD, JOYS, PEETA, MADE, DAVE THE CHIMP, THE LONDON POLICE, TIKA, a Polskę reprezentował BOSTONE.

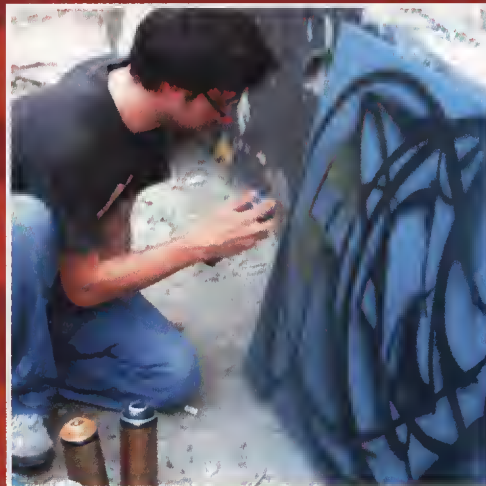
W przeciwieństwie do typowych akcji naściennych, gdzie istotne jest wypieszczenie swojego piece`a, na tej imprezie efekt nie był najważniejszy. Istotą było samo tworzenie, zabawa, rozmowa z nadciągającymi gośćmi i tworzenie mnóstwa małych form artystycznych, o wiele więcej niż to możliwe na klasycznym jamie graffiti. Co ciekawe, nie zginęła żadna farba, żaden plecak czy inna rzecz. W Polsce jeszcze pewnie chwila upłynie, zanim artystów nie trzeba będzie odgradzać od widzów w trosce o sprzęt ruchomy.

Jednak zanim uderzyliśmy do Sofii na powyższe wydarzenie, w nierzucających się w oczy grupach po kilka osób przeniknęliśmy do Warny na MOS.











Meeting of Styles

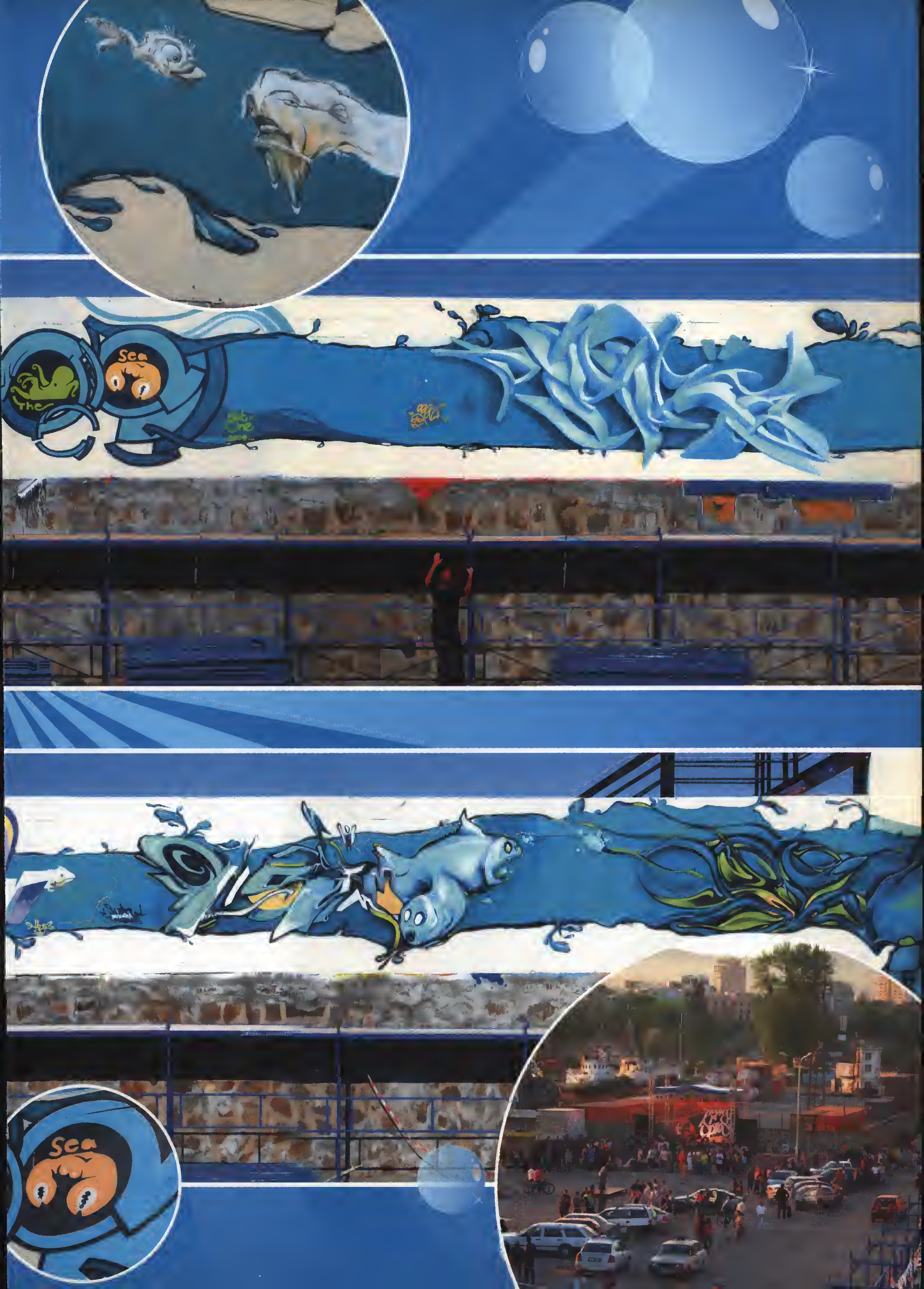












Sea
the
Sea

Meeting of Styles










Akcja była konkretna. 27-28 maja Meeting of Styles, którego przedstawiać nie trzeba. Trzy wypasione dni w Warnie: morze w zasięgu rzutu markerem, nocne życie kurortu, 36 stopni w słońcu i chłodząca bryza od tureckiego wybrzeża. Raj na ziemi.

Ściana jak na obrazku, tylko dużo dłuższa, a za ścianą... Morze Czarne. Plaża trzy minuty obok, piwo na miejscu, żarcie na miejscu, dobrą muza cały dzień na miejscu – chociaż hip-hop na całym świecie chyba wygląda tak samo: ktoś drze się do mikrofonu w asyście dudniących basów i nikt nie rozumie, o co mu chodzi. Na wysokości zadania stanęła ekipa gospodarzy DRS+ (jeśli gustujecie w dobrym hh – poszukajcie w sieci, dają radę!). Na malowanie ściany były dwa dni, przy średnim metrażu na głowę pięć metrów kwadratowych, więc czasu każdy miał mnóstwo i to na wszystko. I tutaj można było bezpiecznie zostawić farby bez opieki, co dla paranoicznych przybyszów z Polski było źródłem mimowolnego stresu.

Po trzech dniach, pijani słońcem i rewelacyjnym klimatem – pogodowym i międzywriterskim – udaliśmy się do Sofii, na Gravis Street Art Session, gdzie...
Ale to już wiecie.



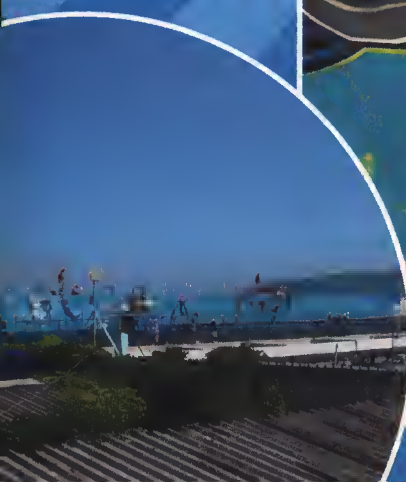












Meeting of Styles


CHROM JEANS

Shakira i Christina Milian. Muzycznie obie panie sytuują się muzycznie gdzieś między Karaibami a Ibizą. W obu przypadkach pojawia się dodatkowo szczypta rapu, ale mniejsza o to. Ali G żartował kiedyś podczas jednej z tych nadętych, ważnych ceremonii, że Shakira po gruzińsku znaczy „cipka". W takim razie po polsku musi oznaczać „niezły kawał soczystego ciałka". Jak tłumaczymy Milian? Proponuję: „jeszcze lepszy kawał soczystego ciałka"

tekst Flint

Shakira

Ostatni przebój Shakiry z gościnnym udziałem Wycleffa nazywa się „Hips don't lie". I rzeczywiście, „biodерka nie ściemniają", mówią smutną prawdę na temat testosteronu u mężczyzn. I kiedy Shakira przekonuje nas zawzięcie, że to, co widzimy, to właśnie perfekcja, jesteśmy nawet skłonni uwierzyć. Kawałek ma otwierać Mistrzostwa Świata w piłce nożnej i jeśli wzorem Edyty Górniak nie zostanie wykonany cztery razy za wolno, jest szansa, że zdopinguje piłkarzy do wzmożonego wysiłku. Złośliwe plotki wiązały wizytę Górniak w Korei z Aleksandrem Kwaśniewskim. Shakira ma warunki, żeby mierzyć znacznie wyżej, raczej w stronę gwiazd polityki i pieszczoszków mediów pokroju Billa Clintona. Z pewnością Bill byłby niezwykle zadowolony z nazw jej ostatnich płyt – „Oral fixation vol. 1" i „Oral fixation vol. 2".

Nic nie zapowiadało tak interesującego rozwoju. Na okładce „Pies Escalzos" – debiutu z 1996 r. – Shakira wyglądała jak kolumbijska (bo właśnie z tego kraju pochodzi) pomoc kuchenna, względnie Avril Lavigne dostającą ataku autyzmu w drodze na spotkanie kółka różańcowego. Krążek z poprockowymi balladami można obecnie kupić za sześć dolców. Przy kolejnym (nie liczymy remixów) „Donde Estan Los Landrones" proste, długie, ciemne włosy zaczęły wykazywać tendencję do skręcania się. „Laundry service" przynosi nam blondynkę, która wie, że należy odsłonić kawałek ciała. Kolejne etapy wyglądają zaś na drogę w stronę Beyonce „numero dos".

Oddajmy kobiecie, co się jej należy - nie wykonuje tego, co się jej każe, może zaśpiewać wszystko (potwornie dużo porównań do wartościowych wokalistek z różnych okresów - m. in. do Alanis Morissette, Aretha Franklin, Jane Birkin, Annie Lennox, Cher, Madonna), ale wszystkiego nie śpiewa, w większej mierze sama







jest odpowiedzialna za swój repertuar. Ponoć bywają w nim kawałki ładnej, sentymentalnej poezji, ale to docenią raczej znawcy hiszpańskiego. Do przedostatniego (nowej płyty nie ma jeszcze na półkach) albumu właśnie w tym języku komunikowała się z odbiorcami. Teksty anglojęzyczne to nic wielkiego, niemniej Shakira nie jest głupia. Raczej eklektyczna, nieprzewidywalna, koncentrująca uwagę i może tylko odrobinkę chciwa. Ale Rick Rubin (tak, ten od Red Hotów, Slayera, LL Coll J'a i Jaya-Z) nie byłby nigdy producentem wykonawczym ładnego, bezwartościowego kociaka. Chociaż kiedy tak patrzę na to ciało w "Hips don't lie"...

Christina Milian

„Musi chodzić o tyłek", rymował kiedyś Ja Rule z właściwą sobie elokwencją w utworze Jennifer Lopez. „Musi chodzić o tyłek, płaski brzuch, uda, burzę karbowanych włosów, makijaż i jeszcze te długie nogi", mógłby zarymować w kawałku Christiny Milian, ale nie zarymował, chociaż miał okazję i to więcej niż jedną. Być może krew odpłynęła mu z mózgu do zupełnie innego miejsca, być może w ogóle miała problemy ze zlokalizowaniem szarych komórek – to nie jest ważne. Pochodzący sprzed czterech lat album zatytułowany od imienia i nazwiska wokalistki ma na okładce zwykłą szatynkę z podejrzanie długimi rzęsami i wielgachnymi kolczykami. Co tu dużo mówić – bardziej „Czy mogę panu powróżyć?" niż „Tak, jestem seksbombą". Kiedy patrzymy na Christinę Milian teraz, to cóż... Nawet Shakira wygląda przy niej jak trudno definiowalny pod względem płciowym członek Kelly Family. Co innego względy artystyczne...

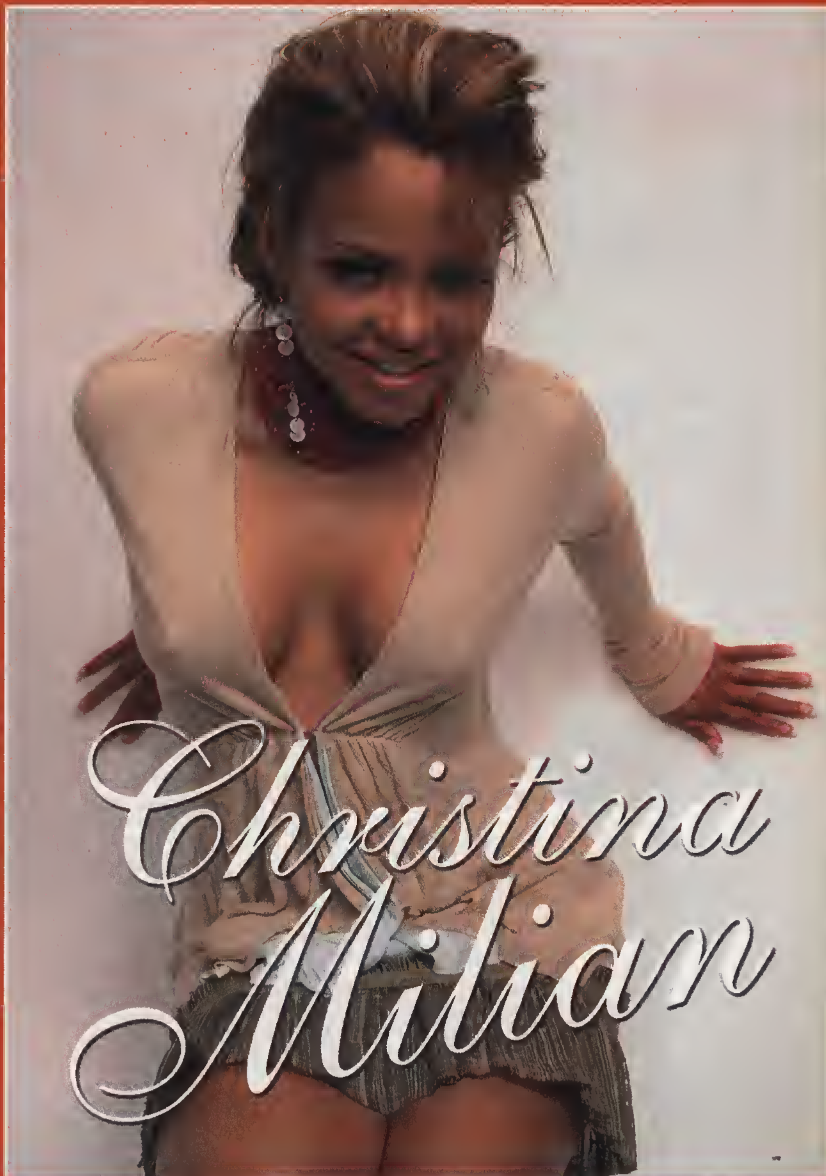
„Musi chodzić o straszne gówno" – taki werdykt należałoby wydać, gdyby patrzeć na kooperacje, w jakich artystka brała udział. Ja Rule, Young Jeezy, Joe Budden, Jermaine Dupri. Ostatnio mamy wspólną nagrywkę z Three Six Mafią, co dowodzi jednak tylko tego, że „naprawdę ciężko być alfonsem". Ostatni jej krążek „So amazin'" jest krytykowany za bazowanie na już wykorzystanych pomysłach i beatach brzmiących jak coś wcześniej (co oznacza, że odpowiedzialny za niemal całość, pochodzący z Miami i dość gorący duet Cool & Dre się opieprza).

Trudno się dziwić, skoro nawet biografia Milian brzmi jak pożyczona od Fergie z Black Eyed Peas – praca przy jakiejś mdłej, infantylnej kupie dla Disneya, aktorstwo. Do tego dochodzą trzy nisko ocenione albumy. Więc może nie traćmy czasu, popatrzcie na fotki, a ja zacytuję na koniec parę pojazdów z zachodnich recenzji: „Muzyka przestaje być ważna, kiedy wciska się ego", „Nie całkiem pop i nie całkiem rebelia – po prostu liceum", „Beyonce trzeciej kategorii". Tak to już jest ułożony świat. Jill Scott stała w kolejce po talent. Christina Milian po wygląd. Załóżmy tolerancyjnie, że Shakira jakimś cudem stanęła w obu. A Gosia Andrzejewicz zagubiła się w próżni.









tu kupisz Ślizg

Jeśli chcesz zamieścić na tej stronie logo swojego sklepu, skontaktuj się z nami pod numerem 022 635 84 10 wew. 131 lub na mail monika@slizg.com.pl

PRENUMERATA

Prenumeratę „Ślizgu" możecie zamówić na dowolny okres, wpłacając na konto odpowiednią kwotę 6,90 x liczba egzemplarzy. Dane potrzebne do przelewu (adres wydawnictwa i numer konta) znajdziecie w stopce redakcyjnej na stronie 6.
Nie zapomnijcie na przelewie podać swoich danych (jeszcze raz przypominamy o dokładnym adresie!!!) i numeru, od którego chcielibyście rozpocząć prenumeratę.
Prenumeratę zagraniczną można zamówić w Ruchu. Szczegóły znajdziecie pod tym adresem internetowym:
http://www.ruch.noria.pl/s/sklep.swp
W redakcji możecie również zamówić archiwalne numery „Ślizgu", w tym „Ślizg Limited Edition" z płytą DVD „Adio Rock". W tym celu skontaktujcie się z redakcją pod numerem telefonu

022 635 84 10, wew. 131.

MAREK „PRO” GLUZIŃSKI WOJCIECH JERZY HAS

Marek „Pro” Gluziński to niegdysiejszy DJ, ale przede wszystkim wydawca z dużą ilością odwagi i bardzo własnym gustem. Jemu zawdzięczamy szeroką dostępność płyt Sinego, Sfondu Squnksa, Tymona, Metro czy drugiego Afro Kolektywu. Z Markiem porozmawiamy o Wojciechu Jerzym Hasie, reżyserze-wizjonerze, którego porównywano do Kurosawy i Bunuela i dla którego legendarny Zbigniew Cybulski zagrał wyjątkowo bez ciemnych okularów

rozmawiał Flint
foto ksmyk.com

Dlaczego na temat rozmowy wybrałeś Hasa. Dlatego, że „Sanatorium pod klepsydrą” nagrodzono w Cannes, a „Jak być kochaną” w San Francisco? Czy może z przekory, bo o ile o Wajdzie, Kutzu czy Kolskim mówi się w kółko, to o Hasie malutko?

Wiesz co... Nie wybrałem go dlatego, że się o nim nie pisze, czy też dlatego, że był nagradzany za granicą. To wszystko prawda, ale nie chce mi się już pisać i mówić na temat tego, że w naszym pięknym kraju kultura – czy masowa, czy elitarna – jest na pożałowania godnym poziomie z prostego powodu braku autorytetów. Wybrałem go właśnie dlatego, że jest dla mnie autorytetem, jeśli idzie o autorskie kino, a mówiąc szczerze, tylko takie mnie interesuje.

Ale przyznaj, że nic nie zapowiadało dobrego reżysera. Koniec lat 40. i początek 50. to dzieła samymi już tytułami zachęcające do kpin: „Parowóz P7-47”, „Pierwszy plon”, „Mechanizacja robót ziemnych”, „Scentralizowana kontrola przebiegu produkcji”...

Nie znam tych filmów – jestem dopiero na etapie poznawania jego kina i może dlatego tak mnie fascynuje... Ale nie zrażałbym się samymi tytułami. Być może na tych dokumentach szlifował warsztat... Te wszystkie filmy to lata 49-51. Pamiętajmy, w jakich czasach temu człowiekowi przyszło tworzyć! Wtedy nie robiło się innych dokumentów, a od czegoś trzeba było przecież zacząć. Dopiero po nich zrealizował „Pętlę” – pierwszą fabułę. A jeśli sugerujesz, że robił filmy, żeby przypodobać się jakimś ludziom, to odsyłam cię do jakiegokolwiek jego dzieła. Nie sądzę, żebyś zobaczył tam coś pod publiczkę, nawet jeśli tą publiką miałby być sam Stalin.

Nie przeczę, ponieważ później, wraz z wybitnymi twórcami swojego pokolenia zapisał się jako współtwórca tzw. szkoły polskiej. O ile Wajda poszedł w romantyzm, Munk w racjonalizm, to Has z Kawalerowiczem w psychologię, a nawet filozofię, tworząc trochę na marginesie. Dobrze wybrał?

Dla mnie najbardziej liczy się autorytet twórcy, jego wizja, sposób widzenia świata, indywidualizm. Ja szukam zawsze odniesień kulturowych, patrzę na muzykę, literaturę jak na próbę opisu rzeczywistości indywidualnymi metodami. Zrobić to tak, jak nikt nigdy wcześniej tego nie zrobił. Jakby wcześniej nie istniało kino, nie istniała muzyka. Odkrywanie nowych światów, jeśli chodzi o twórczość – kiedy w każdym miejscu na ziemi stanęła ludzka noga, to jedyna możliwość poszukiwacza przygód. A ja nim jestem jak każdy, kto nie przestał być dzieckiem mimo syfu, w którym przyszło nam żyć. Abstrakcja. Wolnomyślicielstwo. Margines.

Has po kameralnej szkole polskiej sięgnął po wielkie widowiska historyczne. Nigdy też nie stronił od ekranizacji wielkich dzieł literackich. Oba terminy przywodzą na myśl to, co najgorsze w polskim kinie ostatnich lat, nie kino autorskie.

Zaraz, zaraz. Mówiliśmy już o tym, że z masami jego kino nie miało za wiele wspólnego. Nikt o nim teraz nie pamięta, a to coś przecież znaczy! To znaczy, że nie zrobił z Prusa, Schulza czy Czechowa lekkostrawnej papki. I niezależnie od tego, czy czytałeś, czy nie, czy znasz pierwowzór literacki, jego film zaniepokoi cię swoim klimatem, pobudzi do myślenia, przynajmniej zrobi wrażenie. A widowiska historyczne, owszem – zapisał się na trwale w historii światowego kina!

Mocne słowa. Aż tak?

Oczywiście. Po pierwsze, wspomniane przez ciebie nagrody, po drugie, ciągłe odkrywanie jego kina po jego śmierci. Nie wiem, czy to świadome nawiązanie, ale Lynch w ostatnich swoich filmach wykorzystuje pomieszanie czasu rzeczywistego ze snem i urojeniami, takie chodzenie po krawędzi rzeczywistości. Po trzecie, słowa Martina Scorsese, który powiedział kiedyś, że tylko dwaj reżyserzy potrafili pokazać inny wymiar rzeczywistości: Federico Fellini i Wojciech Jerzy Has.

Krawędź rzeczywistości bohater naszej rozmowy uchwycił nie tylko dzięki „logice snu” i bohaterom „żyjącym poza czasem i historią”. Słynął z uwielbienia dla rekwizytu, upychania na planie masy dziwnych przedmiotów. Zachwycano się, że jego kadry były jak obrazy. Nic dziwnego, malarstwa przecież również się uczył. Co uważasz u niego za ważniejsze: treść czy formę?

Formę wypracował sobie charakterystyczną i ja jej uległem. Treść natomiast podaje zawsze w taki sposób, że zostawia odbiorcy możliwość interpretacji, dalszej pracy z obejrzanym filmem, pracy abstrakcyjnej, umysłowej. Takiego przetwarzania czegoś, co nie daje spokoju, co zrobiło wrażenie... Taką metodę totalnego szoku stosuje von Trier. Nie porównywałbym ich kina, ale chcę przybliżyć pewien rodzaj napięcia towarzyszącego jego filmom. Mogę jeszcze ze znanych nazwisk przywołać tu Petera Greenawaya, który też tworzy malarskie kadry, ale zupełnie inne niż Has.

A jeśli chodzi o zwykłego zjadacza chleba, to od czego, Twoim zdaniem, powinien zacząć przygodę z Hasem?

Czytelniku, jeśli którekolwiek z nazwisk tu przywołanych kojarzy ci się z czymś, co zrobiło na tobie duże wrażenie, a ze szkolnych lektur zapamiętałeś „Lalkę”, bo mimo iż dłużyła się, to z każdym następnym rozdziałem mocno wciągał cię świat powieści, sięgnij po „Lalkę” pełnometrażową (nie serial!) w reżyserii Hasa, a być może będzie to pierwszy krok.